

Armia Czerwona
na Jasnej Górze

Dr Mariusz Wirga
Psychika w leczeniu raka

Horror
na SOR-ach

Na zakupy
do Watykanu

Rodzice mają z PRL-u,
a dzieci kupują
**KOSZMARNIE
DROGIE
MIESZKANIA**



GALEERIA AUTORSKA ANDRZEJA MLECZKI

sklep.mleczko.pl



KRAKÓW ul. św. Jana 14 tel: 12 421 71 04

WARSZAWA ul. Marszałkowska 140 tel: 795 029 829

CYTATY

PROF. BOHDAN ZDIENNICKI, prezes Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku
Teraz wszyscy są sędziami. I pojawili się sędziowie sędziów, którzy wiedzą lepiej.
„Gazeta Wyborcza”

PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKA, psycholog społeczny
Polska inteligencja uczy swoje dzieci raczej bezwzględności indywidualizmu i konformizmu niż współdziałania i niezależności.
„Polityka”

MARIUSZ TRELIŃSKI, dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, reżyser
Rów, od wieków wykopany pomiędzy panami i chłopami, do dziś jest elementem podziałów politycznych.
„Dziennik Gazeta Prawna”

ROMAN POLAŃSKI, reżyser
Skazać kogoś jednym tweetem? To gorsze niż maccartyzm. Tam przynajmniej była jakaś komisja śledcza.
„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Samozwańczy szeryf na wojnie z sędziami

Nic nam tak nie obrodziło jak sędziowie. Teraz prawie wszyscy są sędziami. Gdzie spojrzę, widzę ludzi, którzy osądzają sędziów i sądy. I lepiej od nich wiedzą, co i jak trzeba zrobić.

Patrzę na ekipę Ziobry, dobraną według prostego schematu. Bezczelni, arogancy, słabo posługujący się językiem polskim. Totalnie niekompetentni. Bo i gdzie mieliby się czegoś nauczyć, skoro pierwsza praca to wiceminister? Ziobro otworzył im taką ścieżkę awansu, że nie cofną się przed niczym, byle jak najdłużej utrzymać się w rządowej ekipie. Jego celem jest zbudowanie mitu szeryfów, którzy chcą zaprowadzić w Polsce porządek. Próbowali, ale siły zła, różne kasty i stare elity to zablokowały. Budują mit, na którym będą chcieli wrócić do władzy. Gdy rozpadnie się sztuczna konstrukcja zbudowana przez Kaczyńskiego, ludzie poupychani przez Ziobrę w sądach, prokuraturze, biznesie i mediach wyjmą gwiazdy szeryfa i ruszą do szturmowania władzy.

Chyba że wreszcie skończy się pobłażliwość wobec polityków, którzy sprzeniewierzyli się prawu. Tę grupę zawodową może zmusić do myślenia kategoriami państwa i kodeksów tylko widok krat. Refleksja może przyjść, choć nie musi, gdy za kratami zobaczą znanych sobie polityków.

Po pięciu latach rządów PiS i Ziobry w każdym obszarze sądownictwa jest gorzej. Chaos, do którego świadomie prowadzi ekipa, której Kaczyński dał wymiar sprawiedliwości w agencję, jest działaniem celowym. Bałagan, rosnące niezadowolenie pompowane agresywnymi i kłamliwymi kampaniami propagandowymi mają przykryć cel tej operacji. A jest nim zastąpienie obecnych sędziów, zwłaszcza na kluczowych stanowiskach, swoimi faworytami. Jak w każdym zawodzie, także w sądownictwie znajdują się ludzie, którzy dla kariery czy większych apanaży oddadzą się do dyspozycji polityków.

Kto kogo ocenia? PiS głosi, że argumentem za jego polityką jest to, że sędziowie tracą zaufanie społeczne i autorytet. Perfidia do kwadratu. Bo ciężko na tę dewastację pracują telewizja Kurskiego i inne media zdobyte przez PiS. Jednak mimo tej barbarzyńskiej i kłamliwej kampanii sędziowie ciągle są o wiele lepiej oceniani od polityków. Gdyby wymienić najślabesze ogniwa polskiej demokracji, to przodownikami na tej czarnej liście są prezydent Duda i premier Morawiecki. Najgorliwsi wykonawcy najgłupszych poleceń z Nowogrodzkiej. A jeszcze większym problemem jest stan partii politycznych. Gdyby opozycja była choć na trzy z plusem, obecna ekipa rządowa kontakty z sędziami miałaby głównie na salach sądowych. W czasie procesów.

BAKOWSKI

TO JUŻ OSTATNI DZWONEK

TYLKO DO KOŃCA STYCZNIA
prenumerata elektroniczna na cały rok

~~119,90 zł~~ **99,99 zł**

SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Koszmarnie drogie mieszkania**
Mieszkaniowa trzecia liga Europy
- 12 Przez Procyka do sędziów**
Prezes spółdzielni znowu na celowniku
- 14 Horror na SOR-ach**
Gehenna pacjentów
- 18 Prawda o Auschwitz jest wezwaniem**
75. rocznica wyzwolenia obozu
- 21 Skoczek na szachownicy**
pisowskich służb
Gen. Łapiński na szefa SWW
- 22 Dla dobra dziecka**
Kiedy rodzice piją i biją

ZAGRANICA

- 26 Powrót krwawej niedzieli**
Granica irlandzka po brexicie
- 28 Gwałt – najbardziej przemilczana**
zbrodnia wojenna
- 32 Jesteś bogaty, pracuj więcej**
– rozmowa z prof. Danielem Markovitemsem
- 52 Wirus z Wuhanu**

OPINIE

- 35 Janusz J. Tomidajewicz**
Nie dajmy się zrobić w IKE

HISTORIA

- 36 Ocalenie Jasnej Góry**
Armia Czerwona pod Częstochową

KULTURA

- 40 Bestseller z Auschwitz**
Holokaust w wersji pop
- 42 Kulturalia**
- 66 Maciej Rauch: The future is now**

OBSERWACJE

- 44 Wszystkie dobra tego świata**
Watykański supermarket

NOWE TECHNOLOGIE

- 48 Gdy zapragniesz hejtować**
– rozmowa z dr. Piotrem Surmą

ZDROWIE

- 54 Rozkwit i upadek Viagry**
Leki, które zmieniły świat
- 58 Zmiana myślenia pomaga**
chorym na raka
– rozmowa z dr. Mariuszem Wirgą

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Samozwańczy szeryf na wojnie z sądami
- 31 Roman Kurkiewicz**
Polska rozbiera się sama
- 39 Tomasz Jastrun**
Patologiczna rodzina
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Vlad is not dead



22
KRAJ

DLA DOBRA DZIECKA

Kiedy rodzice piją i biją



52
ZAGRANICA

WIRUS Z WUHANU



58
ZDROWIE

ZMIANA MYŚLENIA POMAGA CHORYM NA RAKA

– rozmowa z dr. Mariuszem Wirgą

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK



Haiti: porzucone dzieci
żołnierzy ONZ

Wojenny mundur **Royal Navy**
w bydgoskim lumpeksie

Jak Niemcy radzą sobie
z plastikiem

✉ Polityka historyczna to manipulowanie historią

W 4. numerze PRZEGŁĄDU redakcja zadała kilku osobom pytanie, na czym powinna opierać się polityka historyczna lewicy. Moim zdaniem pojęcie polityka historyczna jest błędne i jest przykładem politycznego manipulowania historią. Polityka i historia to dwie różne i samodzielne dziedziny. Historia zajmuje się przeszłością, natomiast polityka zajmuje się teraźniejszością i przyszłością. Pojęcie polityka historyczna jest bełkotliwe i służy zakłamaniu historii dla celów politycznych.

Prof. dr hab. Longin Pastusiak

f Anders na białym koniu nie przyjechał

Plany Hitlera wobec Polaków były znane: większość wyćpić, resztę zamienić w bydło robocze. Realizacja była w toku. Armia Czerwona nie wyzwoliła Polski i Polaków, ona ich ocalała. Owszem, w ówczesnej konstelacji politycznej ocalenie równało się podległości, co nie zmienia faktu, że naród polski dziś istnieje, może odgrywać oświecony blaskiem rac teatryk jednośco co roku 11 listopada, uprawiać piractwo drogowe, pijaństwo, megalomanię narodową, grzęznąć w zawiści, wzajemnej wrogości oraz pobierać 500+ na każde dziecko, dzięki zwycięstwu

ZSRR nad niemieckim faszyzmem. I żaden IPN ani inni spece od historycznych machlojek tego nie zmieniają. Kto nie odróżnia lat 1939-1945 od lat 1945-1989, kto nie widzi różnicy między okresem, gdy 6 mln Polaków straciło życie, a tym, gdy 15 mln się urodziło, mogło żyć w pokoju, uczyć się, pracować, kto nie widzi różnicy między zburzeniem stolicy a jej odbudową, między dewastacją gospodarki i infrastruktury a budową tysięcy nowych zakładów, szkół, szpitali itd., jest osobnikiem zamroczonym obłąkaną polityką historyczną. A organizatorzy owego haniebnego procederu czy ci, co przyklaskują burzeniu pomników poświęconych ludziom, którzy ocalili ich babki, dziadów, matki i ojców, wystawiają sobie świadectwo moralnej karłowatości, podłości i wyjątkowej nikczemności.

Rafał Galicki

✉ Wszechobecna autocenzura

To, że TVPiS nie mówi o postępowaniu Karczewskiego, to norma, że Polsat milczy – też przestaje mnie dziwić. Ale dlaczego milczy TVN? Widocznie nie trzeba już „repolonizować” mediów – one już dały się zastraszyć albo kupić. Polsat jakoś złagodził w stosunku do władzy, gdy dostał miejsce na MUX dla kanału Polsat News. Cenzura i autocenzura stają się wszechobecne. Małymi kroczkami nadciągą powrót do czasów podziemnej „bibuty”.

Marcin Majszczyk



ZDJĘCIE TYGODNIA



23 stycznia trzy izby Sądu Najwyższego przyjęły uchwałę dotyczącą sędziów wybranych przez nową KRS, co wywołało kolejną falę ataków prawicy na sędziów SN.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie są największe wady prezydenta Dudy?

BARBARA LABUDA,
minister w Kancelarii Prezydenta RP
Aleksandra Kwaśniewskiego

Przez 10 lat z bliska widziałam, czym może i powinna się zajmować głowa państwa, dlatego przeraża mnie jego skrajny egoizm. Dla niego liczy się wyłącznie bycie ważnym, a dobro państwa, społeczeństwa i narodu jest mu obojętne. Poza tym cynizm, wyrachowanie i judzenie jednych grup społecznych przeciw drugim. Wszystko to składa się na całkowitą nieumiejętność bycia prezydentem. Andrzej Duda nie jest strażnikiem konstytucji, nie łączy społeczeństwa, nie umie opiekować się polityką zagraniczną. Ten niedojrzały emocjonalnie człowiek nie dorósł do pełnionej funkcji, a jego prezydentura jest karykaturą sposobu piastowania tego urzędu przez Aleksandra Kwaśniewskiego.

PROF. MIROSŁAW KARWAT,
politolog, UW

Urzędujący prezydent wczuł się w rolę operetkowego monarchy, toteż jego specjalnością jest kabotyzm i groteskowa próżność, a jego megalomania jest mocno podszyta kompleksami. Zagubiony w swojej roli i upokorzony poczuciem

braku wpływu kompensuje to popisami rzekomej siły i stanowczości. Cechuje go także absolutny brak samokontroli, gdy usiłuje bojowością pobić na głowę tych, od których zależy. A jego strasliwą pospolitą i bezguscie widać w kiczowatych wzorach autopromocji, kiedy wdziękowi się do zwykłych ludzi i pozowaniu na „swojego chłopą” towarzyszy kacykowate dygnitarstwo i upajanie się rekwizytami władzy. Jednak najgorszy jest u Andrzeja Dudy infantylnizm i brak elementarnej wyobraźni, jeśli chodzi o konsekwencje własnych działań. Na stanowisku, które jest symbolem powagi i majestatu państwa oraz wspólnoty jego obywateli, znalazł się człowiek, który świadomie odgrywa rolę figuranta, firmującego nie tylko niebezpieczne pomysły PiS, ale często także wycofywanie się z nich i udawanie, że nic się nie stało. A to już pachnie brakiem godności.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Andrzeja Dudę najmocniej kompromitują: brak podstawowej wiedzy (w tym – mimo kierunkowego wykształcenia – prawnej), bezkrytyczne partyjniactwo oraz to, że szybciej mówi, niż myśli.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
ZBIGNIEW DEREJSKI

Narcyzm. Wiem, że współcześnie bez niego nie ma polityki, ale ten osobnik zdecydowanie przesadził. Brak kręgosłupa moralnego. Mówi też za dużo i na wszelkie tematy, co wynika chyba z wspomnianego narcyzmu. Chce być postrzegany nie jako arbiter sporów społecznych, ale jako tzw. wujek dobra rada, czym przekracza granice śmieszności. Nie panuje nad mimiką, co często daje komiczne, acz niezamierzone efekty. Muszę go natomiast pochwalić za szczerość. Nie udaje prezydenta wszystkich Polaków, od początku sprawowania urzędu jest funkcjonariuszem jednej partii.

BOŻENA MIERNIK

Prezydent ma mnóstwo wad. Jest niedojrzały, małostkowy, narusza powagę i znaczenie urzędu, na który został wybrany. Sposób jego reagowania na różne sytuacje jest niewłaściwy, a umiar i powaga – zupełnie mu obce. Wspieranie tylko jednego obozu politycznego i łamanie reguł prawa czyni go niegodnym pełnienia tak ważnej funkcji.

Not. Michał Sobczyk

Jakub Dymek

Polacy mieszkają źle. Ogłoszenia o 12-metrowej „kawalerce” w piwnicy bez okien za 1000 zł albo najmie „pokój” dla matki z dzieckiem za ścianką z dykty lub parawanem, wykrojonego z jeszcze innego, przechodniego pokoju, w XXI w. nie dziwią. W Warszawie w styczniu 2020 r. ktoś oferuje na wynajem pokój o powierzchni 3 m kw. (!) za 990 zł. We Wrocławiu, obok największego i najbardziej prestiżowego wieżowca SkyTower, ktoś na pokój „dla studentów Uniwersytetu Ekonomicznego” zaadaptował balkon w bloku. Przynajmniej cena jest zachęcająca – 450 zł – choć to kiepskie rozwiązanie na zimę. Ogłoszenia te budzą w internecie – gdzie najłatwiej je znaleźć – rozbawienie, gorycz, złość, ironiczne i agresywne komentarze. Ale są – wiszą jako przypomnienie o tym, czego jako społeczeństwo i pokolenie nie mamy, a co mieć możemy.

Można przecież wziąć kredyt i przestać narzekać, być na swoim – powie ktoś. Kredyt to wszak najpopularniejszy sposób dochodzenia do własnego mieszkania w Polsce. Problem jest taki, że osoby urodzone w czasach transformacji ustrojowej – jak autor tego tekstu – nawet jeśli mają zdolność kredytową, co w dobie zleceń i umów śmieciowych wcale nie jest oczywiste, mogą tej własności nigdy się nie doczekać. 30-latek, rocznik 1989, jeśli weźmie kredyt, mieszkanie na własność będzie miał... na emeryturze. Dobrze i to, bo z emerytury raczej nie byłby w stanie spłacać nawet najtańszego kredytu. Nie mówiąc już o tym, że przecież zgodnie z rynkową logiką (i obietnicą) na emeryturze obywatel III RP powinien wyłącznie zarabiać na swoim kapitale, odcinać kupony, pomagać dzieciom i wnukom. A wakacje spędzać pod palmami. Mało wskazuje, aby emerytów roku 2050, którzy na rynek pracy weszli w XXI w., rzeczywiście czekała taka złota jesień życia.

Ale spójrzmy też prawdzie w oczy: Polacy nigdy nie mieszkali specjalnie dobrze. Ziemianki, osiedla namiotowe, lepianki, sutereny, familoki, komórki i kąty – sama liczba nieprzekładalnych często na inne języki słów w polszczyźnie, które opisują jakiś mieszkaniowy kompromis, pokazuje,



Koszmarne drogie mieszkania

Rodzice mają je z PRL-u, dzieci muszą się zapożyczyć na dziesięciolecia

że w historii nie mieliśmy łatwo. II RP, PRL i III RP – każda zawiodła. Lub inaczej: każda na swój sposób nie była w stanie zaspokoić głodu własnego kąta w społeczeństwie, dla którego mieszkanie było dobrem równie pożądanym, jak deficytowym.

Mieszkaniowa trzecia liga Europy

Dzisiejszy problem mieszkaniowy razi zwłaszcza dlatego, że pod wieloma względami Polskę coraz mniej dzieli od zamożniejszych krajów starej UE. Poziom konsumpcji – szczególnie w ostatnich latach – niezwykle wzrósł, a nawet mniej zamożnych Polaków i Polki stać na coraz więcej (coraz tańszych) towarów. Natomiast często mieszkają tak, jak im się udało, a nie jak marzyli i chcieli. To nie tak łatwo jak kupić nowy telewizor czy wyjechać na zagraniczne wakacje.

Tych, którym się udało – mają własne mieszkanie czy dom – mur niezrozumienia dzieli dziś od tych, którzy

cierpią z powodu wszystkich patologii polskiego rynku mieszkaniowego. Ci drudzy doskonale wiedzą (bo odczuwają to na własnej skórze), że nie jest to sytuacja, którą można ot tak załatwić. Ale nie uśmiecha się im czekanie kilkanaście czy kilkadziesiąt lat na lepszą i mądrzejszą politykę mieszkaniową, która zresztą może nigdy się nie zmaterializować.

W badaniach – pokazują to np. regularne raporty organizacji Habitat for Humanity Polska – brak mieszkania lub niedostateczne warunki mieszkaniowe są wymieniane jako jeden z najważniejszych problemów życiowych Polaków. W 2018 r. wskazywało tak 40% badanych. To jeden z tych wielkich braków systemowych, które – po niewydolnej służbie zdrowia – doskwierają nam najbardziej. Według ostatniego raportu OECD dotyczącego mieszkalnictwa, z zimy 2019 r., Polska zajmuje jedno z ostatnich miejsc wśród krajów rozwiniętych, jeśli chodzi o podaż mieszkań na 1000 mieszkańców. W 2018 r. wskaźnik ten wynosił

30 kwietnia 1979 r. na warszawskim Ursynowie oddano 200-tysięczne mieszkanie wybudowane w tej dzielnicy.

380 mieszkań, podczas gdy średnia dla państw UE wynosi 490. Ceny kupna mieszkań – ocenia Narodowy Bank Polski – od kilku lat znów rosną szybciej niż wynagrodzenia.

Według raportu GUS z 2018 r. w co dziesiątym mieszkaniu nie ma toalety. Z badań polskich i rachunków prowadzonych przez Eurostat wynika, że średni metraż na osobę w gospodarstwie domowym – choć rośnie – jest jednym z najniższych w Europie. Dla Polski wynosi on, według najnowszych danych, 30,4 m kw. Za nami są Serbowie, Rumuni czy Łotysze. Różne wyliczenia pokazują, że wysoki odsetek mieszkań w budowie i liczba oddawanych do użytku lokali na razie prowadzą nas wyłącznie ku powolnemu zasypywaniu dziury – pomimo deweloperskiego bumu sprzed dekad i wielomiliardowych wydatków na rządowe programy wspierania mieszkalnictwa. Tak zwana luka czynszowa – odsetek ludzi za biednych na kredyt i zbyt zamożnych na mieszkanie komunalne – sięga w ostatnich latach 40%. Choć w Europie regułą jest raczej to, że wieś się starzeje i wyludnia, więc stosunkowo łatwo znaleźć tam dla siebie dom, w Polsce na złe warunki mieszkaniowe skarży się ponad przeciętnie dużo mieszkańców wsi.

Fakty na temat gospodarki mieszkaniowej w drugiej połowie XX w. i na początku XXI są również takie, że pod względem podaży – niezależnie od tego, jakie kryterium przyjąć: czy ilość bezwzględna, czy podzieloną przez liczbę mieszkańców – Polska Ludowa wyprzedzała III RP. Słowem, za PRL budowano więcej. W rekordowym 1978 r. oddano do użytku ponad 280 tys. mieszkań, a w końcowym ćwierćwieczu PRL corocznie oddawano do użytku przynajmniej 150 tys. Dla porównania: najlepszy pod tym względem rok III RP, 2017, skończył się oddaniem do użytku niespełna 180 tys. lokali. Jeśli chodzi o łączny metraż budowanych mieszkań, do gierkowskiego rekordu ponad 17 mln m kw. rocznie III RP zbliżyła się dwukrotnie – w 2008 i 2017 r.

Jedną z przyczyn złej sytuacji mieszkaniowej są oczywiście wieloletnie, wręcz cywilizacyjne problemy kraju, przez który przechodziły fronty

obu wojen światowych, a jego granice zszywano z trzech zaborów i zmieniano. Ale część bolączek, na które uskarżają się dziś przede wszystkim młodzi Polacy, to skutki złej polityki, zaniedbań lub wypaczeń w realiach wolnorynkowych czy trwale utrzymujących się, błędnych założeń, które prowadzą do pogłębiania się patologii. Z nimi można walczyć szybciej lub przynajmniej poprawnie je diagnozować.

Własność ponad wszystko

– Główna idea opozycji solidarnościowej w zakresie mieszkalnictwa w latach 80. głosiła, że rynek mieszkań musi zostać skomercjalizowany. Tak myślą do dzisiaj starzy, którzy muszą legitymizować sukces swojego pokolenia, a więc sukces transformacji – mówi prof. Dariusz Łukasiewicz,

W Warszawie w styczniu 2020 r. ktoś oferuje na wynajem pokój o powierzchni 3 m kw. (!) za 990 zł.

autor książki „Dobre i złe adresy” o tym, jak w różnych okresach mieszkali Polacy. – Dziś, po 30 latach od przyjęcia się tej idei, mamy rynek koszmarnie drogich jak na nasze dochody mieszkań własnościowych, które są dostępne tylko dla części młodych, i to na kredyt. Starzy zaś mają od dziesięcioleci peerelowskie tanie mieszkanie i nie rozumieją problemu – dodaje. To prowadzi do coraz wyraźniej dającego o sobie znać konfliktu pokoleń i klas.

Trudno powiedzieć, czy pocieszeniem jest to, że dotarliśmy pod tym względem do krajów Zachodu. Problem rzesz młodych Brytyjczyków i Amerykanów wchodzących w dorosłe życie z długiem za studia i mieszkanie jest dobrze znany i opisany. Koszmarna drożyzna i kolejki po mieszkania dotyczą także młodych ludzi w Sztokholmie, Berlinie, Paryżu i Londynie. Zjawisko nasila się za sprawą zarówno olbrzymiej migracji wewnętrznej wykwalifikowanych pracowników do centrów gospodarki i technologii, jak i kolejnych fal imigracji: z krajów nowej UE po 2004 r., a z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu po roku 2014. Z drugiej strony w krajach Europy Północnej i Zachodniej, gdzie w ostatnich latach deficyt mieszkań daje się we znaki,

i tak buduje się więcej dostępnych dla młodych ludzi mieszkań komunalnych i na wynajem niż w Polsce – i to mimo że od ponad dziesięciu lat wszystkie rządy obiecują miliony mieszkań i wydają miliardy na programy wsparcia mieszkalnictwa.

Te programy, powiedzmy jasno, okazały się w najlepszym razie skromną pomocą, w najgorszym – totalnym fiaskiem. Zawiodły i Mieszkanie dla młodych z czasów rządów PO-PSL, i pisowskie Mieszkanie+. Ten pierwszy program powszechnie oceniano jako wspierający deweloperów i pogłębiający patologie na rynku mieszkań. Konserwatywny socjolog Jarema Piekutowski na łamach magazynu „Więź” wskazywał, że ostatnie programy nastawione na wynajem mieszkań realizowano w Polsce we wczesnych latach 90. Po 2004 r. i PiS, i PO wspierały własność i kredyt, co

wykluczało z udziału w publicznie przecież współfinansowanym projekcie mieszkalnictwa miliony osób niezdolnych do wzięcia kredytu. Odmienny pomysł PiS, wdrażany od czasów rządu Beaty Szydło projekt Mieszkanie+, zwyczajnie nie realizuje założonego celu tanich mieszkań dla Polaków, zwiększającego szanse niezależnie od zasobności portfela, bo liczba powstających w jego ramach lokali jest symboliczna i nijak nie usprawiedliwia propagandowych, legislacyjnych ani urzędowych nakładów na jego realizację.

Premier Mateusz Morawiecki mówił w zeszłym roku, że jeśli ktoś mu nie wierzy, może go rozliczyć. ▶



► I chwalił się, że dzięki wdrożonym przez PiS rozwiązaniom w Polsce buduje się coraz więcej mieszkań, a niedługo będą to znów liczby wręcz rekordowe. Problem w tym, że liczby te są właśnie zawstydzająco małe. Do końca 2019 r. oddano... mniej niż 1000 mieszkań. Nawet gdyby wziąć pod uwagę wszystkie mieszkania, które dopiero są w planach, podlegają analizie prawnym i urbanistycznym lub są projektowane – słowem, wszystkie te, które potencjalnie mogą powstać, ale nie wbito pod nie łopaty – jest ich 38 tys., sześćo-, siedmiokrotnie mniej, niż rokrocznie oddawano za Gierka.

W 1978 r. oddano do użytku ponad 280 tys. mieszkań, w najlepszym dla III RP roku 2017 – 180 tys.

Zdaniem wielu bogaci po prostu mają łatwiej – Francja i Niemcy mogą budować, bo ich stać. To część prawdy – właśnie przykład powojennej odbudowy Polski i gierkowskiego buma budowlanego pokazuje, że relatywnie ubogie państwa w pewnych warunkach też stać na budownictwo. Ktoś złośliwy mógłby zacytować kredo Beaty Szydło: „wystarczy nie kraść”. Lub: „trzeba chcieć”. III RP – z powodów czasem uważanych za słuszne, a czasami za błędne – budować na wynajem jednak nie chciała.

Pokolenie prywatyzacji i pokolenie długu

Dlatego młodszej generacji pozostaje kredyt, czyli dług – problematyczny spadek po dokonaniach pokolenia rodziców. Burliwa dyskusja publicystyczna, która na przełomie roku wybuchła w mediach, dotyczy dwóch rzeczy: oceny odrębnych polityk mieszkaniowych PRL i III RP oraz konfliktu między młodymi na dorobku i wiecznym kredycie a uwłaszczonymi czy ustawionymi starymi.

Odcinając publicystyczny naddatek i podgrzane emocje, sedno sporu dotyczy tego, że pokolenie, nazwijmy je tak, „rodziców transformacji”, osób, które wchodziły na rynek pracy około roku 1989 i później, nie rozumie, dlaczego młodzi (pokolenie „dzieci transformacji”) uważają, że mają pod względem mieszkaniactwa gorzej – skoro mogą wziąć kredyt. Nie przyjmuje też do wiadomości, że PRL

– często przez tych ludzi znienawidzona – w pewnym sensie zafundowała im lepszy start, nawet jeśli nie zawsze i nie wszystkim.

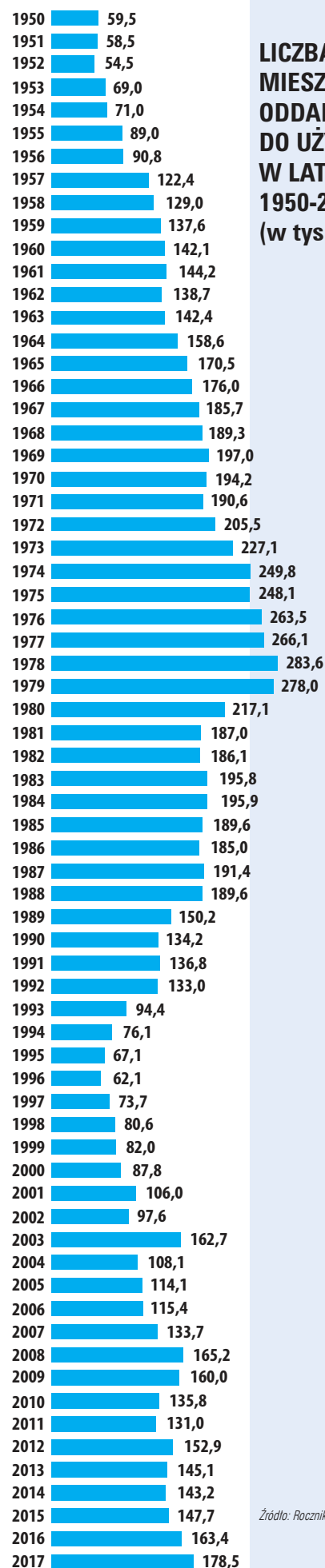
Dziś bowiem osoby, które stały się prywatnymi właścicielami mieszkań wybudowanych przez państwo w Polsce Ludowej, a w III RP kupionych za ułamek wartości, są w dużo lepszej sytuacji niż te, które dopiero wchodzi na rynek mieszkaniowy. I często oznacza to dla nich 30-letni kredyt za mieszkanie lub wydatek połowy pensji na wynajem kawalerki. Możliwość kupna mieszkania z bonifikatą, odziedziczenia lub posiadania go na własność była dla pokolenia polskiej

transformacji, dzisiejszych 50- i 60-latków, wielką zapomogą od państwa, kapitałem i rodzajem buforu czy zabezpieczenia na trudniejsze czasy.

Dzisiejsi młodzi dorośli uważają zaś, że mają „gorzej”, bo coraz częściej nie dostają mieszkań ani od państwa, ani od rodziców, lecz z tymi rodzicami mieszkają jeszcze po trzydziestce. Polacy według szacunków mieszkają z rodzicami dłużej, niż wynosi europejska średnia, a połowa osób poniżej 34. roku życia dzieli mieszkanie z rodziną. Nie są to statystyki rekordowo złe, ale zadają kłam tezie o tym, że każdy może dziś mieszkanie kupić lub wynająć i usamodzielniać się od zaraz. „Żeby móc wylecieć z tego gniazda, trzeba mieć dokąd”, mówiła niedawno w rozmowie z gdańską „Gazetą Wyborczą” dr Magdalena Żadkowska, socjolożka badająca rodziny. „Z porównania wynika, że w nowych krajach unijnych, które nie rozwiązały problemu mieszkaniowego dla osób młodych, średnia wyprowadzenia się z domu jest wyższa. W Polsce wciąż przypada znacznie mniej metrów kwadratowych na osobę niż w innych krajach Unii Europejskiej”, tłumaczyła.

To, co dla starszych jest niedojrzałością i niesamodzielną młodych, dla nich samych jest wymuszonym przez sytuację na rynku pracy i mieszkań kryzysem mobilności społecznej. Spór toczy się wokół odmiennych biografii i tożsamości – dzieci transformacji, równolatków przemian z 1989 r., i postawy ich rodziców.

LICZBA MIESZKAŃ ODDANYCH DO UŻYTKU W LATACH 1950-2017 (w tys.)



Źródło: Rocznik statystyczny GUS

Większa lewicowość i mniejsza wiara w moc rynku dzisiejszych 30-latków nie bierze się z tego, że mają „gorzej niż za PRL”, oni czują (nie bez powodu), że w porównaniu z rodzicami mają trudniejszy start w dorosłość i gorsze perspektywy.

Przywiązanie do ziemi

Socjolożka Joanna Erbel, której książka o mieszkalnictwie „Poza własnością. W stronę udanej polityki mieszkaniowej” ukaże się niebawem, uważa, że tak zakrojony spór jest jałowy. – Dyskusja w takim kształcie jest bez sensu, chociażby dlatego, że nie możemy po prostu wrócić do systemu mieszkalnictwa z czasów Polski Ludowej, zresztą chyba najwięksi przeciwnicy obecnej sytuacji wcale nie chcieliby zrezygnować z możliwości wynajmu na wolnym rynku czy wzięcia kredytu – wyjaśnia. – Jedni i drudzy odbywają pewnego rodzaju publiczny rytuał, przekonując, że mają rację – nikt zaś nawet nie próbuje powiedzieć, jak powinno być, jaka jest dobra i zła polityka, na czym polega niewydolność dzisiejszego modelu.

Niewydolność i problemy dzisiejszego modelu, tłumaczy dalej Erbel, objawiają się choćby tym, że kredyt i własność, które miały dać wolność, realnie często ją ograniczają. Coraz więcej osób zaczyna mieć świadomość, że kupowane na kredyt mieszkania nie okazały się żadną inwestycją – deweloperskie mieszkania, w przeciwieństwie do tych odziedziczonych w przedwojennej kamienicy lub podmiejskim domu, szybciej tracą na wartości. – Coś, co miało w założeniu dawać wolność, czyli własnościowe mieszkanie, w rzeczywistości stanowi balast w postaci raty kredytu i ogranicza mobilność, a nie zwiększa.

Długoletni kredyt oznacza nierzadko formę „przywiązania do ziemi”. Osoba, która go wzięła, o ile nie ma możliwości spekulowania mieszkaniami albo innego, odziedziczonego czy własnościowego mieszkania, po prostu rzadziej podejmuje decyzje o przeprowadzce, zmianie pracy, jest mniej skłonna do ryzyka. Z tego powodu, paradoksalnie, także przedstawiciele biznesu czy organizacji pracodawców coraz częściej mówią, że brakuje państwowych, tanich form mieszkalnictwa, bo mobilność pracowników i zdolność przyciągania

Kamienica przy ul. Małej na warszawskiej Pradze. Tak mieszkają ludzie w stolicy Polski w trzeciej dekadzie XXI w.



ich do nowych zakładów pracy bądź klastrów przemysłowych jest ograniczona. Czas tracony na drogę z domu do odległego miejsca pracy to jeden z największych powodów zmęczenia, frustracji i obniżonej produktywności.

Toksyczny koktajl

Oczywiście same fakty i racjonalne argumenty nie rozwiązują sporu o wyższość jednego systemu nad drugim. Ci, których rodziny miały przed 1989 r. złe warunki mieszkaniowe, są bardziej skłonni podkreślać wady poprzedniego systemu. Analogicznie ci, którzy za PRL mogli skorzystać z wybudowanych przez państwo

wszystkich tych bolączek, chociaż trudno to na chłodno zmierzyć.

Bezsporne jest, że Polska musi zdecydowanie, wręcz agresywnie, nie tylko naprawić błędy PO i PiS w tym zakresie, ale także uprzedzić przyszłe problemy. Jak bowiem zwracają uwagę eksperci i ekspertki, problem będzie się zaostrzał – i to pomimo znów rosnącej liczby corocznie oddawanych mieszkań. Polacy żyją dłużej, więc młodszy później dziedziczą mieszkania. Coraz więcej osób chce na mieszkaniach dorobić do emerytury, a nie oddawać je następniemu pokoleniu. Rośnie liczba mieszkań, które kupowane są jako lokata kapitału – i stoją puste. Atrakcyjne lokale

W programie Mieszkanie+ do końca 2019 r. oddano... mniej niż 1000 mieszkań.

mieszkań i właściwie za darmo zamieszkali w schludnych i nowoczesnych (na swoje czasy) czterech kątach, dziś chętniej idealizują sytuację. Nierozstrzygalna jest doprowadzona do absurdu dyskusja o tym, czy gorszy jest 30-letni kredyt, czy 30-letnie oczekiwanie na „dostanie” mieszkania – także dlatego, że dotyczy osobistych odczuć, a nie lepszej bądź gorszej polityki mieszkaniowej. W dzisiejszej Polsce uderza chaos przestrzenny, fatalna jakość wielu deweloperskich projektów i budowanie bez dostępnej infrastruktury lub pośrodku niczego. Nieprawdą byłoby jednak stwierdzenie, że Polska Ludowa była wolna od

w centrach miast są wykupowane przez prywatne firmy i wynajmowane turystom. Maleje zasób komunalny, a trwa rabunkowa reprivatyzacja. Ci, którzy mają mieszkanie o dobrym standardzie i korzystnie położone, jego wartości i swojej własności będą bronić za wszelką cenę, także blokując wszystkie propozycje mogące prowadzić do spadku cen. Deweloperzy, rzecz jasna, ani pół metra kwadratowego nie zbudują charytatywnie.

Wygląda więc na to, że wszystkim zależy, żeby w Polsce mieszkało się albo źle, albo drogo. Oczywiście poza tymi, którzy muszą gdzieś mieszkać.

Jakub Dymek

Przez Procyka do sędziów

Skoro sądy wszystkich instancji oczyściły byłego prezesa spółdzielni Pojezierze z zarzutów, to... winna jest sędziowska kasta

Marek Książek

Najpierw poszedł na niego atak z wysokiej trybuny Senatu. Walcząca od lat z Zenonem Procykiem senator Lidia Staroń nie wymieniła wprawdzie jego nazwiska, ale pod pretekstem obrony pokrzywdzonej „pani Basi spod Olsztyna” przypomniała jeden z zarzutów przeciw niemu. Procyk miał wyrzucić na bruk Barbarę Sz., matkę kilkorga dzieci, na dodatek ciężarną, która „została perfidnie oszukana, a w jej mieszkaniu zamieszkała córka księgowej spółdzielni. Po dwóch latach sprzedała nieruchomości, oczywiście po rynkowej cenie”, jak ujawniła senator Staroń.

Wątek „pani Basi”

Był to jeden z kilku wątków poruszonych przez Lidę Staroń podczas debaty w sprawie tzw. ustawy kagańcowej. Za jej przyjęciem niezależna senator z Olsztyna głosowała razem z senatorami PiS, których wspierała w demaskowaniu „kasty”, jak nazywają środowisko sędziowskie, w tym sędziego Pawła Juszczyszyna. Głośna sprawa Procyka, uniewinnionego przez wszystkie instancje sądowe, nie bardzo nadawała się na symbol upadku wymiaru sprawiedliwości, ale jeden z elementów można było wykorzystać, i to z korzyścią dla samej Lidii Staroń oraz pisowskiej propagandy.

Chodzi o wątek „pani Basi”, usuniętej z lokalu spółdzielczego w październiku 1998 r. Tyle że sąd wydał nakaz eksmisji „na bruk” Barbary Sz. – po uprzednich wezwaniach do uregulowania czynszu i pozbawieniu jej członkostwa w spółdzielni – już w kwietniu 1996 r., a Zenon Procyk został prezesem SM Pojezierze dopiero w lutym 1997 r. Lokatorka zajmowała mieszkanie (ok. 60 m kw.) jeszcze dwa lata po wyroku, a w tym czasie spółdzielnia dwukrotnie proponowała jej mniejsze mieszkanie, by mogła różnicę w czynszu przeznaczyć na spłatę zadłużenia. Wtedy przy-



Lidia Staroń była inspiratorką niesłusznego oskarżenia Zenona Procyka, a teraz rozgrywa sprawę w Senacie i przychylnej PiS telewizji.

wrócono by jej członkostwo w Pojezierzu. Jednak Barbara Sz. na to się nie zgodziła, nie zdążyła uregulować zadłużenia (choć częściowo je spłacała) i doszło do eksmisji. Przebiegła ona w nietypowy sposób: dzień wcześniej pracownik spółdzielni pojechał powiadomić panią Basię o eksmisji, jednak nie pod oficjalny adres, lecz do pobliskiej wsi Ostrzeszewo, gdzie – jak się okazało – mieszkała z liczną rodziną, a lokal w Olsztynie

w grupie osób oskarżonych w „aferyze Pojezierza”. W rezultacie sąd skazał Władysława W. na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata i nakazał zapłacić Barbarze Sz. 22 tys. zł odszkodowania. Ten sam sąd ustalił, że Procyk nie jest winny eksmisji, a nawet ją opóźnił.

17 stycznia Lidia Staroń przytoczyła przykład „pani Basi” z senackiej trybuny, a już trzy dni później ten sam wątek znalazł się na pierwszym

Uwolniony od wszystkich zarzutów Zenon Procyk znów znalazł się na celowniku. Tym razem programu TVP Info „Kasta”.

wynajmowała studentom. Nazajutrz komornik zaproponował jej, że może jeszcze spłacić zaległości, lecz się nie doczekał, egzekucja została wykonana, a Barbara Sz. eksmitowana – przynajmniej formalnie – do innego lokalu w mieście.

Główny punkt programu

Jej mieszkanie istotnie przejęła córka głównej księgowej Władysławy W. A że księgowa nie zwróciła Barbarze Sz. wkładu budowlanego, m.in. dlatego znalazła się później

miejsu nowego programu TVP Info pod znamiennym tytułem „Kasta”. Pani senator też w nim wystąpiła. Z tego wnioszek, że miała swój udział w rozpracowaniu tematu, w czym zresztą ma doświadczenie jako stała bywalczyni „Sprawy dla reportera” Elżbiety Jaworowicz. Wskazuje to również sam Procyk, który w liście otwartym do pani senator ujawnia, że już kilka dni przed jej mową oskarżycielską nagabywał go dziennikarz TVP Info, aby odniósł się do sprawy „pani Basi spod Olsztyna”, będzie to bowiem jeden z punktów programu „realizowa-

ny w porozumieniu z panią senator”. Były prezes odmówił, ale i tak zapowiedź reportera została zrealizowana.

Tysiące wobec milionów

Procyka w programie „Kasta” zmieszano z błotem, wracając także do zarzutów dawno obalonych przez sądy w Ostródzie, Elblągu, Białymstoku i Warszawie (Sąd Najwyższy), o czym kilkakrotnie pisaliśmy w PRZEGŁĄDZIE. W tym o mieszkaniach w „prominenckim” bloku przy ul. Dworcowej, które były tańsze niż zwykle, ponieważ parking zbudowano z funduszu

na rzecz Barbary Sz. w sumie ponad 127 tys. zł „w związku z niewypłaceniem jej należnego wkładu budowlanego na mieszkanie”. Po odliczeniu 22 tys. zł, które księgowa już zapłaciła po wyroku w procesie karnym, pozostało 103 tys. zł. Orzeczenie nie jest jeszcze prawomocne, ale już upada zarzut skrajnej niesprawiedliwości. Zwłaszcza że – jak utrzymuje Procyk – wykluczenie Barbary Sz. z członkostwa w SM Pojezierze i pozbawienie lokalu nastąpiło w tym czasie, gdy jeszcze obowiązywały przepisy, że nie można mieć więcej niż jednego mieszkania.

Lidia Staroń dostarczyła materiał TVP i z trybuny Senatu załatwiła własne porachunki z byłym prezesem Pojezierza.

remontowego Pojezierza. Co więcej, ten blok potem został uznany za wzór do naśladowania przez inne spółdzielnie. Upadł też podstawowy zarzut – zakupu podzielników ciepła, które okazały się nowoczesne i wcale nie takie drogie, jak twierdziła pani prokurator oraz... Lidia Staroń. Bo to ona była inspiratorką oskarżenia „zorganizowanej grupy przestępczej” w olsztyńskiej spółdzielni. Procyk odsiedział w areszcie ponad osiem miesięcy, ale w końcu, po 16 latach śledztwa i procesu, został prawomocnie uniewinniony, a Sąd Najwyższy oddalił prokuratorski wniosek o kasację. Skoro tak, to winna jest kasta sędziowska – sugerowali autorzy „Kasty” – przy okazji wytykając sędziemu z Elbląga, że mianował go prezydent Bronisław Komorowski. Natomiast inni sędziowie przyznali Procykowi 1,8 mln zł zadośćuczynienia i odszkodowania za bezprawny areszt, pozbawienie go pracy i dochodów. No proszę, dostał prawie 2 mln zł, a „skrzywdzona pani Basia spod Olsztyna” zaledwie 22 tys. zł! Różnica robi wrażenie? Robi! O jakiej sprawiedliwości więc mówimy, jeśli sądami rządzi bezduszna kasta! – grzmiał zaproszony do programu mecenas Marek Markiewicz, dziennikarz z czasów Macieja Szczepańskiego, w PRL prezesa Radiokomitetu.

Nielegalne podsłuchy

Tylko że w końcu zeszłego roku Sąd Okręgowy w Olsztynie, w procesie cywilnym przeciw wspomnianej głównej księgowej, zasądził od niej

podśluchów. A nie powinna mieć do nich dostępu! Miała jednak taką siłę przebicia (perswazji?), że nawet ówczesny premier Donald Tusk chwalił ją, gdy jeszcze należała do Platformy Obywatelskiej, że tak skutecznie rozprawiła się ze spółdzielczą mafią. I to dzięki temu Lidia Staroń dostała się do Sejmu, później do Senatu, gdzie niby jest niezależna, ale ostatnio ramię w ramię z PiS głosowała za ustawą, która ma ujarzmić krnąbrnych sędziów w rodzaju Juszczyżyna.

Po ostatnich atakach Zenon Procyk przesłał do Lidii Staroń – z powiadomieniem mediów i wszystkich senatorów – list otwarty, przedstawiając swoją wersję wydarzeń. Wyraża przekonanie, że po raz kolejny stał się ofiarą gry olsztyńskiej pani senator, która upiekła dwie pieczenie na jednym ogniu: dostarczyła materiał zaprzyjaźnionej stacji telewizyjnej i z trybuny Senatu załatwiła własne porachunki z byłym prezesem Pojezierza, którego nie ma zamiaru przeproszać. Co więcej, nie odbiera pism przedsądowych, zapowiadających pozew o naruszenie jego dóbr osobistych. Zenon Procyk zdaje sobie jednak sprawę, że stał się tylko środkiem do realizacji celu, którym jest pogrążenie sędziowskiej „kasty”.

Pisaliśmy o tym:

„14 lat do niewinności” – 36/2014

„Przeprosin nie będzie” – 45/2018

„Śmierć zaszczonego wiceprezesa” – 11/2019



Jacek ŻAKOWSKI
dziennikarz, publicysta

Anna GRODZKA
działaczka społeczna

Maciej WIŚNIEWSKI
redaktor naczelny portalu Strajk.eu

moderacja
Radosław Czarnecki



Media i manipulacja

29.01.2020, godz. 17.30, przejście Garncarskie 2, Wrocław



Anna Brzeska

Horror na SOR-ach

Mój chory na cukrzycę ojciec trafił dwa lata temu na SOR w Zawierciu. Był wtedy świeżo po amputacji stopy. Mama błagała, żeby ktoś się nim zajął, bo skarżył się na silny ból brzucha. Leżał osiem godzin na korytarzu i w tym czasie nikt nie zrobił mu nawet USG – opowiada Elżbieta.

To początek mającej smutny finał opowieści o zdarzeniu z rzeczywistością SOR-u. Dlaczego schorowany pacjent został potraktowany w ten sposób?

Elżbieta nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. – Na oddziale ratunkowym było wtedy bardzo wielu pacjentów, ale żadnych ostrych przypadków – mówi. – Nikt nie wie, skąd to zaniedbanie. Nie widzieli potrzeby robienia badań, sądzili, że nie jest bardzo źle. Noga tak pięknie się goiła... Co więcej, wszystko działo się w szpitalu, gdzie mama 30 lat przepracowała jako położna. Znała ją cały personel, więc wierzyła, że jej mąż dostanie odpowiednią opiekę. Nie chciała, by przy tacie skakano ze względu na znajomości.

Stan ojca Elżbiety pogarszał się jednak z godziny na godzinę. Doszło do zatrzymania moczu, nerki przestały pracować. – Gdy go w końcu łaskawie podpięto pod sztuczną nerkę, już niewiele można było zrobić – mówi dalej kobieta. – Kolejnymi następstwami była niewydolność krążeniowa, potem oddechowa. Tata zmarł w szpitalu pięć dni później. Stało się to w momencie, gdy przyjechaliśmy z mamą go odwiedzić i właśnie wysiadaliśmy z auta na szpitalnym parkingu. Gdybyśmy dotarli pięć minut wcześniej, zdążylibyśmy chociaż się z nim pożegnać.

Elżbieta dodaje, że na oddziale zlecono wprowadzić i wykonano badania krwi i EKG, ale wyniki zaginęły. Gdy je odnaleziono, okazało się, że ojciec miał bardzo wysoki poziom kreatyniny, co świadczyło o ostrej niewydolności nerek. Można go było uratować.

Rodzina nie zdecydowała się dochodzić sprawiedliwości, szukać winnych. – Tacie i tak nie przywróci to życia – stwierdza córka zmarłego.

Ta historia zdarzyła się dwa lata temu, ale wiemy, choćby z mediów, że do tego rodzaju sytuacji nadal

Jeżeli pacjent na zdjęcie gipsu w poradni ortopedycznej czy chirurgicznej ma czekać dwa miesiące, wiadomo, że przyjedzie na szpitalny oddział ratunkowy

dochodzi. W marcu zeszłego roku 39-latek, który przyjechał ze spuchniętą nogą do szpitala w Sosnowcu, zmarł po dziewięciu godzinach oczekiwania na pomoc.

Zgony na SOR-ach w wyniku kolejek to rzadkość, jednak pacjenci nagminnie skarżą się na wielogodzinne oczekiwanie na pomoc. Ale czy to prawda, że jest coraz gorzej?

Według informacji, której udzielił NFZ, powinno być nawet nieco lepiej – od 2015 r. liczba SOR-ów zwiększyła się o 19 oddziałów (było ich 218, jest 237). Finansowanie wzrosło o prawie 800 mln zł – z ponad 971 mln zł w 2015 r. do 1,745 mld zł w planie finansowym na rok bieżący.

Co z obsadą oddziałów? Liczba lekarzy, zdaniem tych, z którymi rozmawiałam, raczej się nie zmienia na SOR-ach. Na uzyskanie centralnych danych o liczebności personelu oddziałów ratunkowych nie ma co liczyć. Trzeba by je zdobywać osobno we wszystkich jednostkach organizacyjnych, a więc samorządach różnego szczebla bądź uczelniach medycznych odpowiadających za kliniki uniwersyteckie.

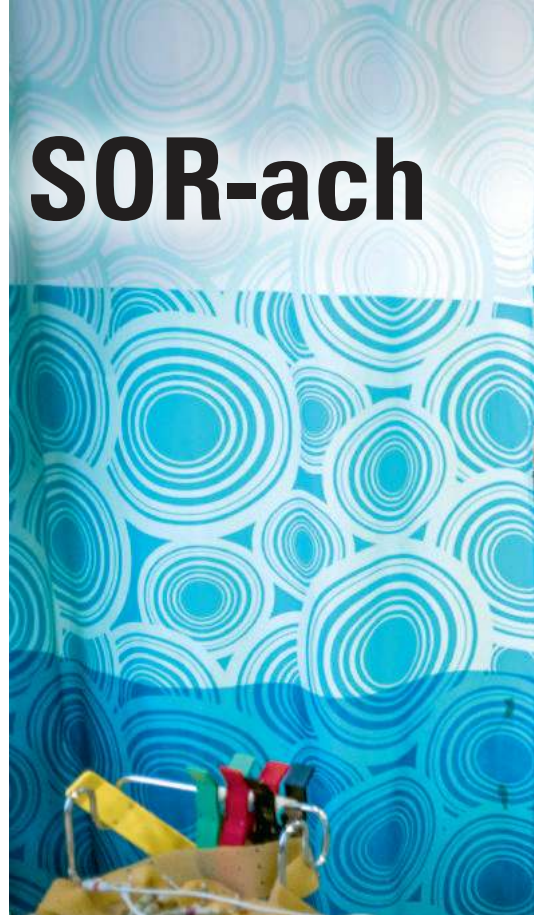
Ja tu od wczoraj czekam

Trudno więc powiedzieć, czy jest gorzej, czy lepiej, ale kolejki i chaos na SOR-ach wciąż w wielu szpitalach są faktem.

Joanna z Wrocławia: – Kilka tygodni temu po prostu upadłam. Nie pamiętam, czy straciłam przytomność, czy nie. W nocy zaczęła boleć mnie głowa – najpierw trochę, a potem ból stał się nie do zniesienia, nie mogłam nawet położyć głowy na poduszce. Ponieważ miałam dość wysokie

ciśnienie (140/100), około godz. 2 pojechałam na nocną pomoc. Młody, zaspany lekarz zbadał mnie i zmierzył ciśnienie, które wynosiło już 150/110. Powiedział, że mam nierówne żrenice, a przy zamkniętych oczach tracę równowagę, co może wynikać z jakiegoś urazu głowy na skutek omdlenia. Dał mi skierowanie na SOR. Tam przyjęła mnie lekarka – ciśnienie miałam jeszcze wyższe. Potem kazano mi czekać. Siedziałam przez dwie godziny – do momentu, gdy pacjentka z zapaleniem nerwu twarzowego powiedziała mi, że jest tu od godz. 18 i teraz czeka na wynik jakiegoś badania. Straciłam nadzieję, że mnie przyjmą w najbliższym czasie, a w domu czekało na mnie dziecko karmione piersią. Zanim wyszłam z SOR-u, poprosiłam pielęgniarkę o coś przeciwbólowego, żebym jakoś dotrwała, aż będzie moja kolej na dalsze badania. Usłyszałam, że jak stracę przytomność, to przecież ktoś przyjdzie.

Na szczęście cała historia skończyła się dobrze. Następnego dnia – ponieważ nadal mocno bolała ją głowa – Joanna pojechała do innego szpitala, gdzie szybko udało się zrobić tomografię głowy, która nie wykazała nieprawidłowości. Potem okazało się, że omdlenie i ból głowy były początkiem infekcji, ale niepokojące objawy





SOR w szpitalu przy ul. Lutyckiej w Poznaniu.

w stanie zagrożenia życia, wymagający natychmiastowej pomocy, ostatnią – pacjenci, których stan nie budzi poważniejszego niepokoju i wymaga najwyżej skierowania do nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej.

Z rozmów z personelem SOR-ów wynika, że szpitale z organizacją procedury triażu radzą sobie różnie. – W naszym szpitalu formalnie go nie wprowadzono, gdyż według kierownictwa oddziału źle to wygląda – skarży się ratownik medyczny z jednego z SOR-ów w województwie kujawsko-pomorskim. – Na wejściu powinna wisieć tablica z opisem maksymalnego czasu, jaki można spędzić na oddziale ratunkowym, w zależności od przyznanej kategorii. I tak jest w wielu okolicznych szpitalach. U nas nie. Wprawdzie personel dla usprawnienia własnej pracy i tak kategoryzuje pacjentów, ale nie informuje ich o przydzielonej kategorii. Nie ma żadnych opasek. Czy takie rozwiązanie by pomogło? Sądzę, że tak, bo gdyby pacjent dostał np. kolor zielony i wiedział, że na konsultację z lekarzem będzie w takiej sytuacji czekał cztery godziny (bo tak reguluje rozporządzenie), to pewnie by zrezygnował. System triażu eliminowałby pacjentów, którzy przychodzą z drobiazgami.

neurologiczne rzeczywiście mogły wystraszyć każdego.

I jeszcze jedna sytuacja ukazująca chaos organizacyjny w szpitalach. – W wyniku pobicia przez obcą kobietę na ulicy aparat ortodontyczny wbił mi się w policzek – opowiada Marta z Warszawy. – To był środek nocy, około godz. 3. Pojechałam na izbę przyjęć do Szpitala Praskiego. Z SOR-u odesłali mnie na chirurgię szczękową do innego szpitala. Lekarz powiedział, że on nie ma narzędzi, żeby mi pomóc. Zdziwiło mnie to, ale pojechałam do innego szpitala, znalazłam oddział. Na drzwiach wisiała kartka z informacją, że jeśli jest zamknięte, należy dzwonić i cierpliwie poczekać, a na pewno ktoś przyjdzie. Zgodnie z instrukcją zadzwoniłam. Nikt jednak nie przychodził – minął kwadrans, pół godziny... Zniechęcona usiadłam w przedsionku na wycieraczce. W międzyczasie jeszcze ze dwa razy dzwoniłam w odstępie kilku minut. W końcu na tej wycieraczce zasnęłam, wciąż mając aparat wbity w policzek. Około 7.30 obudziła mnie pani, która przyszła do pracy na poranną zmianę. Od niej usłyszałam, że to dziwne, że nikt mi nie otworzył. Już po otwarciu oddziału zostałam zawrócona do rejestracji SOR-u. Wyjaśniono mi, że to tam powinnam była się zgłosić. Tyle że ja o tym nie wie-

działam, bo w Praskim powiedzieli, że mam się udać na oddział chirurgii szczękowej. To jednak nie koniec: po zarejestrowaniu się na oddziale ratunkowym polecono mi wrócić na chirurgię, gdzie... dalej czekałam, mimo że poczekalnia była pusta. Okazało się, że trafiłam na moment zmiany. Czekałam

Nie da się zreformować SOR-ów bez reformy nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej.

jeszcze jakieś pół godziny. Wreszcie lekarz poprosił mnie do gabinetu, obejrzał, wysłuchał, przeczytał dokument z praskiego SOR-u, dał mi znieczulenie miejscowe i małym skalpelem naciął policzek wewnątrz, tuż nad wargą, a tym samym uwolnił aparat.

SOR-y łatają dziury

1 lipca 2019 r. Ministerstwo Zdrowia wydało rozporządzenie w sprawie szpitalnego oddziału ratunkowego. Wprowadza ono zmiany w funkcjonowaniu SOR-ów. Do tej pory miały one obowiązek dokonywania tzw. triażu, czyli wstępnej oceny stanu pacjentów, którzy zgłosili się na oddział, i przypisywania ich do pięciu kategorii oznaczanych kolorami. Pierwszą grupę stanowili ci

Ubiegłoroczne lipcowe rozporządzenie nakłada na SOR-y kolejny obowiązek – tzw. retriż, czyli konieczność ponownej oceny stanu pacjentów po regulowanym przez rozporządzenie czasie, zależnym od kategorii.

Jak te zmiany oceniają lekarze? I co według nich powinno się zmienić, by SOR-y nie straszyły pacjentów niczym słynne już nieudane logo sieradzkiego oddziału ratunkowego, przedstawiające wykres pracy serca, który po przejściu przez napis SOR zamieniał się w linię ciągłą, oznaczającą zgon?

Według lekarza ze specjalizacją z medycyny ratunkowej, pracującego od wielu lat na oddziale w jednym z wrocławskich szpitali, naprawianie SOR-ów powinno się zacząć od właściwego kierowania pacjentów. ▶

► – To nie jest tak, że narzekamy na dużą ilość pracy czy zarobki. Po prostu powinniśmy się zajmować tym, co należy do naszych obowiązków, czyli medycyną ratunkową. Pacjentami w stanie zagrożenia życia i zdrowia. Tymczasem nawet przychodnie i ambulatoria (w tym nocne i świątecznej opieki zdrowotnej) do nas kierują pacjentów, którzy powinni trafić do poradni specjalistycznych, ponieważ tam są ogromne kolejki – wyjaśnia. – Jeżeli pacjent na zdjęcie gipsu w poradni ortopedycznej czy chirurgicznej ma czekać dwa miesiące, wiadomo, że przyjedzie na SOR. Lekarze oddziałów ratunkowych każdego zaopatrzą i każdemu pomogą, choć ich zadaniem jest przyjmowanie i leczenie pacjentów w stanach zagrożenia życia i zdrowia. Co gorsza, ambulatoria nocne i świątecznej opieki lekarskiej mogą wykonać bardzo mało procedur – nie zrobią podstawowych badań krwi, wskaźników stanu zapalnego, badania moczu czy RTG przy skręceniu stawu. Ta część pomocy też została więc przeniesiona na oddziały ratunkowe.

Specjalista medycyny ratunkowej wymienia jeszcze jeden problem: – Część naszych pacjentów powinna być dalej kierowana przez SOR-y do właściwych oddziałów szpitalnych. Ale nie jest tajemnicą, że w wielu szpitalach nie ma dostatecznej liczby łóżek. We Wrocławiu brakuje stu łóżek na oddziałach internistycznych. Pacjenci zakwalifikowani na SOR-ach jako wymagający hospitalizacji czekają zatem na oddziałach ratunkowych, aż zwolnią się miejsca. To samo dotyczy reszty neurologii, kardiologii czy nawet ortopedii i OIOM.

Według mojego rozmówcy za problemami SOR-ów stoi także ma-

ła liczba lekarzy w ambulanсах pogotowia ratunkowego. – Ratownicy przewożą więc niemal każdego pacjenta do szpitala i często niewłaściwie go kierują. Widać to na przykładzie pacjentów z podejrzeniem udaru – borykamy się z ich tzw. nadrozpoznawalnością. Ratownicy wiozą tych pacjentów, u których podejrzewają udar, na oddziały ratunkowe do szpitali, gdzie jest oddział neurologii, zamiast zawieźć ich na najbliższy oddział chorób wewnętrznych. Mamy potem taki problem na SOR-ach, że nie ma gdzie tych pacjentów położyć. SOR-y stały się obecnie sposobem na łatanie dziur w wielu innych obszarach ochrony zdrowia.

Pytam, czy lekarzy powinno być więcej. – Być może tak, ale pamiętajmy, że ta liczba jest dostosowana do tego, do czego SOR jest stworzony, a nie do konieczności udzielania porad, zmiany opatrunków czy pilnowania osób nietrzeźwych – podkreśla mój rozmówca. – Alkoholicy zajmują dużo czasu i energii, którą powinniśmy poświęcić na ratowanie życia. Tymczasem izby wytrzeźwień są zamykane.

Pacjenci zakwalifikowani jako wymagający hospitalizacji czekają na SOR-ach, aż zwolnią się miejsca na oddziałach.

A co specjalista sądzi o triażu i retriażu? – O ile triaż jest potrzebnym rozwiązaniem, o tyle o konieczności ponownej oceny stanu pacjenta już można dyskutować. Jeżeli pacjent jest przyjmowany na SOR, to i tak jest monitorowany w sali obserwacyjnej. Jeśli zaś jest to pacjent odroczonej i czeka kilka godzin, może się zdarzyć, że ponowna ocena jego stanu będzie potrzebna. Kłopot w tym, że nie mamy wystarczającej liczby pielęgniarek i ratowników, którzy mogliby ponownie tych pacjentów kwalifikować. To problem natury logistyczno-personalnej, zwłaszcza że do retriażu musiałyby przyjść osoby bardzo doświadczone. Co jednak ważniejsze, żaden retriaż nie byłby potrzebny, gdyby system ratownictwa działał dobrze. Wtedy wszyscy pacjenci i tak byłiby przyjmowani w krótszym czasie.

Ministerstwo nie słucha lekarzy

Podobne zdanie ma dyrektor Szpitala Specjalistycznego im. Stefana



Żeromskiego w Krakowie, członek prezydium Naczelnej Rady Lekarskiej, dr Jerzy Friediger: – Na największym oddziale ratunkowym w Krakowie przyjmujemy ok. 180-200 pacjentów na dobę. Na oddziale mamy dwóch lekarzy, a w godzinach szczególnego obciążenia trzech. Wprowadzenie obowiązku retriażu oznacza, że jedna osoba powinna być wyłączona z normalnej pracy i zajmować się wyłącznie triażowaniem i retriażowaniem. To miało być panaceum na funkcjonowanie SOR-ów, ale uważam, podobnie jak moi koledzy z oddziałów ratunkowych, że pomysł nie jest dobry. Niestety, stanowisko specjalistów medycyny ratunkowej, którzy wyrażali swoje opinie przed wydaniem

rozporządzenia zmieniającego pracę SOR-ów, nie zostało przez ministra zdrowia uwzględnione. Ratownictwo jest dziedziną, której nie da się wtłoczyć w żadne ramy. Każdy pomysł, który dodatkowo obciąża szpitale i SOR-y, jest zły, bo one i tak funkcjonują na granicy wydolności. Niestety, narracja ministerstwa jest taka, że lekarze na SOR-ach mają złą wolę, a minister próbuje uporządkować to, co jest nie do uporządkowania. Nie zajmuje się przy tym problemem, którym powinien się zająć, czyli np. tym, że pacjenci zgłaszają się na SOR, bo im sąsiad powiedział: „Nie idź do lekarza, bo będziesz długo czekać. Idź lepiej na SOR, zrobią ci od razu badania, a może nawet przyjmą do szpitala”. W ten sposób wszyscy oczekują od SOR-ów, że lekarz dyżurny przeprowadzi pełną diagnostykę i postawi rozpoznanie. Tymczasem rolą lekarza SOR-u jest stwierdzenie, czy pacjent wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej. Jeśli tak, mają mu jej udzielić w ramach SOR-u, przyjmając lub

Józefowi Stępniewi

autorowi i redaktorowi książek
naszego wydawnictwa

serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają

Paweł Dybicz z zespołem „Przeglądu”

SOR

SZPITALNY ODDZIAŁ RATUNKOWY

Logo SOR szpitala w Sieradzu.

nie do szpitala, ewentualnie wykonać badania potrzebne do ustalenia dalszych wskazań. Jeśli pacjent tego nie wymaga, dalsza diagnostyka powinna się odbywać nie na szpitalnym oddziale ratunkowym, ale w odpowiedniej poradni.

Zdaniem dyrektora szpitala pacjenci też powinni wiedzieć, jak wygląda to rozróżnienie. – Przykładowo jeśli ktoś nagle zaczęła bardzo silnie boleć głowa, a wcześniej nic takiego się nie działo, powinien się zgłosić na SOR – wyjaśnia dr Friediger. – Ale jeżeli ten ktoś miewa bóle głowy czy migreny, powinien zgłosić się do lekarza POZ. Mówiąc prościej, nagle zmiana stanu zdrowia pacjenta kwalifikuje go na SOR. Wystarczyłoby, gdyby na SOR trafiali wyłącznie tacy pacjenci, a nie ci, którzy chcą sobie bez kolejki zrobić USG. Wtedy na pewno nie mielibyśmy 13-godzinnych kolejek.

Pacjencie, tu ratuje się życie

Informowaniu pacjentów ma służyć kampania zainicjowana przez Śląską Izbę Lekarską: „SOR(RY), tu ratuje się życie!”. Plakaty rozlepione w przychodniach i na oddziałach szpitalnych mają przypominać, że oddziały ratunkowe nie służą diagnozowaniu przewlekłych chorób czy leczeniu bólu gardła, lecz przede wszystkim pomocy w nagłych przypadkach. Śladem śląskich placówek poszli również łódzcy lekarze.

W opinii dyrektora krakowskiego szpitala tego rodzaju kampanie oczywiście są słuszne i potrzebne, ale nie wystarczają, a reformę ratownictwa powinno się zacząć od podstawowej opieki zdrowotnej. – Decyzją byłego ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła obowiązkiem zorganizowania nocnej i świątecznej pomocy lekarskiej zostały obarczone szpitale. Aktualne rozporządzenie tylko utwierdza tę decyzję. Tymczasem zapewnie-

nie całodobowej opieki pacjentom niewymagającym hospitalizacji na pewno nie powinno obciążać szpitali ani SOR-ów. Ale wobec braku chęci stworzenia innych rozwiązań wciśnięto ją szpitalom sieciowym za groszowe wynagrodzenie, oczywiście pod hasłem dobra chorego. Mówi się nam wprawdzie, że przecież pacjenci zgłaszający się na SOR-y mogą być kierowani do nocnej i świątecznej pomocy

Przy takim natłoku chorych niemal na 100% lekarz prędzej czy później się pomyli.

zdrowotnej, ale te osoby i tak muszą przejść przez triaż i zostać obejrzone przez lekarza, zanim wypuści się je z oddziału. Kto ma się tym zajmować? To system naczyni połączonych. Nie da się zreformować SOR-ów bez reformy nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej, a tej z kolei nie da się zreformować bez zmiany systemu działania POZ – wyjaśnia. – Osobną sprawą jest nędzne finansowanie SOR-ów, a także wymogi odnośnie do kadry i wyposażenia. Premiowane jest np. posiadanie rezonansu magnetycznego, choć nie jest to badanie wykonywane „na ostro” – dodaje.

Do pracy na SOR-ach lekarze się nie palą

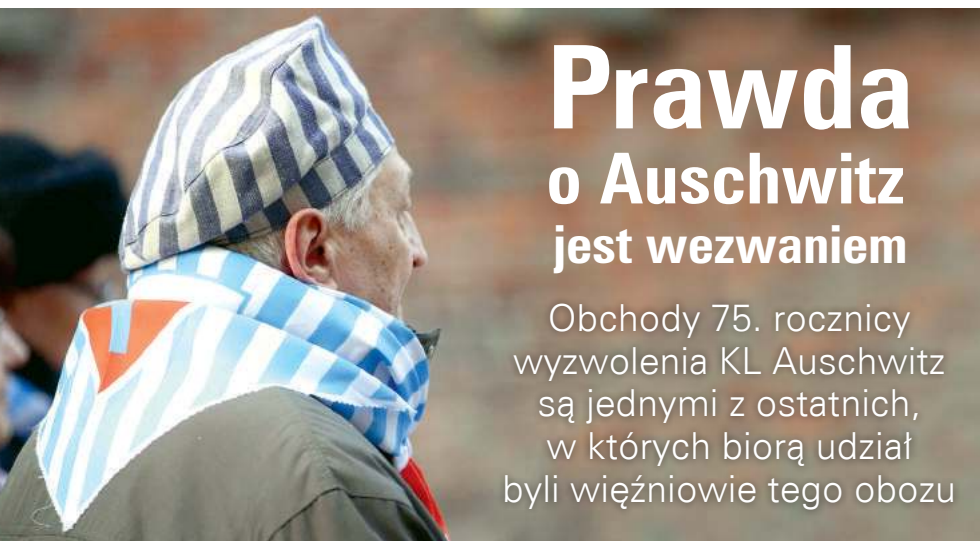
Dyrektor krakowskiego szpitala ma więcej uwag dotyczących systemu: – Poza rozporządzeniami i innymi decyzjami administracyjnymi ministerstwo ma jeszcze jeden sposób działania. Jeśli coś zdarzy się na SOR-ach, wysyłana jest tam kontrola. Najczęściej wykazuje ona niewystarczającą obsadę. Tylko gdzie ma ją znaleźć dyrektor szpitala? Może ten problem rozwiązać w jeden sposób – sprawdzić, ile zarabiają lekarze w innym szpitalu, zaoferować więcej i tak ściągnąć ich do siebie. Pacjentom jednak przerzucenie lekarzy do innego szpitala

la nic nie da. Problemy z obsadą SOR-ów są zaś poważne.

Z jakiego powodu? – Zaczniemy od tego, że w Polsce medycyna ratunkowa została wprowadzona na nieprzygotowany grunt – tłumaczy dr Friediger. – SOR-y stały się w strukturze szpitali osobnymi oddziałami, więc lekarze, którzy na nich dyżurują, nie są tak związani ze szpitalem jak wcześniej, gdy ostry dyżur (np. chirurgiczny, neurologiczny czy internistyczny) był zabezpieczany przez oddział danej specjalizacji. Lekarz z oddziału kwalifikował pacjenta do przyjęcia, wszystko było jasne i proste, bo pacjent od razu zgłaszał się do właściwej izby przyjęć. Po ok. 20 latach funkcjonowania SOR-ów już nie możemy przywrócić dawnej struktury, ale właśnie to zerwanie więzi między izbą przyjęć a oddziałami

szpitala jest jedną z przyczyn tego, że wszyscy narzekają na problem ze znalezieniem lekarzy na oddziały ratunkowe. Jest to zaś praca ogromnie trudna i odpowiedzialna, a także niebezpieczna zawodowo i fizycznie. Na SOR-ach bez przerwy mamy do czynienia z konfliktami z pacjentami i ich rodzinami – wszyscy uważają, że czekają za długo. Przypadki agresji i fizycznych ataków na personel dyżurny są coraz częstsze. Co więcej, przy takim natłoku chorych lekarz niemal na 100% prędzej czy później się pomyli. Wśród starszych i doświadczonych lekarzy nie ma chętnych do dyżurowania na SOR-ach. W większości zatem trafiają tam rezydenci i w ogóle lekarze młodzi, z mniejszym doświadczeniem, bez wsparcia ze strony tych bardziej doświadczonych. Oni bowiem są w stanie znaleźć sobie pracę lżejszą i nie gorzej płatną. Nie jest to oczywiście wyrzut pod adresem lekarzy, ale raczej skierowany w stronę systemu. Aby zapobiec temu zjawisku, powinno się wprowadzić w ramach specjalizacji obowiązek dyżurowania na ostrych dyżurach, czyli kontaktu z nagłymi przypadkami. Obecnie większość lekarzy w klinikach specjalistycznych w ogóle tego kontaktu nie ma, ewentualnie od czasu do czasu są proszeni na SOR do konsultacji.

Anna Brzeska



Prawda o Auschwitz jest wezwaniem

Obchody 75. rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz są jednymi z ostatnich, w których biorą udział byli więźniowie tego obozu

Obchody 74. rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz-Birkenau, 27 stycznia 2019 r.

Bohdan Piętka

27 stycznia 1945 r. żołnierze Armii Czerwonej otworzyli bramy obozu KL Auschwitz – największego niemieckiego i nazistowskiego obozu koncentracyjnego i obozu zagłady. Przynieśli wolność ok. 7 tys. więźniów, w większości chorych i wycieńczonych, którzy nie zostali objęci ewakuacją i którym w każdej chwili groziła śmierć ze strony esesmanów. Niestety, dzień ten nie oznaczał końca gehenny dla 58 tys. więźniów KL Auschwitz, których w dniach 17-21 stycznia niemieccy esesmani wyprowadzili z obozu. Od 9 do 15 tys. zginęło na wiodących przez Górny Śląsk trasach „marszów śmierci”. Kolejni ginęli podczas transportu – przeważnie odkrytymi wagonami towarowymi, węglarkami, w ciężkich warunkach zimowych – do KL Mauthausen, KL Buchenwald, KL Flossenbürg i innych niemieckich obozów koncentracyjnych. Potem ginęli w tych obozach i podczas ich ewakuacji wiosną 1945 r. Więźniów KL Auschwitz nie zabrakło także wśród ofiar tragedii, która rozegrała się 3 maja 1945 r. na wodach Zatoki Łubeckiej. W wyniku omyłkowego ataku lotnictwa alianckiego zginęło wówczas ok. 7 tys. więźniów obozów koncentracyjnych, których Niemcy umieścili na statkach „Cap Arcona” i „Thielbek”. Było wśród nich wielu Polaków, w tym ok. 400 mających za sobą długi pobyt w KL Auschwitz.

Jednak to dzień wyzwolenia największego niemiecko-nazistow-

skiego obozu koncentracyjnego i obozu zagłady stał się symboliczną datą końca epoki hitlerowskiej pogardy dla człowieka. Rocznicą wyzwolenia KL Auschwitz jest od lat podniesione obchodzona w Polsce i na całym świecie jako dzień pamięci o ofiarach Holokaustu i zbrodni nazistowskich. Zawsze była to rocznica ważna, jeśli nie najważniejsza, dla byłych więźniów, którzy przeżyli piekło tego i innych obozów hitlerowskich.

1977 r. – niemiecki kanclerz nie może tutaj milczeć

W okresie PRL obchody rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz w Oświęcimiu nie miały charakteru międzynarodowego, nie uczestniczyli w nich też przedstawiciele najwyższych władz państwowych. Uroczystości odbywały się z udziałem organizacji zrzeszających byłych polskich więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych. Przez wiele lat współorganizatorem obchodów było m.in. Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem założone przez byłych polskich więźniów w 1983 r. Chociaż nie ekspozowano wtedy tematyki Holokaustu tak jak obecnie, nie była ona całkiem pomijana w ówczesnej polskiej polityce historycznej.

Wielkim wydarzeniem tego okresu, z udziałem przedstawicieli najwyższych władz PRL, było natomiast odsłonięcie 16 kwietnia 1967 r. na terenie KL Auschwitz II-Birkenau Międzynarodowego Pomnika Ofiar Faszystów. W uroczystości tej uczestniczyło

ok. 200 tys. osób, wśród nich premier PRL i były więzień KL Auschwitz Józef Cyrankiewicz oraz gen. Wasilij Pietrenko, który brał udział w wyzwoleniu obozu. W przemówieniu premier Cyrankiewicz apelował m.in.: „Odadajmy hołd wszystkim tutaj zamordowanym, budując wedle swoich sił i umiejętności nowe życie wolnych, współżyjących ze sobą narodów, aby zmaść tę hańbę z ludzkości, jaką było to, co działo się w Oświęcimiu. Aby już nigdy więcej! Tylko wtedy będzie to pomnik nie tylko pamięci, ostrzeżenia i czujności, ale i pojednania ludzi i narodów, idących tą samą drogą do tych samych celów”. Odsłonięciu pomnika towarzyszyła premiera oratorium „Dies irae” (Dzień gniewu) Krzysztofa Pendereckiego.

Były KL Auschwitz odwiedzały jednak przed 1989 r. – poza obchodami rocznicy wyzwolenia – liczne delegacje zagraniczne. Hołd ofiarom tego obozu składali prezydent USA Gerald Ford w 1975 r., kanclerz RFN Helmut Schmidt, prezydent Jugosławii Josip Broz-Tito czy cesarz Etiopii Haile Selassie I. Znaczącym wydarzeniem była wizyta w listopadzie 1977 r. Helmuta Schmidta, pierwsza wizyta zachodnioniemieckiego przywódcy w tym miejscu. „Właściwie to miejsce nakazuje milczeć. Ale jestem pewien, że niemiecki kanclerz nie może tutaj milczeć”, powiedział wtedy Schmidt. Przywódca RFN mówił następnie o cierpieniach Polaków oraz niemieckiej odpowiedzialności i winie. Stwierdził też, że „polityka potrzebuje moralnego fundamentu i obyczajowej orientacji”. Polska telewizja państwowa transmitowała to przemówienie na żywo.

Jeszcze bardziej doniosłym wydarzeniem był wizyta papieża Jana Pawła II 7 czerwca 1979 r. W wygłoszonej wtedy homilii papież Polak powiedział m.in.: „Przychodzę więc i klękam na tej Golgocie naszych czasów, na tych mogiłach w ogromnej mierze bezimiennych, jak gigantyczny grób nieznanego żołnierza. Klękam przy wszystkich po kolei tablicach Brzezinki, na których napisane jest wspomnienie ofiar Oświęcimia (...). Za wojnę są odpowiedzialni nie tylko ci, którzy ją bezpośrednio wywołują, ale również ci, którzy nie czynią wszystkiego, co leży w ich mocy, aby jej przeszkodzić. (...) Nigdy jeden naród nie może rozwijać się kosztem

drugiego, nie może rozwijać się za cenę drugiego, za cenę jego uzależnienia, podboju, zniewolenia, za cenę jego eksploatacji, za cenę jego śmierci”. Powiedział także: „I jeszcze jedna tablica – wybrana... Tablica z napisem w języku rosyjskim. Nie dodaję żadnego komentarza. Wiemy, o jakim narodzie mówi ta tablica. Wiemy, jaki był udział tego narodu w ostatniej straszliwej wojnie o wolność ludów. I wobec tej tablicy nie wolno nam przejść obojętnie”.

Jego następcy – Benedykt XVI i Franciszek – złożyli wizyty w byłym KL Auschwitz w 2006 i 2016 r.

2005 r. – świat wiedział o Zagładzie i milczał

Pierwsze międzynarodowe obchody rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz odbyły się w 1995 r., w 50. rocznicę wyzwolenia obozu. Uczestniczył w nich prezydent Lech Wałęsa, przyjechało wiele państwowych delegacji zagranicznych oraz delegacje społeczności żydowskich z Izraela, USA i Europy. Organizatorem uroczystości była Rada Pamięci Walk i Męczeństwa, której sekretarzem generalnym był wówczas Andrzej Przewoźnik.

Do 50. rocznicy wyzwolenia obozu odniósł się również 29 stycznia 1995 r. papież Jan Paweł II w rozważaniu podczas modlitwy Anioł Pański: „50. rocznica wyzwolenia więźniów obozu w Oświęcimiu przypomina o jednym z najbardziej mrocznych i tragicznych momentów historii. W Oświęcimiu,

Zgromadzenie Ogólne ONZ 27 stycznia Międzynarodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Holokaustu. 27 stycznia 2005 r., w 60. rocznicę wyzwolenia obozu, odbyły się pod pomnikiem Ofiar Faszyzmu na terenie byłego obozu Birkenau kolejne uroczystości międzynarodowe na dużą skalę. Wzięło w nich udział ponad 1 tys. żyjących jeszcze wtedy byłych więźniów KL Auschwitz z Polski, Izraela, Rosji, Francji, USA, Niemiec i innych krajów oraz delegacje z ponad 40 państw. Obok prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego obecni byli prezydenci: Izraela – Mosze Kacaw, Rosji – Władimir Putin, Francji – Jacques Chirac, Niemiec – Horst Köhler, Ukrainy – Wiktor Juszczenko i wiceprezydent USA Dick Cheney. Prześlanie do uczestników – odczytane przez nuncjusza apostolskiego abp. Józefa Kowalczyka – skierował papież Jan Paweł II. Zwierzchnik Kościoła katolickiego podkreślił, że nie wolno nikomu pozostać obojętnym wobec tragedii Shoah, a prawda o Auschwitz jest wezwaniem dla współczesnego pokolenia do odpowiedzialności za kształt historii.

Przemawiający w imieniu byłych więźniów Władysław Bartoszewski oświadczył, że więźniowie mają prawo wierzyć, że ich cierpienie i śmierć bliskich miały znaczenie dla lepszej przyszłości wszystkich ludzi. Podkreślił, że żadne państwo świata nie zareagowało odpowiednio na płynące z Polski wieści o tym, co dzieje się w Auschwitz, tymczasem adekwatna

i nie ma prawa być obojętnym wobec antysemityzmu, nacjonalizmu, ksenofobii, rasowej i religijnej nietolerancji”. Dodał, że jest mu wstyd za występujący w Rosji antysemityzm.

Mosze Kacaw zwrócił uwagę, że aktu zagłady dokonał naród, który wydał z siebie najwspanialszych naukowców, muzyków. Jak mówił, wielu z nich wiedziało o morderstwie, lecz pozostali obojętni: „Świat wiedział o Zagładzie i milczał”.

Uroczystości w byłym obozie Birkenau poprzedziło forum „Pozwólcie żyć narodowi mojemu”, które odbyło się tego samego dnia w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie z udziałem przywódców państw, intelektualistów, artystów, byłych więźniów i weteranów Armii Czerwonej, którzy wyzwalał obóz.

2015 r. – nieudana próba alternatywnych obchodów

Od przełomu pierwszej i drugiej dekady XXI w. uroczystości rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz i Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu mają wyłącznie charakter międzynarodowy. Uczestniczą w nich premier polskiego rządu lub przedstawiciel Kancelarii Prezydenta RP oraz ambasadorowie Izraela, Niemiec, Rosji i USA, a podczas ważniejszych rocznic delegacje państwowe na najwyższym szczeblu. Tak było podczas 65. rocznicy wyzwolenia obozu w 2010 r., z udziałem prezydenta Lecha Kaczyńskiego i premiera Donalda Tuska, premiera Izraela Beniamina Netanjahu i delegacji Knesetu, prezydenta Rosji Dmitrija Miedwiediewa, przewodniczącego Parlamentu Europejskiego i kilkudziesięciu delegacji państwowych. Na obchody 70. rocznicy wyzwolenia obozu w 2015 r. przybyły delegacje z ponad 40 państw. Polskę reprezentował prezydent Bronisław Komorowski, obecni byli prezydenci: Niemiec – Joachim Gauck, Francji – François Hollande, Ukrainy – Petro Poroszenko, Litwy – Dalia Grybauskaitė, Słowacji – Andrej Kiska, król Belgii Filip I i król Holandii Willem-Alexander, premier Czech Bohuslav Sobotka. USA reprezentował sekretarz skarbu Jack Lew, Izrael – przewodniczący Rady Yad Vashem rabin Meir Lau, a Stolicę Apostolską – kard. Stanisław Dziwisz. Prezydent USA Barack Obama przesłał oświadczenie, w którym ▶

Dzień wyzwolenia KL Auschwitz stał się symboliczną datą końca epoki hitlerowskiej pogardy dla człowieka.

podobnie jak w innych obozach koncentracyjnych, zginęło wielu niewinnych ludzi różnej narodowości. Zwłaszcza synowie i córki narodu żydowskiego, skazanego na planową zagładę przez reżim hitlerowski, przeszli przez dramatyczne doświadczenie Holokaustu. Był to przejaw zaćmienia rozumu, sumienia i serca. Wspomnienie tego triumfu zła musi budzić w nas głęboką gorycz i braterską solidarność z tymi, którzy noszą niezatarte znamię tej tragedii”.

Wpływ na umiędzynarodowienie obchodów rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz miało niewątpliwie ustanowienie w 2005 r. przez

odpowiedź na te doniesienia mogłaby ocalić życie przynajmniej części ofiar.

„Musimy mówić, pamiętać i krzyczeć: tu było piekło na ziemi! (...) Wciąż nie możemy zapomnieć, że to »ludzie ludziom zgotowali ten los«” – to słowa prezydenta Kwaśniewskiego. Z kolei Władimir Putin zaznaczył, że „trzeba wyraźnie i jednoznacznie powiedzieć: wszelkie próby rewidowania historii, stawiania w jednym szeregu ofiar i katów, wyzwolicieli i okupantów, są amoralne i nie do przyjęcia”. Ponadto przywódca Rosji stwierdził, że „jesteśmy zobowiązani ogłosić jednym głosem obecnemu i przyszłym pokoleniom: nikt nie może

► zapewnił: „Nigdy nie zapomnimy o ofiarach Holokaustu i obiecujemy, że nigdy więcej nic podobnego się nie powtórzy”. Nie przybył również Władimir Putin, który twierdził, że go nie zaproszono, ale faktycznie zbojkotował uroczystość w Polsce.

Już wtedy przywódca Rosji próbował organizować konkurencyjne obchody rocznicy wyzwolenia Auschwitz z udziałem Władysława Mosze Kantora i prezydenta Czech Miloša Zemana w Pradze oraz na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Terezynie. Ponieważ to się nie powiodło, na 70. rocznicę wyzwolenia KL Auschwitz przybyła jednak do Oświęcimia i Brzezinki delegacja rosyjska z szefem administracji prezydenta Rosji Siergiejem Iwanowem na czele.

Prezydent Bronisław Komorowski podkreślił w przemówieniu, że „dokładnie o tej porze, 70 lat temu, obóz oswobodzili żołnierze 60. Armii 1. Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej”, a „po południu 100. Lwowska Dywizja Piechoty wkroczyła do głównej części obozu.

Z wdzięcznością i szacunkiem myślimy dzisiaj o tych żołnierzach”.

W uroczystości wzięto udział ok. 300 żyjących jeszcze byłych więźniów KL Auschwitz – głównie z Polski i Izraela. W imieniu byłych więźniów polskich przemówił Kazimierz Albin, a w imieniu żydowskich zabrali głos Halina Birenbaum i Roman Kent. Kazimierz Albin przypomniał, że w obozie i wokół niego istniał zorganizowany ruch oporu kierowany przez AK, Polską Partię Socjalistyczną i Bataliony Chłopskie, a „ofiarność ludności polskiej ze strefy przyobozowej była bezcenna”. Natomiast Roman Kent mówił o próbach negowania Holokaustu. Jego zdaniem „wraz z upływem czasu wyraźniej widać, że ideologiczni spadkobiercy sprawców tej zbrodni, podobnie jak negacjoniści, ludzie niedouczeni (...), próbują wygładzić Shoah”.

Ważna uroczystość odbyła się też w 68. rocznicę wyzwolenia KL Auschwitz w 2013 r. Odślonięto wówczas rosyjską wystawę narodową w bloku 14. byłego obozu macierzystego KL Auschwitz I. Wystawa ta, na

której pokazane są m.in. męczeństwo jeńców radzieckich, martyrologia obywateli ZSRR w KL Auschwitz i rola Armii Czerwonej w wyzwoleniu obozu, została przygotowana przez Ministerstwo Kultury Federacji Rosyjskiej oraz Centralne Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w Moskwie. W jej otwarciu uczestniczyli przewodniczący Dumy Państwowej Rosji Siergiej Naryszkina, wicemarszałek Sejmu RP Jerzy Wenderlich, ministrowie kultury Rosji i Polski Władimir Medinski i Bogdan Zdrojewski oraz weterani Armii Czerwonej, którzy wyzwolali obóz.

Tegoroczne obchody 75. rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz są prawdopodobnie jednymi z ostatnich, w których biorą udział byli więźniowie tego obozu. Po ich odejściu trudna rola strażników pamięci spadnie na tych, którzy rozumieją znaczenie prawdy historycznej o zbrodniach nazistowskich w zapobieganiu powtórzeniu się koszmaru, jaki miał miejsce w KL Auschwitz i innych niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych i obozach zagłady.

Bohdan Piętko

CZY WIESZ, ŻE...

PŁATKI ŚNIEGU OPADAJĄ NAJCZĘŚCIEJ Z PRĘDKOŚCIĄ 5 KM/H?

A CZY WIESZ...

GDZIE JUTRO SPADNIE ŚNIEG?

interia POGODA

SPRAWDZA SIĘ!



Marek Łapiński swoją pozycję w dużym stopniu zawdzięcza Mariuszowi Błaszczakowi.

Marek Kowszytów

Kandydatura Marka Łapińskiego gładko przeszła przez sejmową Komisję ds. Służb Specjalnych, ma też aprobatę Kolegium ds. Służb Specjalnych, więc Łapiński czeka już tylko na podpis premiera Mateusza Morawieckiego. Nie powinno być z tym kłopotów, bo Łapiński to człowiek Mariusza Błaszczaka, ministra obrony i jednego z najbliższych współpracowników Jarosława Kaczyńskiego.

W końcu grudnia 2015 r., kiedy PiS na dobre objęło władzę, Łapiński, świeży emeryt pogranicznik w stopniu kapitana, nagle został komendantem Straży Granicznej. Wcześniej, jak ujawnił portal tvn24.pl, przez pięć lat był w dyspozycji komendanta głównego SG. Nie miał wyznaczonych obowiązków służbowych, nie musiał przychodzić do pracy, ale pobierał dyrektorską pensję.

Posadę szefa pograniczników Łapiński zawdzięcza Błaszczakowi, który stał wtedy na czele Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Na tym stanowisku Łapiński błyskawicznie awansował. Już pierwszego dnia dostał stopień majora. Dojście do szarży generalskiej zajęło mu zaledwie półtora roku.

Jako komendant główny SG niczym szczególnie pozytywnym się nie wyróżnił. Przeciwnie, jeden z faktów kompromitujących Straż Graniczną za rządów Łapińskiego przypominał nie tak dawno portal osluzbach.pl. Chodzi o słynną aferę z prostytutkami, z których usług kilka lat temu mieli korzystać m.in. czołowi politycy „do-

Skoczek na szachownicy pisowskich służb

Gen. Marek Łapiński, sekretarz stanu w MON, ma zostać nowym szefem Służby Wywiadu Wojskowego



brej zmiany”. „Oczywiście nie można Łapińskiego łączyć bezpośrednio z działalnością agencji towarzyskich, jakie prowadzili w Rzeszowie i okolicach pochodzący z Ukrainy bracia R. Ale doświadczony oficer policji, który zna realia Podkarpacia i kulisy afery, mówi wprost: »To, co się działo na Rzeszowszczyźnie, nie mogło się odbywać bez cichego porozumienia ze Strażą Graniczną. Mieli zblatowanych pograniczników, mieli bramki, ludzi na przejściach granicznych. Ludzie z SG wiedzieli, dokąd jadą te dziewczyny i w jakim celu«, czytamy na portalu.

O ile w tym wypadku można mówić najwyżej o braku właściwego nadzoru nad podległymi Łapińskiemu pogranicznikami, o tyle sprawa przyjęcia do Straży Granicznej syna Bogdana Sakowicza, wiceszefa CBA, znajomego Łapińskiego z UOP i Służby Celnej, dotyczy jego bezpośrednich decyzji. Pisaliśmy o tym w PRZEGLĄDZIE rok temu (nr 3/2019). Teraz znamy więcej szczegółów.

Funkcjonariusze Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej informowali Joachima Brudzińskiego, kiedy był jeszcze szefem MSWiA, że syn Bogdana Sakowicza, Marcel, na początku 2017 r. nie przeszedł pozytywnie badań psychologicznych, jakim

poddawani są kandydaci do służby w SG. „W wyniku interwencji komendanta głównego Straży Granicznej gen. M. Łapińskiego Marcel S. w lecie 2017 r. przystępuje do dodatkowego badania psychologicznego w Biurze Kadr i Szkolenia Komendy Głównej Straży Granicznej, oczywiście z wynikiem pozytywnym – pisali podlascy pogranicznicy. – W czasie egzaminów w ośrodku szkolenia syn zastępcy szefa CBA otrzymał niewielką liczbę punktów (o jeden więcej niż dolna granica)”.

Według ich relacji był to początek sprawnie przeprowadzonej operacji mającej na celu jak najszybsze przyjęcie do pracy Sakowicza juniora. W większości służb mundurowych, poza służbami specjalnymi, istnieją regulowane rozporządzeniami terminy naboru nowych rekrutów. W przypadku Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej termin był wyznaczony na luty 2018 r., ale gen. Łapiński miał wydać komendantowi pisemne polecenie, aby ten pięciu „wybranych, super zdolnych i niezbędnych dla Straży” kandydatów – w tym Marcela S. – przyjął do pracy 18 grudnia 2017 r.

Wydaje się, że ten pośpiech miał jeszcze drugie dno: Łapiński już wtedy wiedział, że za chwilę przestanie być przełożonym pograniczników i obejmie posadę w resorcie obrony. Tak też się stało, pod koniec stycznia 2018 r. został jednym z zastępców Mariusza Błaszczaka, który objął MON po Antonim Macierewiczu. Tym samym jego wpływ na Straż Graniczną sprowadzony został do zera.

„Jeżeli to nie jest korupcja w celu osiągnięcia korzyści osobistych, to jak to inaczej nazwać? Czas chyba na stanowcze reakcje organów powołanych do zwalczania takiego postępowania”, pisali do Joachima Brudzińskiego pogranicznicy. Efekt? Sakowicz junior dostał ciepłą posadkę w Wydziale Kadr i Szkolenia Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej, za to agenci CBA, którzy chcieli się przyjrzeć sprawie, wylecieli z pracy.

– Za rządów PiS raczej nie ma co liczyć na jej rozpracowanie. „Dobra zmiana” trwa i wszystko jest zamiatane pod dywan, a rodziniki szefów służb doją kasę – żali się były funkcjonariusz CBA. Prokuratura Okręgowa w Radomiu sprawę potencjalnej korupcji wśród pograniczników umorzyła w czerwcu 2018 r. ■

Ewa Smolińska-Borecka

Wczesne przedpołudnie. Przez szerokie drzwi balkonowe do jadalni wpadają promienie słońca. Rozświetlają duży stół, przy którym mogą się zmieścić wszyscy mieszkańcy tego domu. A jest ich czternaścioro. Zdarza się, że przez chwilę więcej, ale bywa i mniej. Dom Dzieci w Pęcherach w powiecie piaseczyńskim jest placówką interwencyjną. Tymczasową przystanią dla dzieci, które nie mogą być w rodzinie.

Andrzej siedzi na kanapie. Nasunął na głowę kaptur bluzy, tak że nie widać twarzy. W dłoniach smartfon. Odpowiada na dzień dobry, nie podnosząc głowy. Zbuntowany 13-latek. Jego młodszy brat Michał reaguje spontanicznie. Dwulatek pozwala wziąć się na ręce Anecie Piliszek, dyrektor Centrum Administracyjnego Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych w Pęcherach, a nawet tuli się do niej. Jest mile zaskoczona, że chłopiec zrobił się taki wesoły i ufny, bo kiedy dwa dni temu rodzeństwo zostało przywiezione do ośrodka, maluch na obcych reagował płaczem. Oderwany nagle od rodziców stracił poczucie bezpieczeństwa. Co dalej będzie z braćmi, zdecyduje sąd. Na tę decyzję będą czekać właśnie tu – w domu interwencyjnym. Podobnie jak dwanaścioro pozostałych mieszkańców.

Uwaga, dziecko!

Tak zwane pogotowia opiekuńcze powstały po to, by o każdej porze dnia i nocy nieść pomoc dzieciom. Żeby je wyrwać z łap pijanego tatusia, który zapragnął je ustawić do pionu za pomocą pasa, lub odebrać mamusi, która maszerując „po kieliszku”, upuściła niemowlę na chodnik.

Pieczna zastępcza dzieli się u nas na instytucjonalną i rodzinną, korzystniejszą dla dziecka. Jeśli chodzi o pieczę instytucjonalną, to w Polsce funkcjonuje 1125 placówek opiekuńczo-wychowawczych. W tej liczbie jest 205 placówek interwencyjnych, z tym że część stanowi jedynie jakiś fragment placówek socjalizacyjnych, bo na kilkanaście miejsc w nich zaledwie kilka to są te interwencyjne.

W 2018 r. w instytucjonalnej pieczy zastępczej było 16 732 dzieci.



Dla dobra dziecka

Większość dzieci w pogotowiach opiekuńczych to ofiary alkoholu, pitego przez matki w ciąży i po urodzeniu

Z tego w placówkach interwencyjnych – 1209. Jeśli chodzi o rodzinną pieczę zastępczą, to w Polsce funkcjonowało ponad 36 tys. rodzin zastępczych, a rodzin o charakterze pogotowia rodzinnego było 472. W ciągu roku w rodzinach zawodowych o charakterze pogotowia rodzinnego było 1482 dzieci. W sumie więc w formach interwencyjnych znalazło miejsce 2691 dzieci.

Słońce maluje pokoje

Na sporym terenie pięć domków o czerwonych, spadzistych dachach. W jednym mieszczą się dyrekcja kompleksu Domów Dzieci, administracja i służby pomocnicze, w trzech placówki opiekuńczo-wychowawcze, a w piątym placówka typu interwencyjnego. Kompleks otwarto ponad cztery lata temu.

Do zamożnego powiatu piaseczyńskiego ściągają coraz więcej nowych mieszkańców z innych powiatów, przenoszą się tu znani warszawiacy, ludzie wolnych zawodów. Nie wszystkie rodziny dają sobie radę z wychowaniem dzieci, zdarzają się rodziny dysfunkcyjne, patologiczne. Stąd decyzja, by zbudować nowoczesny dom dziecka. Dom interwencyjny, podobnie jak trzy pozostałe, jest odrębnym organizmem, ma własnego koordynatora – Joannę Regulską, oraz własną kucharkę.

Najtrudniejszy jest poranek, kiedy wszystkie dzieci trzeba wyekspediować do szkół. Kucharka Ewa krząta się, by na czas podać śniadanie, a dzieci powoli, z ociąganiem, opuszczają łóżka. Na piętrze jest sześć dwuosobowych pokoi – po trzy dla dziewcząt i dla chłopców. W pokojach dziewcząt dziesiątki przytulanki i maskotki, niektóre są pamiątkami z domu rodzinnego, większość to otrzymane tutaj prezenty, które ułatwiają dzieciom pierwsze dni pobytu w nowym miejscu.

Na piętrze są także dwie łazienki, dwie toalety i sala telewizyjna. Kanała przed telewizorem służy jako awaryjne miejsce do spania, gdy policja przywozi nowe dziecko, a wszystkie pokoje są zajęte. – Najtrudniejszy był moment, kiedy w bardzo krótkim czasie do domu interwencyjnego musieliśmy przyjąć ośmioro dzieci – wspomina dyrektor Aneta Piliszek. – Po pierwsze, bardzo trudno było je rozlokować. A po drugie, nie mogliśmy im poświęcić tak wiele uwagi, jak zawsze to robimy, kiedy zjawia się

Interwencyjny Ośrodek Preadopcyjny w Otwocku to jedyne miejsce w województwie mazowieckim, gdzie schronienie znajdują niemowlęta.

nowe dziecko. Zwłaszcza że w tym samym czasie do pozostałych domów też musieliśmy przyjąć czworo nowych dzieci. A przecież liczba pracowników nie wzrosła. Ale daliśmy sobie radę.

Dyrektor Piliszek jest bardzo dumna z domów, którymi kieruje. Cieszy się, że mają przyzwoity standard, na miarę XXI w. – Niektórzy uważają, że jak dzieci są przyzwyczajone do niskiego standardu, to powinny przebywać w takich właśnie warunkach, że to im wystarczy – mówi. – Ja tak nie uważam. Moim zdaniem powinno im się zapewnić jak najlepsze warunki, żeby wiedziały, jak można dobrze żyć. My bardzo dbamy o to, żeby domy były regularnie remontowane, żeby były piękne. Żeby dzieci uczestniczyły w planowaniu tego, co się robi, w zakupach. Żeby wiedziały, co jest w życiu ważne, miały do czego się odnieść. Pobyt w takim domu interwencyjnym to dla tych dzieci okazja, by zobaczyć, jak może wyglądać życie.

Młodsze chodzą do szkoły podstawowej w Jazgarzewie, starsze, powyżej 13 lat, które mogą dojeżdżać same – do swoich dotychczasowych szkół: w Piasecznie, Górze Kalwarii czy w Warszawie. Teoretycznie to rozwiązanie najwyżej na trzy miesiące, bo ustawa o systemie pieczy zastępczej mówi, że w placówce interwencyjnej mogą przebywać dzieci od 10. roku życia i powinny one jak najszybciej znaleźć się w rodzinie zastępczej lub domu dziecka. Pobyt w placówce interwencyjnej może być przedłużony do pół roku w wyjątkowych przypadkach. Życie jednak koryguje założenia. – Trzy miesiące to byłby dobry standard, gdyby udało się go zachować. Na ogół niestety jest dłużej. Były u nas i są takie dzieci, którym trzy miesiące przedłużyły się powyżej roku – opowiada Aneta Piliszek. – Ale to nie od nas zależy. To, czy dziecko trafia do innej placówki, do rodziny zastępczej, czy wraca do swojej rodziny, zawsze jest decyzją sądu. Te opóźnienia, przedłużenia terminów najczęściej wynikają z terminów spraw. Nie ze złej woli sędziego, ale z nadmiaru spraw. Jeśli

sędzia ma kilkadziesiąt spraw w referacie, to sprawy dotyczące naszych dzieci też czekają. Chociaż my bardzo się staramy, wysyłamy pisma, rozmawiamy z sędziami, prosimy, żeby to było jak najszybciej, bo takie zawieszenie, niewiedza, co będzie dalej, jest stratą dla dzieci. Nawet te kilkuletnie mają świadomość, co się z nimi dzieje. Wiedzą, że są w instytucji, że na coś czekają.

Kiedy przychodzą do domu interwencyjnego, są wystraszone, zasmuczone, ale jednocześnie mile zaskoczone. Bo w Pęcherach wszystko jest takie fajne, piękne. Pokoiki przytulne, aneks kuchenny i jadalnia dobrze wyposażone i przestronne. A przecież miejsce, gdzie się gotuje i je posiłki, to jakby serce domu. – Dzieci mówią, że nie spodziewały się, że tu jest tak sympatycznie – twierdzi pani dyrektor. – Bały się, że będą miały surowych wychowawców, a tu czeka na nie koordynatorka domu Asia Regulska, która jest uśmiechnięta, serdeczna.

W 2018 r. w różnych formach opieki interwencyjnej znalazło miejsce 2691 dzieci.

A może to nierozwaga, bo jeśli dziecko przybywa z domu dysfunkcyjnego, musi jednak czuć rygor? – Potrzebna jest konsekwencja, mądrość, ale przede wszystkim naprawdę dużo serca – mówi z przekonaniem Aneta Piliszek. – Tu nie sprawdzają się osoby, dla których najważniejszy jest porządek, rygor. Tu trzeba być dla dziecka dorosłym niezagrażającym, bezpiecznym. Asia, czyli koordynatorka domu, jest jednocześnie osobą trzymającą wszystko w ryzach i bardzo ciepłą. I dzieci to czują. Reszta zespołu – pięcioro wychowawców, wśród nich pedagodzy i psycholożki – też taka jest.

– Uważam, że trzeba to wyważyć – przekonuje Joanna Regulska. – Tu są dzieci, które mają za sobą trudne przeżycia. Tego, co przez pięć lat w domu było zaniedbywane, nie da się naprawić, odbudować w miesiąc albo trzy. Potrzeba kolejnych pięciu lat. Dlatego praktycznie każde nasze dziecko potrzebuje terapii długoterminowej. A żeby wszystkim zapewnić pomoc, konieczna jest logistka. To jedna z podstawowych rzeczy tutaj.

– Postawiliśmy sobie za cel, że dzieci, kiedy są u nas, muszą jak najwięcej zobaczyć, doznać – wyjaśnia dyrektorka. – Chcemy, żeby mogły myśleć o czymś innym niż to, z czym przyszły z domu. Muszą zobaczyć, że życie polega na czymś innym. Dużo wyjeżdżamy, zapraszamy gości, organizujemy zajęcia, koncerty na mieście i na zewnątrz, jeździmy do kina, teatrów. Chcemy, żeby ciągle coś się działo, coś dobrego.

Czasem uciekają do Pęcher

Zdarzyło się kilka razy, że w Pęcherach pojawił się nastolatek z plecakiem, prosząc o schronienie. Bo w rodzinnym domu ciągle są libacje, a ojciec go bije. Ale zazwyczaj znajdują się tu nie z własnej woli. – Bywają sytuacje gorące: awantura domowa, sąsiad wzywa policję, a gdy ta przyjeżdża, stwierdza, że w domu są dzieci, a rodzic lub opiekun nie jest w stanie się nimi opiekować, bo jest pod wpływem alkoholu czy

narkotyków – opowiada Aneta Piliszek. – Natomiast większość dzieci trafia do nas na podstawie postanowienia sądu. Postanowienie to sędzia wydaje po gruntownym zbadaniu sytuacji rodziny, kiedy dochodzi do wniosku, że dzieci nie mogą w tej rodzinie pozostać. 99% takich spraw ma związek z nadużywaniem alkoholu, coraz częściej także z narkotykami i przemocą wobec dzieci.

Czy dzieci tęsknią za rodzicami? Czy chciałyby wrócić do nich? – Prawie zawsze, z małymi wyjątkami, dziecko chce wrócić do domu, nawet jeśli ma świadomość, że działo się tam coś złego – mówi dyrektorka. – Ono zawsze daje szansę rodzicom, zawsze w nich wierzy.

Góra naleśników

Pani Ewa krząta się w kuchni. Dziś na obiad będzie zapiekanka makaronowa. – Dodaję do makaronu kiełbaskę, cebulkę, czosnek, robię sos czosnkowy do polania – zdradza pani Ewa. Pracuje na cały etat. W domu interwencyjnym fachowa pomoc kucharki jest bardziej potrzebna niż ▶

► w pozostałych trzech domach, gdzie kucharki zatrudnia się na pół etatu, bo tam dzieci są starsze, powyżej 10. roku życia, i muszą się uczyć wielu rzeczy, także tego, jak samodzielnie przygotowywać posiłki.

Ukochany obiad dzieci z domu interwencyjnego to naleśniki z serem. To też ukochany obiad pani Ewy. – Uwielbiam smażyć naleśniki – wyznaje. – A dzieci są zachwycone. Cieszę się, że małemu Michałowi, naszemu dwulatkowi, też smakują moje potrawy. Wczoraj zjadł całą miseczkę zupy, więc dolałam mu jeszcze pół i też zjadł. A chociaż ja go karmię,

ny to jedyne miejsce w województwie mazowieckim, gdzie schronienie znajdują niemowlęta. Drugi podobny ośrodek jest w Łodzi. Ten otwocki prowadzi Fundacja Rodzin Adopcyjnych zarejestrowana w Warszawie. Jej działalność wspiera finansowo marszałek województwa. Co roku jest rozpisany konkurs na prowadzenie ośrodka preadopcyjnego i co roku fundacja go wygrywa. Prawdę powiedziawszy, nie ma konkurencji, bo zadanie trudne, a pieniędzy za mało. Dlatego trzeba ciągle się starać o dary czy o wpłaty w ramach odpisu 1% podatku.

W szklanym pokoiku trzy łóżeczka, ale tylko dwoje niemowląt. Dla tych dzieci zabrakło wolontariuszek, więc na spacer pójść w drugiej turze. – Współpracę nawiązujemy tylko z takimi osobami, które mają zaświadczenie od lekarza, że mogą pracować z dziećmi, mają wymagane badania, m.in. na nosicielstwo, i mogą przeznaczyć na opiekę nad naszymi dziećmi co najmniej 10 godzin tygodniowo – wyjaśnia Kinga Błaszczuk. – Te 10 godzin jest po to, by wolontariuszki nie zmieniały się bez przerwy. Wolontariuszka musi mieć świadomość, że współpraca z nami to zobowiązanie.

Wolontariuszka właśnie zabrała na spacer Zosię. Została tylko Marysia. Drobinka na leżaczku wygląda jak noworodek, tymczasem Marysia ma prawie siedem miesięcy, ale waży 4,5 kg. To wynik alkoholowego zespołu płodowego, czyli FAS. Jest to jedyna choroba, której można by uniknąć, gdyby matka nie piła alkoholu w czasie ciąży. W podobnym stopniu obciążone tą chorobą jest jeszcze drugie niemowlę, ośmioro innych dzieci jest obciążonych w mniejszym stopniu.

Alkoholizm matek to główny problem dzieci w otwockim ośrodku. – Te wszystkie dzieci są po traumie – mówi Kinga Błaszczuk. – Są na tyle małe, że nie zdają sobie sprawy, że w każdej chwili możemy dostać telefon z sądu z informacją, jakie jest

Marysia ma prawie siedem miesięcy, ale waży 4,5 kg. To wynik alkoholowego zespołu płodowego, czyli FAS.

on musi mieć swoją tyżkę, bo inaczej nie chce jeść.

Michał, który z bratem trafił do ośrodka zaledwie dwa dni temu, to w tej chwili najmłodszy mieszkaniec domu interwencyjnego. Teraz rodzeństwo się nie rozdziela, więc zostanie z bratem. Czasami do Pęcher trafiają niemowlaki. Dla tak małych dzieci nie ma tu odpowiednich warunków. Mogą znaleźć schronienie na dzień lub dwa, ale potem przewozi się je do Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego w Otwocku.

Szklane pokoiki

Pokoiki są wydzielone szklanymi ścianami, w każdym trzy-cztery łóżeczka. Razem 20. Teraz mieszkańców jest siedemnastoro, ale w każdej chwili może przybyć ktoś nowy. Placówka jest interwencyjna, więc nigdy nie wiadomo, co się wydarzy wieczorem czy w nocy. Na przykład niemowlę wypadło mamie z nosidełka, kiedy szła nietrzeźwa, a przygodny przechodzień zaopiekował się dzieckiem i wezwał policję. Policjanci zaś przywieźli je do ośrodka w Otwocku. Wiedzą, że tu każdy malec zostanie przyjęty, bo przecież ośrodek interwencyjny musi się liczyć z sytuacjami nadzwyczajnymi.

W pomieszczeniach wynajętych od Szpitala Powiatowego w Otwocku jest kolorowa przystań dla najmłodszych mieszkańców województwa mazowieckiego, którzy z różnych powodów nie mogą być przy swoich mamach. Interwencyjny Ośrodek Preadopcyj-

Do ośrodka nie można wejść ot tak. Ze względu na bezpieczeństwo małych pensjonariuszy drzwi są zamknięte kodem. Wyjście bez kodu też jest niemożliwe. To na wszelki wypadek, gdyby np. któraś z matek odwiedzających dziecko postanowiła je uprowadzić. Niedawno mieli tu dramatyczną sytuację – mama narkomanka wybiła łomem szybę w drzwiach wejściowych, pobiła opiekunki, chwyciła dziecko na ręce i chciała z nim uciec. Szybko została schwytana, a zakrwawione niemowlę jej odebrano. Na szczęście nic mu się nie stało; krew, którą miało na sobie, pochodziła z ran matki.

FAS to jedyna choroba, której można by uniknąć, gdyby matka nie piła alkoholu w czasie ciąży.

Praca w ośrodku w Otwocku bywa więc niebezpieczna. Ale zazwyczaj jest tak spokojnie jak teraz. Minęła godz. 11. Większość niemowląt już nakarmiona. Dwie wolontariuszki wnoszą na rękach dwoje dzieci, układają w wózkach i za chwilę ruszą na spacer po Otwocku. Już wcześniej na spacer ze swoimi opiekunkami wyszło dziesięcioro niemowląt. Kinga Błaszczuk, pracownica fundacji, z dumą oprowadza po ośrodku. W garderobie aż oczy boją od kolorowych ubranek – tysiący śpioszków, koszulek i kombinezonów. To robi wrażenie. Opiekunki karmią właśnie z butelek trójkę noworodków, a potem układają je sobie na piersiach brzuskami do dołu.

postanowienie: czy wracają do rodzin biologicznych, czy idą do rodzin adopcyjnych. A jeśli nie uwolnią się prawnie – że idą do rodzin zastępczych. W ostateczności do domów dziecka, ale te placówki nie są dostosowane do rocznych dzieci. Jeżeli niemowlę jest w bardzo złym stanie, przenosi się je do zakładu opiekuńczo-leczniczego. Zdarzały się takie przypadki.

Dzieci zdrowe nie czekają ani chwili, kiedy ich sytuacja prawna zostaje wyjaśniona przez sąd. – Najkrócej dzieci mogą być u nas sześć tygodni, bo dopiero po tym czasie od urodzenia mama może zrzec się praw do dziecka, czyli ma szansę przez sześć tygodni przemyśleć po-



Aneks kuchenny i jadalnia w Domu Dzieci w Pęcherach są przestronne i dobrze wyposażone.

wtórnie swoją decyzję – tłumaczy Mirosława Romanowska, psycholog dziecięca z Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego. – Może mieć w tym czasie kontakt z jednym z ośrodków adopcyjnych, może też pracować z naszym pracownikiem socjalnym. Często jest tak, że mama chce być w tamtym ośrodku, chce z nim współpracować, ale nie chce przychodzić tutaj, nie chce zobaczyć dziecka. Jeśli jednak decyduje się zostać z dzieckiem, to fundacja jej w tym pomaga.

Czasem do ośrodka w Otwocku dziecko trafia ze szpitala, ale nie dlatego, że matka je porzuciła po porodzie. Po prostu lekarze orientują się, że matka nie może sprawować opieki nad dzieckiem, bo jest upośledzona psychicznie albo nadużywa alkoholu, jest narkomanką, jest bezdomna czy nie ma zabezpieczonej sytuacji, by mogła opiekować się dzieckiem. – Szpital zgłasza ten przypadek do powiatowego centrum pomocy rodzinie, załatwiane jest postanowienie sądu i dziecko trafia z tym postanowieniem do nas – wyjaśnia Mirosława Romanowska. – Szpital działa dla dobra dziecka, bo jeśli matka jest narkomanką i nie ma gdzie mieszkać, trudno jej oddawać noworodka. Kiedyś takich sytuacji było więcej, teraz jest mniej. Częściej dzieci powierza się matkom i to wcale nie jest rozwiązanie najlepsze dla dziecka. W tym roku zwiększyła się liczba interwencji, to znaczy dzieci przyjmowanych po zgłoszeniu przez sąsiadów lub

przechodniów, że niemowlę jest pod opieką pijanej matki. I wtedy policja lub PCPR przywozi nam dziecko. A ono ma już za sobą kilka miesięcy, kiedy było w domu i było karmione alkoholem z piersi. Poza tym uzależniona matka nie daje dziecku poczucia bezpieczeństwa, ponieważ jest nieprzewidywalna. Jak jest trzeźwa, to jest dostępna, chętna, ale jak jest pijana, nie daje rady zareagować na

Dziecko zawsze daje szansę rodzicom, zawsze w nich wierzy.

płacz dziecka. Poza tym niepokojąca jest przemoc wobec niemowląt. Już w tym roku zdarzyły się trzy takie przypadki. Dzieci, które do nas przywieziono, były pobite, prawdopodobnie przez ojca. Jedno tak mocno, że do końca życia będzie upośledzone, bo ma bardzo ciężkie uszkodzenie mózgu.

– Średni okres pobytu dziecka w naszej placówce to około czterech miesięcy – informuje Kinga Błaszczuk. – Czyli przez rok jest u nas nie dwadzieścioro, ale osiemdziesięcioro dzieci. Część takich maluchów od razu trafia do rodzin zastępczych. Ale tych rodzin jest za mało. Poza tym część dzieci jest tak poważnie chora, że żadna rodzina zastępcza nie podjęłaby się opieki. Dla tych dzieci jesteśmy jedynym rozwiązaniem.

Próba macierzyństwa

To, że dziecko trafia do otwockiego ośrodka, nie oznacza, że matka

nie może się nim opiekować. Może tam przyjeżdżać codziennie między godz. 9 a 18. Może sprawować wyłączną opiekę nad swoim dzieckiem, uczyć się, jak się nim zajmować. – Ona karmi, kąpie, przewija, ale wszystko, co dziecku potrzebne, dostaje od nas – mówi Mirosława Romanowska. – Może dziecko nosić w chuście, przytulać, być cały czas przy nim. Przez opiekę nawiązuje więź z niemowlęciem. Tak się zdarza.

Ale bywa, że mamy przychodzą, a potem przestają. Inne przychodzą sporadycznie. Kolejne zjawiają się tydzień przed sprawą w sądzie, żeby pokazać, że można im dziecko powierzyć. Jeżeli się porzuca własne dziecko na tyle miesięcy, nie jest się w stanie nim zajmować, a potem, przed sprawą, przychodzi się dwa razy do ośrodka i mówi w sądzie, że się dziecko bardzo kocha, to bardziej dba się o własny wizerunek niż o dobro dziecka. Nie ma żadnej więzi między niemowlakiem a matką. Zdarzają się mamy, które wprawdzie przychodzą, ale mówią: „Proszę,

niech opiekunka przejmie dziecko, bo ja nie jestem w stanie”. Albo zaczynają mieć żądania: a to nie takie pieluszki, nie taki smoczek, a dlaczego jest tak ubrane, a nie inaczej. Dopiero kiedy je spytać, ile płacą za pobyt dziecka w naszym ośrodku, uspokajają się. Bo nic nie płacą! Ich tzw. miłość macierzyńska przejawia się wyłącznie w tych żądaniach. One nie są w stanie nawiązać kontaktu z dzieckiem. Ale to nie są złe osoby. To osoby, które same mają duże problemy emocjonalne i nie potrafią dawać, nie potrafią czytać sygnałów, które daje dziecko. Czasem kierują się tylko prawem własności.

Kiedy sytuacja prawna dziecka jest jasna i może ono być adoptowane, już następnego dnia rodzina adopcyjna pojawia się w Otwocku. W każdym ośrodku adopcyjnym są długie listy oczekujących, więc trzeba na to „swoje” dziecko czekać.

Ewa Smolińska-Borecka



Irlandzcy republikańscy uważają walkę z Londynem za regularną wojnę, a obecność monarchii na wyspie za okupację.

Powrót krwawej niedzieli

Wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej obudziło demony walk na irlandzkiej granicy

Mateusz Mazzini

Na większości dostępnych w internecie zdjęć wygląda jak typowa przedstawicielka swojej generacji. Lekko kręcone, krótko ścięte włosy, gniewne spojrzenie, czarna, skórzana kurtka, założony od niechcenia beret. Żadnych stereotypowo kobiecych elementów ubioru. Dolours Price, najśłynniejsza bojowniczka Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA) i jedna z najniebezpieczniejszych postaci konfliktu nazwanego The Troubles – starc Irlandczyków z brytyjską administracją o kontrolę nad obejmującym północ wyspy Ulsterem. Dla wielu irlandzkich radykałów ociera się o świętość. Zwana Joanną d'Arc irlandzkiej wojny domowej, była jedną z architektów zamachu na budynek Centralnego Trybunału Karnego Anglii i Walii w Londynie w 1973 r.

Atak był rewanżem za krwawą niedzielę – desant brytyjskich spadochroniarzy na pokojową demonstrację w Londonderry.

W wyniku eksplozji bomby ukrytej w samochodzie zaparkowanym przed gmachem rannych zostało ponad 200 osób, jedna zmarła na skutek komplikacji. Proces Dolours Price, przeprowadzony rok później wręcz pokazowo w refektarzu średniowiecznego zamku Winchester w Anglii, razem z wyrokiem dożywocia miał być przestrożą dla irlandzkich partyzantów.

Dolours Price zmarła w 2013 r., w wieku 62 lat. Z wyroku odsiedziała niewiele, otrzymawszy akt łaski zaledwie sześć lat po procesie. Ostatnie dekady życia poświęciła republikańskiemu aktywizmowi i pisaniu artykułów do magazynów związanych z IRA. Nigdy nie przestała wierzyć w jeden wspólny irlandzki kraj. Przed

śmiercią zdążyła jeszcze powiedzieć, że największa wolność, jaka jej pozostała, to wolność opowiedzenia własnej historii i przeszłości bez ograniczeń – z nadzieją, że zainspirowe innych do republikańskiej walki. Prawdopodobnie sama nie zdawała sobie sprawy, jak szybko jej słowa się zmaterializują.

Dziś postać Dolours wraca do debaty publicznej, a wraz z nią wraca lęk przed bombami na Zielonej Wyspie. Jej samej nowe życie przyniosła bestsellerowa książka „Say Nothing” (ang. „Nie mów nic”, polskie tłumaczenie ukaże się w tym roku). Autor, reporter „New Yorkera” Patrick Radden Keefe, opowiada w niej o kulisach przeszło 30-letniego konfliktu w Ulsterze i funkcjonowaniu IRA. Idea wznowienia walk na północy i możliwego połączenia Irlandii Północnej z Irlandią odżyła natomiast z chwilą, gdy brytyjski premier Boris Johnson jednoznacznie stwierdził, że wyjście jego kraju z Unii Europejskiej jest tylko kwestią czasu.

Irlandzka granica pojawiała się od samego początku w okotobrexowych debatach jako jeden z potencjalnie największych problemów związanych z decyzją o opuszczeniu Wspólnoty przez Brytyjczyków. W końcu z formalnego punktu widzenia w Ulsterze stykają się dwa kraje – Wielka Brytania, której Irlandia

Północna jest częścią, i Republika Irlandii. Granica długości prawie pół tysiąca kilometrów ustanowiona w 1921 r. nigdy nie została tak naprawdę zaakceptowana przez irlandzkich nacjonalistów, którzy przez niemal cały XX w. próbowali ją anulować. Sytuację nieco złagodziło członkostwo obu krajów w Unii Europejskiej oraz porozumienie wielokpiatkowe z 1998 r., regulujące

stacja CNN, obecnie w ciągu roku granicę przekracza ponad 110 mln osób i 76 mln pojazdów. Aż 6,7 mln to samochody dostawcze i transport komercyjny. Jeżeli w Ulsterze znów pojawiłaby się rzeczywista granica, a wraz z nią kolejki, cła, opóźnienia, komplikacje transportowe – najbardziej ucierpieliby miejscowi dostawcy i farmerzy. A biorąc pod uwagę fakt, że rolnictwo w Irlandii Północnej

nie poznali jej lokalizacji ani nazwisk osób, z którymi się spotkali. Armia zresztą wróciła do starych metod, nie tylko jeśli chodzi o kamuflaż. W czasie ubiegłorocznych uroczystości upamiętniających powstanie wielkanocne z 1916 r. – zbrojne wystąpienie przeciwko brytyjskiej okupacji, uznawane za początek istnienia IRA – republikańscy bojówkarze starli się z policją w Derry w Irlandii Północnej. Wybuchły zamieszki, w trakcie których w kierunku brytyjskich oddziałów ogień otworzyli zamachowcy z nowego wcielenia IRA. Kilkanaście osób zostało rannych, a w wyniku obrażeń od kul zamachowca zginęła Lyra McKee, irlandzka dziennikarka zajmująca się historią The Troubles, uznawana za jedną ze wschodzących gwiazd tamtejszych mediów. Wcześniej, w styczniu zeszłego roku, zdetonowana została bomba w samochodzie zaparkowanym pod gmachem sądu w tym samym mieście. Przemoc na granicy irlandzkiej nie jest już tylko wspomnieniem. To coraz częściej tragiczna codzienność.

Nowa IRA co prawda przeprosiła za zabicie dziennikarki, pisząc w oficjalnym komunikacie, że każda śmierć cywila w konflikcie z Wielką Brytanią jest nieodżałowaną stratą, ale wstrzymać się od zamachów nie zamierza. Wręcz przeciwnie – na

IRA zapowiedziała już nową falę przemocy, jeśli Boris Johnson przeprowadzi twardy brexit.

zasady rozejmu i pokojowego współistnienia obu Irlandii. Umowa poparta w referendum przez większość społeczeństwa, zmęczonego trwającym trzy dekady konfliktem, utrzymywała północ wyspy pod brytyjską kontrolą, ale dawała nadzieję na przyszłą ponowną unifikację. Zmuszała jednak republikańskich bojówkarzy do pełnego rozbrojenia, bo obie ratyfikujące ją strony zobowiązywały się do stosowania w działalności politycznej jedynie metod demokratycznych.

Prawie 22 lata od podpisania porozumienia nie wszyscy w Irlandii mają o nim tak dobre zdanie jak w chwili głosowania referendalnego. Według wielu radykałów po republikańskiej stronie granicy zawarty w Belfaście układ nie spełnił oczekiwań. Brytyjczycy ani przez moment nie zasygnalizowali chęci podjęcia rozmów o wycofaniu się z Irlandii Północnej, nie poszerzyli też tamtejszej autonomii wobec władz w Londynie. I choć IRA się rozformowała, a jej członkowie pozakładali mniejsze partyzantki, upiory The Troubles i wcześniejszych walk na granicy powracają właśnie z powodu brexitu.

Pomiędzy Irlandią a Wielką Brytanią jest 206 przejść granicznych. Ich funkcjonowanie po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej będzie zależało od tego, na jakich warunkach Londyn opuści Wspólnotę. W przypadku rozvodu bez umowy, czyli *no-deal brexit*, najbardziej prawdopodobny jest scenariusz, w którym na powrót pojawiają się budki i szlabany, a każdy, kto będzie chciał przekroczyć granicę, będzie musiał czekać w wielogodzinnych kolejkach. Mógłby on się okazać katastrofalny dla lokalnej gospodarki. Jak wylicza

stanowi aż 2,5% tamtejszej gospodarki (w porównaniu z zaledwie 1% w całej Wielkiej Brytanii), powrót twardej granicy mocno odbiłby się na portfelach mieszkańców Ulsteru – po obu jej stronach.

Wbrew pozorom to nie stagnacja i kryzys są największym niebezpieczeństwem związanym z brexitem i wznowieniem kontroli granicznych. Wizja postawienia szlabanów w Ulsterze i zatknięcia na nich brytyjskiej flagi wywabiła z ukrycia republikańskich partyzantów. W październiku zeszłego roku jeden z nich, podający się za rzecznika prasowego najnowszego wcielenia IRA, wystąpił przed kamerami angielskiej telewizji Channel 4. Pozostając cały czas w kominiarce i nie ujawniając personaliów,

Każdy element infrastruktury granicznej będzie przez IRA uznawany za cel zamachów terrorystycznych.

stanowczo stwierdził, że jego ugrupowanie na żadną granicę nigdy się nie zgodzi: „Szlabany postawiono tam w 1921 r. Były one kontestowane wtedy, były kontestowane później i granica jest kontestowana teraz. Jeśli wrócą, usuniemy je siłą”. Dodał, że władze w Londynie muszą być świadome zagrożenia. Każdy element infrastruktury granicznej będzie przez IRA uznawany za cel zamachów terrorystycznych.

I choć słowa te mogą dla niektórych brzmieć jak czcze pogroźki fanatyków przegranej sprawy, republikański terroryzm już wrócił na irlandzkie ulice. Wywiad z rzecznikiem IRA nagrywany był w kryjówce organizacji, do której reporter i operator Channel 4 zawiezieni zostali, mając zawiązane oczy, nigdy też

2020 r. zapowiedziała już nową falę przemocy w przypadku przeprowadzenia przez Borisa Johnsona twardego brexitu. Celami ataków mają być nie tylko ewentualne posterunki graniczne, ale również budynki brytyjskiej administracji. Irlandzcy republikańscy uważają bowiem walkę z Londynem za regularną wojnę, a obecność monarchii na wyspie za okupację. Dla wielu z nich – czego wyraz dał rzecznik IRA w wywiadzie dla Channel 4 – od 1921 r. nie zmieniło się absolutnie nic. Sześć pozostających w Irlandii Północnej hrabstw musi wrócić do republiki. Dopiero wówczas, jak śpiewał zespół U2 w „Sunday, Bloody Sunday”, przeboju o irlandzkim konflikcie, obie strony będą mogły stać się jednością. ■

Gwałt – najbardziej przemilczana zbrodnia wojenna

Laureaci Pokojowej Nagrody Nobla Denis Mukwege i Nadia Murad założyli fundusz dla ocalałych z gwałtów wojennych



Dr Denis Mukwege w szpitalu Panzi w kongijskim Bukavu, wrzesień 2014 r.

Katarzyna Mierzejewska

Podczas gdy polska prawica straszy „masową masturbacją dwulatków”, społeczność międzynarodowa poprzez symboliczną deklarację postanowiła uznać przemoc seksualną za zbrodnię, której nie można dłużej ignorować. Przejawem zmiany podejścia (przynajmniej na papierze) było przyznanie w 2018 r. Pokojowej Nagrody Nobla Denisowi Mukwege i Nadii Murad. Pod koniec października 2019 r. laureaci założyli fundusz pomocy dla ofiar przestępstw seksualnych, ze szczególnym uwzględnieniem gwałtów wojennych.

Współczucie zamiast pomocy

Denis Mukwege to kongijski ginekolog, który całe swoje życie zawodowe poświęcił pomaganiu ofiarom przemocy seksualnej. Do tej pory pomógł ponad 50 tys. kobiet. W 1999 r.

na pustej działce w ubogiej dzielnicy na obrzeżach Bukavu we wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga założył szpital Panzi. Początek działalności kliniki przypadł na II wojnę w DRK. Do dr. Mukwege trafiały pacjentki, których narządy zostały

W latach 2013-2016 w kongijskiej wsi Kavumu ponad 40 dziewczynek w wieku od 13 miesięcy do 12 lat zostało uprowadzonych i zgwałconych.

zniszczone na skutek gwałtów zbiorowych i brutalnego okaleczania miejsc intymnych np. bronią. Zespół szpitala Panzi opracował kompleksowe metody leczenia, które oprócz pomocy *stricto* medycznej zakładają też wsparcie psychologiczne. Przy szpitalu działa również zespół prawników. Denis Mukwege nie przestaje pomagać poranionym kobietom. Kiedy ogłoszono, że otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla,

przeprowadzał właśnie operację, już drugą tego dnia.

Nadia Murad została laureatką Nobla w wieku zaledwie 25 lat. Mówi, że jej historia jest największą siłą i bronią, jaką dysponuje. Iracka aktywistka społeczna działająca na rzecz zwalczania przemocy seksualnej sama była jej ofiarą. W 2014 r. wioska Kocho w północnym Iraku, w której mieszkała, została zaatakowana przez bojowników tzw. Państwa Islamskiego. Dżihadysty uprowadzili kobiety, m.in. Nadię. Stały się one towarem. Pilnujący ich strażnicy zachowywali się jak sprzedawcy, kiedy dżihadysty dotykali ich ciał, pytali o wiek i sprawdzali dziewictwo. Każdego dnia kobiety były bite i wielokrotnie gwałcone. Nadii udało się wyrwać z kosmaru w 2015 r., kiedy uciekła i osiedliła się w Niemczech.

Po latach podkreśla, że wykorzystywanie młodych jezydek nie było spontaniczną decyzją kilku żołnierzy, tzw. Państwo Islamskie starannie przygotowało akcję pozyskania niewolnic seksualnych. Zaplanowano, jak dostać się do kolejnych domów w Kocho, jak oszacować wartość każdej dziewczyny, który bojownik zastępuje na niewolnicę jako

zachętę do dalszej walki, a kto powinien za nią zapłacić. Niewolnicom seksualnym poświęcono nawet osobną część w magazynach propagandowych ISIS, co miało przyciągnąć nowych rekrutów.

Denis Mukwege i Nadia Murad poświęcili się kierowaniu uwagi świata na przemoc seksualną w konfliktach zbrojnych. Oboje są zawiedzeni całkowitą biernością polityków. Po odebraniu Nagrody Nobla

kongijski ginekolog mówił, że kolejne społeczeństwa są trawione przez wszechobecną obojętność. – Naród kongijski był poniżany, maltretowany i masakrowany przez ponad dwie dekady na oczach społeczności międzynarodowej – wypominał, nie zostawiając suchej nitki nie tylko na rządzie w Kinszasie, ale także na organizacjach mających w statutach ochronę praw człowieka. Nadia Murad wytknęła społeczności międzynarodowej obojętność na ludobójstwo i gwałty na jezydkach dokonywane przez ISIS. – Nie chcę już współczuć. Jezydzi spotykają się tylko ze współczuciem, nigdy z pomocą czy ochroną – podkreśliła.

Pod koniec października 2019 r. Mukwege i Murad ogłosili założenie funduszu dla ocalałych (z ang. *survivors*) z gwałtów wojennych. Global Survivors Fund ma zaoferować każdej osobie dostosowany do jej sytuacji i potrzeb plan pomocy, tak aby efektywnie wesprzeć przepracowanie traumy fizycznej i emocjonalnej. W ramach funduszu będzie można ubiegać się o rekompensatę finansową, dostęp do opieki medycznej, pomoc w kontynuowaniu edukacji czy znalezieniu mieszkania.

Projekt ma przyciągnąć fundusze od podmiotów państwowych (rządów) i sektora prywatnego. Celem jest zebranie 100 mln dol. do 2022 r. Prezydent Francji Emmanuel Macron przeznaczył już 6 mln euro, UE obiecała 2 mln, a Niemcy przekazały 200 tys. euro na dobry początek. Utworzenie tego typu funduszu zostało uwzględnione w rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ w sprawie zwalczania gwałtu w konfliktach zbrojnych, która została uchwalona w kwietniu 2019 r. Nie jest ona jednak wolna od konserwatywnej ideologii. W czasie debaty nad tym dokumentem USA lobbowały (skutecznie) za usunięciem słownictwa związanego ze zdrowiem seksualnym i prawami reprodukcyjnymi kobiet.

Gwałciłem, bo mogłem

Rezolucja Rady Bezpieczeństwa z 2008 r. uznaje, że gwałt i inne formy przemocy seksualnej mogą stanowić zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości lub element ludobójstwa. Do podjęcia takich kroków (jak na organizację międzynarodową – zdecydowanych) niejako zmusiła Radę skala przemocy wobec kobiet, do

której dochodziło podczas II wojny w Demokratycznej Republice Kongo. Teraz, niemal dwie dekady po tym konflikcie, określanym jako Wielka Wojna Afrykańska, przemoc seksualna wciąż jest powszechna w tym kraju. Demokratyczna Republika Kongo, zwłaszcza jej wschodnie regiony (Kiwu Północne i Południowe), stale jest areną rywalizacji licznych bojówek paramilitarnych, które wykorzystują gwałt jako sposób zemsty na wrogich grupach czy do podporządkowania sobie danej wioski.

W listopadzie 2013 r. do miasta Minova po przegranej walce z grupą paramilitarną M23 weszli żołnierze kongijscy. Wielu było pijanych, sfrustrowanych, upokorzonych. Przez kolejne dni wyżywali się na kobietach i dziewczynkach. – Zgwałciłem łącznie 53 kobiety – przyznaje jeden z żołnierzy. – Nie gwałciłem ze złości. Po prostu mogłem robić, co chciałem – dodaje z brutalną szczerością. Minova została wówczas nazwana światową stolicą gwałtu.

Nie sposób oszacować, ile kobiet ucierpiało do tej pory. Podczas napadów na wioski bojówkarze traktują kobiety jako element grabieży. Są one gwałcone godzinami, przez

WOJENNE GWAŁTY W PRAWIE MIĘDZYNARODOWYM

Mimo że przemoc seksualna (w tym gwałt) jest powszechnym narzędziem wojny, dopiero od kilku lat jest ona obiektem zainteresowania wymiaru sprawiedliwości. I to pomimo wymieniania różnych przejawów przemocy seksualnej w międzynarodowych procesach karnych.

- Dowody na przemoc seksualną po raz pierwszy przedstawiono podczas procesów przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Gwałt nie został jednak uwzględniony w statucie trybunału, dlatego nie można było sporządzić aktu oskarżenia. Gwałt wspomniano tylko w kontekście tortur.
- W 1948 r. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy na Dalekim Wschodzie skazał dwóch wysokich rangą japońskich wojskowych za serię gwałtów popełnionych przez żołnierzy pod ich dowództwem. Gwałt nie został formalnie uznany za zbrodnie przeciwko ludzkości, ale określono go jako nieludzkie traktowanie.
- IV Konwencja Genewska z 1949 r. uwzględnia ochronę ludności cywilnej w czasie wojny, zwłaszcza kobiet. Art. 27 stanowi, że „kobiety będą specjalnie chronione przed wszelkimi zamachami na ich cześć, zwłaszcza przed gwałceniem, zmuszaniem do prostytucji i wszelką obrazą wstydlivości”.
- Rzymski Statut Międzynarodowego Trybunału Karnego z 1998 r. zawiera obszerną listę aktów ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości i zbrodni wojennych,

w tym różne formy przemocy seksualnej, takie jak gwałt, niewolnictwo seksualne, wymuszona prostytucja, przymusowa ciąża, przymusowa sterylizacja. Katalog jest otwarty, bo rozszerza listę o „każdą inną formę przemocy seksualnej o porównywalnej wadze”. Aby gwałt był uznany za zbrodnie przeciwko ludzkości, czyn musiał zostać popełniony w ramach powszechnego lub systematycznego ataku wymierzonego w ludność cywilną. Aby traktować go jako zbrodnie wojenne, musi wystąpić podczas konfliktu zbrojnego. Gwałt jest równoznaczny z ludobójstwem, gdy zostanie popełniony z zamiarem zniszczenia w całości lub w części populacji. Prawo międzynarodowe uznaje, że definicja przemocy seksualnej jest neutralna pod względem płci i nie wyklucza istnienia sprawców kobiet lub ofiar mężczyzn. To jednak kobiety są w przeważającej części ofiarami przemocy seksualnej podczas konfliktów zbrojnych.

- Od 2000 r. Rada Bezpieczeństwa przyjęła 10 rezolucji, z których każda zapowiadała zajęcie się przemocą wobec kobiet w konfliktach zbrojnych i dalsze naciski na uwzględnienie doświadczeń kobiet w negocjacjach pokojowych i odbudowie pokonfliktowej. Pomimo wymieniania przemocy seksualnej w licznych dokumentach międzynarodowych przez dekady była ona uznawana za przestępstwo niewarte ścigania.

► wielu mężczyzn, z użyciem ostrych przedmiotów uszkadzających narządy wewnętrzne. Wiele ocalałych boi się zgłosić do lekarza z obawy przed ostracyzmem społecznym, a nawet odrzuceniem przez rodzinę. Bo gwałt w DRK to nadal ujmą dla zgwałconej. Przykładów jest wiele: młodzi mężczyźni z Tshikapy byli zmuszani do gwałcenia swoich sąsiadek. Mamie, mieszkanka miasta Kananga, którą zaopiekowali się Lekarze bez Granic, była gwałcona obok rozczłonkowanego ciała męża i na oczach dzieci. Wiele ofiar gwałtu nie ma pojęcia, gdzie szukać pomocy. Rzadko zgłaszają się na policję, zwłaszcza kiedy w okolicy trwają walki. Sprawcy, nawet schwytani i skazani, często zostają szybko uwolnieni, nie wywiązując się z obowiązku wypłacenia odszkodowania ocalałym kobietom.

Przełomowym momentem w walce z bezkarnością przestępstw seksualnych w DRK był proces dotyczący tragedii w Kavumu. W latach 2013-2016 we wsi Kavumu w prowincji Kiwu Południowe ponad 40 dziewczynek w wieku od

zwycięży bezkarność. Dlatego przyjął wyrok z wielką radością, natomiast mocno potępił brak dostatecznego uwzględnienia reparacji w kongijskim wymiarze sprawiedliwości. Owszem, sprawcy zostali ukarani, ale ofiary nie otrzymały jeszcze żadnego odszkodowania. To dlatego dla dr. Mukwege ustanowienie funduszu odszkodowań dla ofiar przemocy seksualnej związanej z konfliktami zbrojnymi jest tak ważne – mówi Daniele Perissi, prawnik z organizacji TRIAL International, który współpracował z laureatem Nagrody Nobla.

Najgorsze miejsce dla kobiet

Na nawet symboliczną sprawiedliwość nie mogą liczyć kobiety z Republiki Środkowoafrykańskiej, gdzie również gwałt jest jedną z częstych taktyk wojennych używanych przez grupy paramilitarne do „osłabienia wroga”. Human Rights Watch wskazuje, że w wielu przypadkach do gwałtu dochodzi z rozkazu przełożonych. Szczególnie niebezpiecznym regionem jest południowy wschód, gdzie od wielu lat walczą

(panowie domu) dogadują się między sobą, by uniknąć skandalu, ignorując zupełnie skrzywdzoną kobietę.

Martine, 53-letnia wdowa i matka trójki dzieci, jest pod stałą opieką psychologiczną Lekarzy bez Granic. Podczas krwawych walk w 2013 r. schroniła się w lesie. Tam została wielokrotnie zgwałcona przez bojówkarzy. Jej historia to historia tysięcy innych mieszanek Republiki Środkowoafrykańskiej.

Wysoki wskaźnik przemocy seksualnej, umiarkowości matek i nastoletnich ciąż sprawia, że ten kraj to jedno z najgorszych na świecie miejsc dla kobiet. Te, które przepracowały kosztmar gwałtu, starają się teraz tworzyć sieci wsparcia i odbudowywać zaufanie między zwaśnionymi grupami etnicznymi. Tak powstała piekarnia Abaka, gdzie kobiety uczą się być niezależne finansowo. Z kolei grupa Femmes Debout (Kobiety wstają) przeciwstawia się napięciom religijnym, łącząc w Bangi chrześcijańskie i mużulmańskie wdowy, które uczą się praktycznych zawodów i pomagają sobie przepracować traumę.

Gwałty wojenne to często zbrodnie przemilczane. Komu i jak ofiary mogą powiedzieć o swoim bólu, skoro sprawcą jest bojówkarz terroryzujący kolejne wioski? Gwałciciele są bezkarni, bo sądy w regionach ogarniętych konfliktem zbrojnym rzadko działają sprawnie, są zastraszane lub zależne od bojówek. Ponadto przemoc wobec kobiet rzadko jest traktowana na równi z innymi zbrodniami. Przemyka się na nią oko ze względu na mocno patriarchalną strukturę społeczeństwa. Brak zdecydowanej reakcji napędza machinę gwałtów. O tej bezsilności i błędnym kole przypomina noblista. – Dr Mukwege zawsze podkreśla, że musimy się starać nie tylko naprawiać krzywdy, ale też im zapobiegać – mówi Daniele Perissi i dodaje: – Jego zdaniem jednym z kluczowych elementów zapobiegania jest wysyłanie jasnego i konkretnego komunikatu, że akty przemocy seksualnej nie będą tolerowane, a ich sprawcy zostaną ukarani. Poznając tragedię z Demokratycznej Republiki Konga i Republiki Środkowoafrykańskiej, można się przekonać, że przed nami jeszcze długa droga do celu, który wyznaczył Denis Mukwege.

Katarzyna Mierzejewska

W 2018 r. Lekarze bez Granic dotarli do około 4 tys. kobiet dotkniętych przemocą seksualną w Republice Środkowoafrykańskiej.

13 miesięcy do 12 lat zostało uprowadzonych i zgwałconych. Oprawcy za każdym razem działali według tego samego schematu: po porwaniu ofiara była gwałcona przez jednego lub kilku mężczyzn, często raniona ostrymi przedmiotami, a następnie porzucana na odludziu. Dzisiaj większość z tych dziewcząt cierpi z powodu trwałych uszkodzeń narządów płciowych i traumy psychicznej. Dwie dziewczynki umarły wskutek odniesionych obrażeń. W historycznym dla kongijskiego wymiaru sprawiedliwości wyroku 11 członków lokalnej milicji zostało skazanych za zbrodnie przeciwko ludzkości, morderstwo i gwałty. Sprawa ta jest też wyjątkowa ze względu na skazanie członka parlamentu, którego immunitet został uchylony na potrzeby procesu. Nie było to jednak pełne zwycięstwo. – Dr Denis Mukwege obawiał się, że tak jak w przeszłości również w sprawie dzieci z Kavumu

mużulmańska Séléka (i jej różne odłamy) i chrześcijańska Antybalaka. Kobiety są porywane z farm, gdzie pracują, lub podczas ucieczki w bezpieczne miejsce, a potem gwałcone. Przemoc wobec kobiet jest elementem taktyki wyniszczania konkretnych grup przez bojówki paramilitarne. Gwałcąc i okaleczając je, sprawcy przejmują kontrolę nad ich zdrowiem reprodukcyjnym, co ma zagrozić rozwojowi i przetrwaniu danej społeczności.

W 2018 r. Lekarze bez Granic dotarli do ok. 4 tys. kobiet dotkniętych przemocą seksualną w Republice Środkowoafrykańskiej. A tylko w pierwszej połowie 2019 r. szpital prowadzony przez tę organizację w stolicy, Bangi, przyjął 800 ofiar gwałtów. Te liczby to jednak wycinek rzeczywistej skali przemocy wobec kobiet. Rywalizacja między bojówkami dzieli czasem sąsiadów, a nawet rodziny. Wówczas mężczyźni

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Każdy, kto usiłował kiedyś naprawiać jakiś przyrząd albo – co gorsza – urządzenie bardziej skomplikowane konstrukcyjnie od łopaty (ale napraw, człowieku, łopatę!), wie, że rozebrać toto nawet się udaje, jednak poskładać na powrót, żeby przynajmniej było poskładane, nawet jak nie działa – to już zadanie o wiele trudniejsze. Tak mniej więcej wygląda biurokratyczno-kadrowa rewolucja armii Kaczyńskiego, która w wojnie z własnym państwem od ponad czterech lat demontuje, demontuje i zdemontować nie może. Kłamie, kłamie i okłamać nie może. Propaganduje i spro-pagandować nie może, no, trochę może

sprawiająca wrażenie przypadkowej i chaotycznej, jakby rozgrywała się sama. Bez planu, bez harmonogramu, bez sensu. Ale przynajmniej nie ma wątpliwości, że na jej czele stoi Jarosław Kaczyński. Wreszcie. Na czele. Bo tylko on startuje w tym wyścigu.

Osamotnienie sojusznicze w przestrzeni europejskiej, zarówno unijnej, jak i wschodniej, mogliśmy obserwować przy okazji Światowego Forum Holokaustu w Jerozolimie, gdzie Polska po prostu nie istniała, w żadnej roli. Bo sobie taką pozycję wypracowała i przez lata, i przez niedawną dąsodyplomację prezydenta i rządu. Stało się najgorzej, jak mogło

W ciekawym wywiadzie (jeśli pominąć pytania Wacława Radziwiłowicza, naczelnego rusofoba Polski) z Andriejem Kolesnikowem, ekspertem ds. polityki międzynarodowej z moskiewskiego oddziału fundacji Carnegie, możemy przeczytać, co jego zdaniem o Polsce myśli się w Rosji i na Kremlu. „Każdy naród w naszej części Europy ma swój obraz historii, swoją pamięć. Jednak dialog tych pamięci się dziś nie toczy. Rosjanie nic nie wiedzą o polskim spojrzeniu, o naszym widzeniu historii. (...) Polska mało rządzących Rosją interesuje i obchodzi. Przeciętny Rosjanin nawet nie wie, jak się nazywa wasz dzisiejszy prezydent.

Polska rozbiera się sama

tak, bo większość głosujących powierza jej rządzenie. Buduje widmowe sojusze z zaoceanicznym imperium, ale realnym sojusznikiem wciąż się nie staje, trwając w wasalnej zależności bez widoków na efekty. Wyprowadza Polskę z Unii Europejskiej, wyprowadza i – uwaga – wyprowadzić może.

Polska leży w Europie. Może to i truizm, nie wchodzimy też w kilkudziesięcioletnią dyskusję o tym, czy Europa Środkowa istnieje i tworzy autoteliczną wartość i ponadkontynentalną wyjątkowość; chcemy powiedzieć, że tak po prostu jest. Najważniejsze (najstarsze, najbogatsze, najpotężniejsze) kraje Europy zorganizowały się w Unię Europejską, do której przyciągnęły łaszące się do nich kopcuszki Europy, wśród nich, jako jednego z pierwszych, kogucika z Polski. Drugi raz wprowadzić Polski do Unii się nie da, bo i jak? Tamtą zasługę mają już wpisana w biografie polityczne stare formacje posttransformacyjne oraz prezydent Aleksander Kwaśniewski i premier Leszek Miller, co stosownymi podpisami uskuteczni. Ponieważ nic nie trwa wiecznie, a jak podkreśla nasz złotousty metafizyk pięciolecia, zatrudniony na etacie prezydenta RP, nawet „świat prędzej czy później się skończy”, do historii można przejść tylko jako wyprowadzacz. Równocześnie ta operacja,

(albo raczej jak musiało) – Polska staje się taką Panną Nikt. Nikt za nią nie tęskni, nikt jej nie potrzebuje, nikt na nią nie zwraca uwagi, nikt nie traktuje poważnie, nikt nie wymienia nawet jej nazwy. Być może na tym polegają rozbiory w cyfrowym XXI w. Nie pomogą żadne żalodne zabiegi za grube miliony ani teksty podpisane przez Andrzeja Dudę, ukazujące się w formie płatnych ogłoszeń w kilku ważnych periodykach światowych, bo żadna z tych redakcji nie jest zainteresowana wywiadem z kimś, kto jest nikim. Ani aktywność za setki milionów Polskiej Fundacji Narodowej, która płynnie jak jej niepijący jacht, produkując takie artefakty jak twitterowe dialogi Hitlera ze Stalinem. To już nie jest operacja zawracania Wisły kijkiem, to jest próba przekonania, że kijek jest rączym pstrągiem, a wyschnięta Wisła górskim potokiem. Ale idzie słabo. Choć, jak pisze „Wyborcza”, „polski wątek w Yad Vashem jednak się pojawił. W filmie dokumentalnym pokazanym gościom Forum we fragmencie mówiącym o współczesnym antysemityzmie organizatorzy zaprezentowali kadry z organizowanego przez narodowców Marszu Niepodległości w Warszawie, a także scenę z organizowanej w 2015 r. przez ONR manifestacji antyimigranckiej we Wrocławiu, w czasie której spalono kukłę Żyda”. W sumie – celnie.

Z Moskwy patrzą na was jak na »nie-dopaństwo«. (...) Teraz uważają was za niesamodzielnego, słabego satelitę Stanów Zjednoczonych”.

•
Sędzią ostatecznym, gdyż nie mógł zostać nawet rejonowym, próbuje się ogłosić Zbigniew Ziobro. Nie wiemy, czy z namaszczenia Kaczyńskiego, bo to jednak oznaczałoby dość poważną abdykacyjną deklarację „emerytowanego zbawcy narodu”. Generalnie smutno. Powraca jak złe echo przypisywane Bismarckowi powiedzenie: „Dajcie Polakom rządzić, a sami się wykończą”. Właśnie to oglądamy. W imię ojca i syna, globalnego ocieplenia ni ma.

ROMAN KURKIEWICZ
 PONIEDZIAŁEK / 07:00 - 10:00
 CZWARTEK / 21:00 - 23:00
 SŁUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
 LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
 HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

Rozmawia Marcin Terlik

Przedstawia pan Stany Zjednoczone jako merytokrację, czyli państwo, w którym status danej osoby zależy od jej umiejętności i wyników. Wydaje się, że to uczciwy system – każdy może dojść na szczyt, jeśli tylko wystarczająco ciężko pracuje. Tak jest w rzeczywistości?

– Ameryka na pewno nie jest doskonałą merytokracją. Istnieją w niej różne formy przywilejów i utrudnień, które nie mają wiele wspólnego z umiejętnościami. Przykładem może być dyskryminacja rasowa. Jeśli jednak popatrzymy na liczby, większość nierówności wynika właśnie z merytokratycznego ustroju i Stany Zjednoczone z pewnością mają go dzisiaj w dużo większym stopniu niż kiedyś. **Gdzie leży więc problem?**

– Często myślimy o merytokracji i równości szans jako o jednej i tej samej rzeczy. Skoro ludzie zyskują przewagę poprzez wyniki, to przecież każdy może tego dokonać. Tyle że to nieprawda. Musimy pamiętać, że w merytokracji jesteś oceniany właśnie na podstawie wyników, a nie potencjału. Żyjemy w świecie, w którym niektórzy – przede wszystkim bogaci – zapewniają swoim dzieciom znacznie bardziej intensywną i efektywną edukację niż pozostali. Okazuje się więc, że dzieci bogatych osiągają zdecydowanie lepsze wyniki. Mamy głębokie różnice społeczne nie dlatego, że Ameryka nie spełnia założeń merytokracji, ale właśnie dlatego, że je spełnia. System, który miał pokonać nierówności wynikające z uprzywilejowanego pochodzenia, tak naprawdę te nierówności utrzymuje.

Ma pan na myśli to, że w Stanach Zjednoczonych uczelnie są płatne, czy chodzi o coś głębiej zakorzenionego w systemie?

– Rzeczywiście uczelnie sporo u nas kosztują. Jednak nie w tym leży podstawowy problem. Mój uniwersytet przyznaje osobom pochodzącym ze skromnych rodzin pełne stypendia na pokrycie kosztów nauki. Największą przeszkodą jest nie płaconie za studia, ale dostanie się na nie. W Ameryce, w odróżnieniu od Europy, bogate dzieci już od przedszkola otrzymują dużo więcej pieniędzy na edukację niż te ubogie czy

Jesteś bogaty, pracuj więcej

W USA klasa wyższa pracuje ciężiej niż średnia. To coś dotąd niespotykanego. Współczesne nierówności opierają się na nowym modelu



PROF. DANIEL MARKOVITS

– wykładowca na Uniwersytecie Yale, autor głośnej w ostatnich miesiącach w USA książki „The Meritocracy Trap”

nawet te z klasy średniej. Przeciętne publiczne liceum dla uczniów z klasy średniej wydaje na ucznia 12-15 tys. dol. rocznie. Biedne liceum wydaje 10-12 tys. dol. Tymczasem elitarne licea dla bogatych dzieci rocznie przeznaczają na ucznia ok. 75 tys. dol. Gdy przychodzi czas aplikowania na uniwersytety, dzieci, które ukończyły drogie, niezwykle efektywne szkoły, po prostu lepiej wypadają w procesie rekrutacji.

Te różnice są duże?

– Wręcz dramatyczne. W zeszłym roku dzieci rodziców zarabiających powyżej 200 tys. dol. rocznie uzyskiwały na ogólnokrajowych egzaminach średnio 250 pkt więcej niż dzieci rodziców zarabiających średnią krajową. Ta przepaść nie jest tak wysoka między klasą średnią i niższą. Dzieci rodziców ze średnimi zarobkami uzyskiwały już tylko 125 pkt więcej niż dzieci rodziców, którzy żyją w biedzie. Bogaci zostawiają więc daleko za sobą nie tylko klasę niższą, ale i średnią. W tej sytuacji nie ma znaczenia, że nie możesz zapłacić za swoje elitarne studia – po prostu nie możesz się na nie dostać.

Przekonuje pan, że ten system tak naprawdę jest szkodliwy również dla elity i jej dzieci. Jak to możliwe?

– Musimy rozróżnić dwie rzeczy – to, jak ktoś jest bogaty i jak spełnione jest jego życie. To prawda, że tylko elita stać na dawanie dzieciom przewagi edukacyjnej. Ale prawdą jest też, że samo bycie zamożnym tej przewagi nie gwarantuje. Bogate

osoby znów muszą otrzymać dobre oceny. Kiedy już je dostaną, idą do pracy, w której wymaga się od nich, by pracowały 80, 90 czy 100 godzin tygodniowo. Dzięki temu awansują, ale na wyższej pozycji muszą pracować tyle samo albo więcej. Merytokrata zarabia ogromne pieniądze, ale jego życie polega na ciągłym wykorzystywaniu i dostosowywaniu samego siebie, by zadowolić innych. Jeśli spojrzymy na to w kategoriach marksistowskich, merytokracja prze-

W merytokracji jesteś oceniany na podstawie wyników, a nie potencjału.

suwa klasyczne zjawisko alienacji i wyzysku w górę drabiny społecznej. Dziś elita sama stała się wyzyskiwanym robotnikiem. Oczywiście osiąga z tego duże zyski i nie zasługuje na szczególne współczucie polityczne. Nie zmienia to jednak faktu, że życie bogatych nie wygląda zbyt dobrze.

Możemy mówić o tym jako o nowym zjawisku?

– Absolutnie tak. Na początku XX w. Thorstein Veblen napisał książkę „The Theory of the Leisure Class” („Teoria klasy próżniaczej”), w której ze szczegółami pokazał brak pracy jako cechę, która konstytuuje elitę. Elita posiadała ziemię lub fabryki i uważała sama siebie za klasę stojącą powyżej praktycznej, codziennej pracy. W latach 50. bogaci ludzie pracowali mniej niż wszyscy pozostali. Od lat 60. to zaczęło się zmieniać. W tej

krąży powiedzenie: od krótkiego rękawa do krótkiego rękawa w trzech pokoleniach. Pierwsze pokolenie jest biedne i ciężką pracą awansuje do klasy średniej. Drugie pokolenie ciężką pracą staje się bogate. Trzecie pokolenie przepuszcza całe pieniądze. Jeśli jednak wychowasz dziecko na merytokratę, dostajesz bardzo wysoką gwarancję, że twoje wnuki także będą bogate i majątna dynastia przetrwa dłużej niż do kolejnego pokolenia.

A po drugie?

– Ideologia merytokracji jest niezwykle silna w kulturze. „Wall Street Journal” wypuścił kiedyś reklamę: „Ludzie, którzy nie mają czasu, znajdują go, by przeczytać »Wall Street Journal«”. Elita chce nie mieć czasu. Czuje, że jeśli nie będzie ciągle zajęta, to mimo bogactwa utraci swój status. Pcha więc dzieci do takiej samej ciężkiej pracy.

Opisuje pan również, jak te postawy wiążą się z głębokimi zmianami na rynku pracy.

– Spójrzmy na dzisiejszą sytuację. Kiedyś większość gospodarki była oparta na pracy klasy średniej. To były średnio opłacane stanowiska, które wymagały nie elitarnego wykształcenia, ale pewnych umiejętności. Ta praca nie czyniła cię bogatym, jednak dawała ci stabilne życie i pozwalała na utrzymanie rodziny na stosunkowo wygodnym poziomie. W ciągu ostatnich 30-40 lat liczba takich stanowisk dramatycznie spadła. Pojawiło się za to więcej pracy, która wymaga bardzo mało umiejętności, daje bardzo mało poczucia bezpieczeństwa i jest bardzo słabo opłacana. Jednocześnie wzrosła też liczba stanowisk, na których potrzeba skomplikowanego wykształcenia i które dają astronomiczne wynagrodzenie. Rynek pracy stał się spolaryzowany – jego środek się zapadł, a krańce poszły w górę.

Dlaczego tak się stało?

– W wielkiej mierze ze względu na zmiany technologiczne. Komputery i roboty zastąpiły średnio wykwalifikowanych pracowników, jednocześnie zwiększając popyt na specjalistyczne umiejętności. Pracownicy

Największą przeszkodą jest nie płacenie za studia, ale dostanie się na nie.

dzieci żyją więc w ciągłym strachu, że obleją któryś z kolejnych merytokratycznych egzaminów, bezustannie pracują, uczą się, dopasowują zainteresowania, aby zadowolić nauczycieli. Dostają coraz więcej prac domowych, chodzą na zajęcia dodatkowe, lekcje muzyki, angażują się w inne działania po szkole. Wszystko po to, by kiedy przyjdzie czas rekrutacji na elitarne uniwersytety, pokazać, że mają niesamowicie wysokie wyniki i liczne osiągnięcia.

To tempo zwalnia, gdy zostaną przyjęte?

– Nie, wtedy praca zaczyna się od początku, bo na uniwersytecie takie

chwili w Stanach Zjednoczonych elita pracuje ciężiej niż klasa średnia. To coś dotąd niespotykanego. Współczesne nierówności opierają się na całkowicie nowym modelu.

Dlaczego pana zdaniem bogaci rodzice, którzy już dorobili się majątku, popychają dzieci od najmłodszych lat do robienia tego samego, zamiast pozwolić im żyć ze zgromadzonego kapitału, właśnie jako „klasa próżniacza”?

– Po pierwsze okazuje się, że jeśli nie wychowasz dzieci, by ciężko pracowały i walczyły o kolejne osiągnięcia, jest spora możliwość, że zmarzną cały majątek. Wśród prawników

z elitarnym wykształceniem dzięki technologii są bardziej produktywni, bardziej pożądanymi i, co za tym idzie, lepiej opłacani.

Może to nieuniknione zjawisko związane z postępem?

– Moim zdaniem rozwój technologii nie ma ściśle określonego kierunku, ale pozostaje w związku z systemem edukacji, o którym właśnie rozmawialiśmy. System tworzy nową elitę – grupę wysoko wykwalifikowanych pracowników, którzy dzięki normom społecznym będą ciężko

cy zostaje ściśnięty z dwóch stron. Jeśli popatrzymy np. na prace Branka Milanovicia, zobaczymy, że dochody światowej elity zdecydowanie wzrosły, w górę poszły także dochody najbiedniejszych, a najbardziej w ostatnich latach ucierpeli światowi średniacy. Możemy jednak wciąż znaleźć przykłady krajów, w których klasa średnia dobrze sobie radzi. Niemcy czy państwa skandynawskie są dobrymi przykładami. Co ciekawe, są to kraje, które nie mają elitarnego systemu edukacji. W Niemczech

pracy. Jestem zwolennikiem wspierania średnio płatnych stanowisk dla średnio wykwalifikowanych osób. Można to robić poprzez ich dofinansowanie, można też poprzez podatki i regulacje. W sektorze finansowym można rozdzielić banki inwestycyjne i komercyjne, by zmniejszyć ich premię za rozmiar. W przemyśle można dać więcej władzy związkowi zawodowemu, np. zapewniając im miejsce w zarządach firm. Powinno to zmusić korporacje do szerszego szkolenia pracowników i wspierania tych ze średnimi kwalifikacjami.

Liczy się pan z tym, że kosztem tych zmian mógłby być mniejszy wzrost gospodarczy?

– Myślę, że byłyby one korzystne pod każdym względem. Mam w tej sprawie coraz bardziej jednoznaczne stanowisko. Nierówności społeczne hamują rozwój. Powodują, że gospodarki są bardziej narażone na kryzysy, nie pozwalają na utrzymanie popytu. Co więcej, nierówności wykrzywiają rozwój technologii i produkcji. Innowacje zaczynają służyć zwiększaniu zysków najbogatszych, a nie wzrostowi produktywności całego społeczeństwa.

Jest pan profesorem i wykładowcą prawa na Uniwersytecie Yale.

Pana studenci to elita elit merytokracji. Jakie jest ich nastawienie do tego systemu?

– 15 lat temu byli z siebie bardzo zadowoleni. Mieli przekonanie, że ich przyszłość będzie wspaniała, a życie dobre. Dzisiaj są coraz bardziej

Merytokraci przeciągnęli technologię w swoją stronę i przekształcili rynek pracy, tak by dawał im jak najwięcej korzyści.

pracować. W konsekwencji wynalazcy tworzą innowacje, które najlepiej potrafią wykorzystać tę nową siłę roboczą. Merytokraci przeciągnęli technologię w swoją stronę i przekształcili rynek pracy, tak by dawał im jak najwięcej korzyści.

Czy widzi pan podobieństwa do rewolucji przemysłowej w XIX w.?

Wtedy również skok technologiczny wypchnął z rynku pracy wielu rzemieślników, będących czymś w rodzaju ówczesnej klasy średniej.

– Rewolucja przemysłowa faktycznie doprowadziła do głębokich zmian na rynku pracy. Jednak wypchnęła z niego przede wszystkim wykwalifikowanych pracowników. Dziś technologia działa nie przeciwko specjalistycznym umiejętnościom, ale na ich korzyść.

W czasie rewolucji przemysłowej różne procesy i zjawiska społeczne, np. głód w Irlandii, wypchnęły masy ludzi ze wsi do miast. Nagle pojawiła się ogromna niewykwalifikowana siła robocza, która mogła zostać zagospodarowana przez odpowiednie technologie. Wynalazki zaczęły powstawać, bo znalazły się masy ludzkie, dzięki którym innowacje mogły być skutecznie wykorzystywane. Pod tym względem widzę podobieństwo strukturalne z dzisiejszą sytuacją, choć kierunek innowacji jest zupełnie inny.

Opisuje pan tę polaryzację pracy w kontekście Stanów Zjednoczonych. Widzi ją pan też w skali globalnej?

– Tak, to, co się dzieje w skali świata, wygląda trochę jak to, co się dzieje w USA, tzn. środek rynku pra-

prawie nie ma prywatnych szkół ani uniwersytetów, nie ma elitarnych uczelni. Z perspektywy niemieckiego studenta wszystkie uniwersytety są mniej więcej takie same. Wydaje się więc, że istnieje zależność między elitarnym systemem kształcenia a spolaryzowanym rynkiem pracy.

W Polsce od 30 lat toczy się debata, co zrobić, by dogonić gospodarczo Zachód. Naturalnie myślimy o kopiowaniu zastosowanych tam rozwiązań, m.in. amerykańskich. To nie jest dobra droga dla mniej rozwiniętych krajów, jeśli chodzi o system edukacji?

– Wydaje mi się, że Polska i państwa na podobnym poziomie rozwoju skorzystałyby raczej na przyjęciu modelu niemieckiego. Ten kraj w ostatnich dekadach ogromnie zwiększył odsetek ludzi z wyższym

Mamy głębokie różnice społeczne nie dlatego, że Ameryka nie spełnia założeń merytokracji, ale właśnie dlatego, że je spełnia.

wykształceniem, jednocześnie nie tworząc hierarchii wśród swoich uniwersytetów. Jeśli popatrzymy na światowy ranking uniwersytetów, żaden niemiecki nie znajduje się bardzo wysoko w zestawieniu. Inaczej jest w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych. Szczególnie w tych drugich mamy garść znakomitych uczelni i masę naprawdę kiepskich. Myślę, że to gorszy model do naśladowania. **Jakie jeszcze ma pan pomysły, by uniknąć tej pułapki merytokracji?**

– Poza zmniejszaniem przepaści między uczelniami i między szkołami zmiany potrzebne są na rynku

niepewni i nieszczęśliwi. Przejawia się to na wiele sposobów. Ostatnio mój wydział prawa otworzył poradnię psychologiczną. To pokazuje, jakie jest zapotrzebowanie. Studenci zaczynają sobie zdawać sprawę, że ich przewaga wiąże się z krzywdą innych osób. Czują, że nie mogą sformułować swoich prawdziwych ambicji, prowadzić takiego życia, jakie chcą. Krótko mówiąc, są zagubieni, dalecy od samozadowolenia i głęboko świadomi, że system, w którym funkcjonują, szkodzi innym i nie przynosi korzyści nawet im samym.

Marcin Terlik

Nie dajmy się wrobić w IKE

Prywatyzacja kont emerytalnych będzie oznaczała przeniesienie ryzyka na przyszłych emerytów

Janusz J. Tomidajewicz

30 grudnia do Sejmu wpłynął i został skierowany do pierwszego czytania rządowy projekt ustawy dotyczący przeniesienia środków z otwartych funduszy emerytalnych na indywidualne konta emerytalne. Ustawa ma wejść w życie 1 czerwca 2020 r. A to oznacza, że obywatele będą mieli zaledwie dwa – w dodatku wakacyjne – miesiące (od 1 czerwca do 1 sierpnia) na podjęcie decyzji o sposobie zabezpieczenia swojego bytu na emeryturze. Ustawa zakłada, że jeśli pracownik nie zdecyduje inaczej, jego środki zgromadzone w OFE zostaną automatycznie przeniesione na IKE. Zmniejsza to szansę na powierzenie ich Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych, który ma gwarancje państwowe i może zapewnić dożywotnią emeryturę oraz jej realną waloryzację.

O tym, dlaczego przeniesienie środków z OFE na IKE stanowi pułapkę zastawioną na przyszłych emerytów, pisałem już w artykule „Oszustwo IKE” (PRZEGLĄD 22/2019). Domyślne automatyczne przeniesienie środków zgromadzonych w OFE na indywidualne konta emerytalne będzie oznaczało:

a) pozbawienie w tej części przyszłych emerytów gwarancji dożywotniej emerytury,

b) skierowanie środków zgromadzonych na emeryturę na obciążony wysokim ryzykiem rynek kapitałowy zamiast ulokowania ich w najmniej ryzykownych zobowiązaniach skarbu państwa,

c) uzależnienie wartości oszczędności emerytalnych od koniunktury na rynku kapitałowym w momencie przechodzenia na emeryturę,

d) konieczność zapłaty już dziś 15-procentowej opłaty przekształceniowej,

e) prawdopodobnie niższą niż w przypadku ZUS waloryzację środ-

ków emerytalnych (w latach 2014-2018 skumulowana stopa waloryzacji w ZUS wyniosła 35,8% wobec 14-procentowej waloryzacji środków w OFE).

Rząd i instytucje finansowe szermują argumentem, że środki te staną się w pełni prywatne, czego przejawem ma być możliwość ich dziedziczenia. Przemilczają jednak fakt, że prywatyzacja ta będzie przede wszystkim oznaczała przeniesienie ryzyka na przyszłych emerytów. Za to nieobciążone ryzykiem państwo przejmie opłatę przekształceniową, a instytucje finansowe będą miały pewne dochody z zarządzania funduszami inwestycyjnymi.

Na szczęście przyszli emeryci mogą nie dać się złapać w tę pułapkę.

Wystarczy zadeklarować przeniesienie środków zgromadzonych w OFE na konto w ZUS.

Brzmi to prosto. Jednak znany jest mechanizm psychologiczny, który polega na tym, że mając do wyboru wariant wymagający działania (w tym wypadku złożenia deklaracji o przeniesieniu środków z OFE do ZUS) i wariant, w którym nie trzeba nic robić, większość ludzi wybiera ten drugi. Na to zapewne liczy rząd. Nie można więc spodziewać się z jego strony rzeczowej i obiektywnej

Wystarczy zadeklarować przeniesienie środków zgromadzonych w OFE na konto w ZUS.

informacji w tej sprawie. Także lobby finansowe będzie przekonywało, że nie można mieć zaufania do państwa i ZUS. Można więc oczekiwać ze strony tych ośrodków zmasowanej propagandy promującej IKE. Nie będą to już może obietnice emerytury pod palmami, ale zapewnienia, że tylko ulokowanie środków na prywatnym koncie kapitałowym umożliwi uzyskanie wyższej emerytury. I będzie to bezcelne kłamstwo.

Jeśli zatem myślimy naprawdę o interesie przyszłych emerytów, musimy

się przeciwstawić zarówno tej propagandzie, jak i tendencji do wyboru domyślnego rozwiązania. A kto powinien przekonać obecnych i przyszłych pracowników, że całość składki emerytalnej należy skierować do gwarantowanego przez państwo ZUS? Odpowiedź wydaje się oczywista – do obrony interesów obecnych pracowników, a przyszłych emerytów, zobowiązane są przede wszystkim partie lewicowe, a także organizacje związkowe i pracownicze, i to niezależnie od ich historycznych korzeni lub politycznych sympatii. Sprawa jest na tyle istotna, że warto pomyśleć o stworzeniu oddolnego i ponadpartijnego ruchu społecznego na rzecz ochrony interesów przyszłych emerytów. Skuteczny okazał się protest czarnych parasolek. Potem były protesty w obronie niezależności sądownictwa. Może teraz należałoby zmobilizować społeczeństwo w obronie praw ekonomicznych i społecznych?

A jaki cel powinien przyjąć ruch na rzecz ochrony praw emerytalnych? Nie może być to utrzymanie *status quo*. Dotychczasowy system OFE nie zapewnia przyszłym pokoleniom godnej emerytury. Na etapie prac nad ustawą należy dążyć do wprowadzenia do niej poprawek zmieniających domyślny wybór IKE na domyślne przeniesienie środków z OFE do ZUS oraz wydłużających czas na podjęcie decyzji i przesuwających go na okres po wakacjach.

Jeśli natomiast poprawki takie nie zostaną przez PiS uwzględnione, ruch na rzecz ochrony interesów emerytalnych powinien postawić przed sobą zadanie przekonania jak największej liczby pracowników, by skorzystali z możliwości wyboru i zdecydowali o przekazaniu swoich oszczędności z OFE do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Janusz J. Tomidajewicz jest ekonomistą, profesorem na Uniwersytecie Zielonogórskim, wieloletnim członkiem władz Unii Pracy



Eugeniusz Guz

Zalew ipeenowskiej propagandy sprawia, że tylko nieliczne osoby wiedzą, jak w styczniu 1945 r. uratowano sanktuarium na Jasnej Górze. W obszernej publikacji „Jasna Góra” (Wydawnictwo Dolnośląskie, 2001) Antoni Jackowski, Jan Pach i Jan Stanisław Rudziński drobiazgowo omówili przed- i powojenne losy centrum kultu maryjnego, pominęli jednak cały okres okupacji. Bogaty, kilkusetstronicowy opis tego czasu można znaleźć w niskonakładowym wydawnictwie zakonu paulinów z 1991 r., „Jasna Góra w latach okupacji hitlerowskiej” pióra o. Janusza Zbudniewka ZP.

Obietnice Franka i Himmlera

Hitlerowscy bonzowie licznie odwiedzali Jasną Górę. Jako pierwszy 4 listopada 1939 r. pojawił się tam minister spraw wewnętrznych Wilhelm Frick. Gubernator Hans Frank odwiedził sanktuarium dwukrotnie w 1940 r. Po raz pierwszy 25 lutego, a potem z całą rodziną 17 września. Przy okazji zapewnił ojców paulinów o gotowości służenia pomocą, gdy znajdą się w potrzebie. Podobną obietnicę złożył 27 października 1940 r. Heinrich Himmler, szef całego aparatu terroru, mającego na sumieniu śmierć polskich księży w obozach koncentracyjnych. W samym Dachau zginęło ich 846.

W klasztornej dokumentacji znajduje się informacja, że przez sanktuarium przewinęło się przeszło 12 tys.

Niemiecki komendant częstochowskiego garnizonu oświadczył, że zanim opuści klasztor, ma polecenie go spalić.

oficerów Wehrmachtu, w tym generałowie i marszałkowie, co jest udokumentowane ich podpisami w księdze pamiątkowej.

Już na samym początku wojny Jasną Górą zainteresował się minister propagandy Trzeciej Rzeszy Joseph Goebbels. 3 września 1939 r. w odległości 200 mil na zachód od Irlandii storpedowany został statek pasażerski „Athenia”. Na jego pokładzie znajdowało się 1,4 tys. pasażerów, w tym wielu obywateli amerykańskich i kanadyjskich. Naj-

Ocalenie Jasnej Góry

Niespodziewany atak czołgów radzieckich na Częstochowę sprawił, że żołnierze Wehrmachtu uciekli w popłochu



Żołnierze niemieccy z Waffen SS w klasztorze na Jasnej Górze.

prawdopodobnie niemiecki okręt podwodny zaatakował statek przez pomyłkę, w tym okresie wojny nie zależało bowiem Niemcom na zagnianiu stosunków z Anglią, Francją czy Stanami Zjednoczonymi. Goebbels uruchomił więc wszystkie narzędzia propagandy, aby przekonać opinię międzynarodową, że Rzesza nie

oszczercze twierdzenie Polaków, jakoby Luftwaffe zbombardowała jasnogórski klasztor. 3 września Goebbels ściągnął nawet specjalnie z Berlina do Częstochowy amerykańskiego korespondenta Louisa P. Lochnera, znanego z krytycznego stosunku do Trzeciej Rzeszy. Lochner miał zaświadczyć o polskim kłamstwie.

Zażądano od przeora o. Norberta Motylewskiego pisemnej deklaracji, że klasztor od chwili wkroczenia wojsk nie doznał żadnych szkód. Deklarację taką przeor musiał złożyć, a Niemcy natychmiast ją sfotografowali i zamieścili w wielu dziennikach wraz ze zdjęciami Lochnera w kaplicy przed obrazem Matki Bożej. W formie ulotek rzucano ją z samolotów w różnych miejscach kraju, przekazano także do wielu agencji prasowych na całym świecie.

W rzeczywistości nie było żadnych podstaw, aby nieprawdziwą wersję o zbombardowaniu Jasnej Góry przypisywać Warszawie. W komunikacie Sztabu Głównego

miała z tą zbrodnią nic wspólnego. W jego wersji statek wpadł na angielską minę, a kłamstwo o storpedowaniu wymyślono po to, aby rozbudzić nienawiść do Niemców.

Chcąc jednak bardziej uprawdopodobnić swoją wersję chociażby przed własnym społeczeństwem, Goebbels wykorzystał w tym celu zagadkowego pochodzenia informacje o zbombardowaniu przez Niemców Jasnej Góry. Ogłosił, że najlepszym dowodem zakłamania wroga w sprawie zatonięcia „Athenii” jest

Naczelnego Wodza 3 września podało wprawdzie informację o zajęciu Częstochowy przez Niemców, ale ani w tym komunikacie, ani w żadnym innym nie wspomniano o bombardowaniu Częstochowy, a tym bardziej sanktuarium.

Tchórzliwy odwrót Niemców

Po raz drugi Jasna Góra stała się przedmiotem zainteresowania Wehrmachtu pod koniec wojny, kiedy Niemcy przygotowywali się do obrony Częstochowy, która – jak czytamy w publikacji „Armia Krajowa w dokumentach” – miała się stać jednym z głównych filarów obrony granic Rzeszy właściwej. W listopadzie 1944 r. w rejonie miasta prowadzono na wielką skalę roboty fortyfikacyjne. Zbliżający się front postawił w stan alarmu rząd polski na emigracji i jego przedstawiciela przy Watykanie, ambasadora Kazimierza Papée. Pius XII zasypywany był apelami o interwencję u władz niemieckich. Prosekretarz stanu w Watykanie, późniejszy kardynał, Domenico Tardini, już 15 listopada 1944 r. przekazał nuncjuszowi w Berlinie telegraficznie *démarche*, wskazujące na konieczność uznania Krakowa i Częstochowy za miasta otwarte, bo w przeciwnym razie losy Jasnej Góry będą zagrożone. Nuncjusz Cesare Orsenigo odpowiedział 22 listopada, że polecenie wykonał. Gdy kilka miesięcy później okazało się, że oba miasta wyszły z wojny bez szwanku, źródła watykańskie ogłosiły, że to dzięki ich interwencji. Reakcja ta była naturalna, bo o działaniach Armii Czerwonej nic tam nie wiadano.

W rzeczywistości Niemcy nie przejęli się tymi interwencjami. Według relacji ojców paulinów komendant częstochowskiego garnizonu zjawił się na Jasnej Górze i oświadczył, że zanim opuści klasztor, ma polecenie go spalić. Żołnierze niemieccy rozlali kilka czy kilkanaście (rozbieżne relacje) beczek z benzyną, a obok

beczek stały wiadra z naftą i wiórami. Podjechała także ciężarówka wypełniona kocami i papierami. Na dziedzińcu wzniesiono pożar, który jednak po kilku godzinach udało się stłumić.

Na więcej Niemcom nie starczyło czasu, bo niespodziewany atak czołgów radzieckich na Częstochowę wywołał panikę wśród uciekających żołnierzy Wehrmachtu.

Częstochowa miała się stać jednym z głównych filarów obrony granic Rzeszy.

Również o. Zbudniewek odnotowuje wycofywanie się Niemców w popłochu, dodając, że „generalicja Wehrmachtu była najprawdopodobniej zdezorientowana przebiegiem spraw”. „Częstochowa ani Kraków nie stały się areną wojny, choć nad oboma miastami wisiała groźba walk. Według dotychczasowej opinii hi-

storyków oba miasta ocalał »śmiały manewr wojsk radzieckich«, podsumowuje autor publikacji „Jasna Góra w latach okupacji hitlerowskiej”.

Jeżeli alianci zachodni rzeczywiście wzięli sobie do serca polskie apele i konsultowali się z Moskwą, potwierdziłoby to tylko dodatkowo, że radzieckie dowództwo świadomie dokonało śmiałego manewru opera-

cyjnego, który ocalał Kraków i Częstochowę przed zniszczeniem.

O. Zbudniewek wspomina: „Odejście Niemców z Jasnej Góry przypominało bezładną i tchórzliwą ucieczkę na samochodach, motorach, a nawet i pieszo. Pierwszy popłoch wyrządziły trzy czołgi radzieckie, które wdarły się do miasta

16 stycznia 1945 r., spośród których jeden podjechał pod plac klasztoru. Nie mogąc wjechać pod jego mury, wystrzelił i trafił prosto w parter budynku klasztorowego, poniżej okna apartamentów generalskich zakonu. Rosjanie tego dnia nie opanowali jeszcze miasta, za to Niemcy w popłochu niszczyli swoje kancelarie, a na Jasnej Górze około godz. 16 podpalili ciężarówkę, załadowaną kocami, maszynami i sprzętem laboratoryjnym, co spowodowało duże niebezpieczeństwo pożaru. Kiedy ogień ugaszono przy pomocy kłeryków, wszyscy stwierdzili, że są wolni. Wokół nie było już ani jednego Niemca, drzwi do ich pomieszczeń były otwarte, na stole stała niedojedzona kolacja, na walach leżała broń i amunicja, wszędzie panował bałagan. Wokół klasztoru wszyscy czuli nadchodzenie upragnionej wolności. Niemcy uciekali, a za nimi biegli już Polacy do kaplicy, a potem do magazynów, gdzie o. Sawicki rozdawał poniemieckie koce”.

Również inny druk jasnogórski, „Jasna Góra. Informator rok 1991” wydany

Częstochowę odwiedził też młodzieżowy zespół muzyczny Hitlerjugend.



► przez zakon paulinów, potwierdza: „Nadszedł wreszcie dzień 16 stycznia 1945 r. Niespodziewany atak czołgów radzieckich na Częstochowę wywołał panikę wśród uciekających wojsk niemieckich. Pod wieczór tego dnia żołnierze niemieccy w popłochu opuścili Jasną Górę, podpalając samochód i wylewając wokół niego benzynę, która ściekała aż do magazynu wojskowego, umieszczonego w dawnym arsenale. Tylko przytomność umysłu zakonników, wśród których znalazł się przypadkowo komendant Straży Pożarnej Częstochowy, uratowała Jasną Górę”.

Symboliczna pielgrzymka

Teksty jasnogórskie pokrywają się z wiedzą mieszkańców. W liście do redakcji „Przeglądu Tygodniowego” z 18 marca 1998 r. Stanisław Przywara z Krakowa pisał: „Nie wszyscy wiedzą, a część Polaków może nawet nie chce wiedzieć, że klasztor jasnogórski w czasie II wojny światowej został ocalony dzięki czerwonoarmistom.

Częstochowa została przygotowana przez Niemców do długotrwałej obrony, stanowiąc ważny punkt oporu. Częstochowski garnizon wojsk niemieckich składał się z oddziałów 608. dywizji do zadań specjalnych oraz pododdziałów różnych jednostek rozbitych w czasie walk. Załoga dysponowała silnym wsparciem lotnictwa oraz artylerii i wojsk pancernych. Z informacji uzyskanych przez radziecki wywiad i polskich partyzantów wynikało, że Niemcy zamierzali zniszczyć klasztor na Jasnej Górze. W jego podziemiach zainstalowali 200 bomb lotniczych, które miały eksplodować po zajęciu miasta przez wojska radzieckie. Odpowiedzialność za zniszczenie Częstochowy miała spaść na Armię Czerwoną. Te haniebne plany zostały unicestwione dzięki szybkiemu, odważnemu i zdecydowanemu działaniu oddziału wydzielonego z 7. korpusu pancernego gwardii, a szczególnie 2. batalionu czołgów, dowodzonego przez mjr. Siemiona Chochriakowa. Wdarł się on do miasta, obchodząc

Częstochowę od północy i południa, a po nadejściu oddziału pod dowództwem płk. Dudziaka, 17 stycznia po krótkich, ale zaciętych walkach ulicznych ostatecznie zdławiono opór Niemców. Niemal równocześnie z walkami o miasto na wzgórzu klasztoru działała grupa saperów pod dowództwem lt. Aloszy Kapustina, która z narażeniem życia unieszkodliwiła zapalniki opóźnionego działania za instalowane w bombach. Duże umiejętności saperów zapobiegły ohydnej prowokacji, w konsekwencji której prócz klasztoru na Jasnej Górze ległaby w gruzach co najmniej połowa zabudowań Częstochowy”.

Wrzesień 2006 r. 24-osobowa grupa żołnierzy Bundeswehry razem z polskimi żołnierzami po dziesięciodniowej pieszej wędrówce przybywa na Jasną Górę. Pozdrawia ich prymas Józef Glemp, świadom symbolicznego charakteru tej żołnierskiej pielgrzymki.

Eugeniusz Guz



Nowe oblicza faszyzmu

Enzo Traverso

Do kupienia w księgarniach i empikach.
Można również zamówić
w wydawnictwie „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwwkip.org
www.monde-diplomatique.pl

Cena 30 zł (w tym 5% VAT)

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Patologiczna rodzina

Student będzie udzielał Antosiowi korepetycji z matematyki. Ten przedmiot był dramatem mojego dzieciństwa. I teraz to się powtarza. Chociaż mój synek i tak więcej rozumie z matmy niż ja. Widzę też, jak archaicznie i bez sensu naucza się historii. Szkoła zabija ciekawość przeszłości. Tak było również za moich czasów, przez lata musiałem tę ciekawość odbudowywać. Patrz na podręcznik do historii synka – to jest skamienielina. Zbiór suchych, niepotrzebnych faktów; są jak gołe kości zawieszane na gwoździach dat. I ten nacjonalizm, który wypęta spomiędzy wersów, snują się między nimi duchy „żołnierzy wyklętych”. Dobrzy pedagodzy jakoś sobie z tym radzą. Rozmawiam z nauczycielką w małym mieście, mówi, że uczy po swojemu, ale jak długo tak da radę? Wkrótce sprawdziany, czy uczy się, jak należy: sucho, sztywno, narodowo. Ilu zostanie w szkołach tych dobrych nauczycieli, trwa przecież selekcja negatywna. Rodzice też mają żal do nauczycieli, czasami słusznie, czasami nie, ale trwa wojna z rodzicami, która także wykańcza pedagogów. Po co za takie pieniądze tak się męczyć? Zawsze gdy jestem w szkole moich synów, mam dojmujące poczucie, że nie jest to miejsce dzieciom przyjazne, że to urząd pełen znudzonych swoją pracą urzędników.

W roku 2020 nagle odkryłem, że jestem postkomunistą. To jedno z tych pojęć używanych przez PiS, zupełnie rozmyte, co okazuje się jego zaletą w ramach ogólnonarodowego prania mózgów. Postkomunistą jest każdy, kto nie akceptuje PiS, a im gorzej o nim mówi, tym bardziej zatwardziałym jest postkomunistą. Powstaną – już powstają – książki o języku PiS i o tym, jak miał wpływać na sposób myślenia Polaków. Ale takie prace już przecież były, wystarczy twórczo połączyć książki o języku faszyzmu i o języku propagandy w czasach PRL, wszystko zaczyna się zgadzać.

Statystyka bywa niehigieniczna. Okazuje się, że ponad 1,2 mln Polaków nie ma łazienki. Zamiast toalet są sła-wojki, wspólne WC na piętrze, dyżury do mycia sedesów. Jaki procent z tych nieposiadających wygod głosuje na PiS? Podejrzewam, że bardzo duży. Męczą się i szukają winnego ich losu. Winni są oni, mówi im PiS. „Trzeba Polskę oczyścić!”, woła Duda i aż się trzęsie z emocji. To także znamy: odszczurzenie i dezynsekcja. Nasze wychodki może też oczyszczą, myśli lud. Duda – już nie potrafię napisać prezydent, to funkcjonariusz partyjny – chce ode-

brać głosy i dusze Konfederacji, radykalizuje się, woła na pomoc górników, lud polski. Pomożecie? Lud odpowiada: pomożemy! Roztrzęsiony, ze łzami w oczach, krzyczy Duda: „Nie będą nam tutaj w obcych językach narzucali, jaki ustrój mamy mieć w Polsce”. Kiepski aktor, który zdaje się wierzyć w rolę napisaną mu przez Kaczyńskiego. Prezes nadaje rytm w marszu, mówi: „Co dzisiaj czynimy, to po to, by Polska była lepsza i by Polska była suwerenna i niepodległa, by ten nowy zamach na naszą suwerenność i niepodległość został odparty”. Tego zamachu na Polskę dokonuje Unia Europejska. Jak można być w takiej rodzinie narodów? To rodzina patologiczna, katuje się tam biedną Polskę. Kiedy na początku rządów PiS twierdziłem, że oni nas wyprowadzą z Unii, kpiono ze mnie. Siódmą rocznicę śmierci swojej matki obchodzi prezes w kościele w towarzystwie wysokich funkcjonariuszy partyjnych.

Postkomunistą jest każdy, kto nie akceptuje PiS, a im gorzej o nim mówi, tym bardziej zatwardziałym jest postkomunistą.

Za jakiś czas będzie to święto państwowe. Elementy kultu jednostki coraz wyraźniejsze, prezes co prawda czasami macha małą łapką, że on tak nie chce, już mnie tak nie fetujcie, ale to jakoś tak samo się robi.

Haniebne rzeczy na temat Polski, jakie mówią Putin i jego dyplomacja, to nie tylko podłość, za sprytni są na to. To nowa polityka historyczna Rosji, jeśli chodzi o początek wojny, ale też szturchanie kijkiem sąsiada kretyna (taka jest nasza dyplomacja), by wykonywał niezborne ruchy. LGBT, imigranci, kasta sędziowska, a teraz Putin – naród polski jest zagrożony. Bardzo zdenerwowani i skłóceniu rzucajmy się sobie do gardeł i warczmy na sąsiadów. Im więcej lęku i obłędu w Polsce, tym lepiej dla putinowskiej Rosji.

Jak większość polskich inteligentów intuicyjnie lubię Małgorzatę Kidawę-Błońską, ale ta sama intuicja mi mówi, że nie nadaje się do walki o prezydenturę. Nie jest człowiekiem walki. Jej łagodność ma błyszczeć na tle ich chamstwa. To by może wystarczyło w normalnych warunkach, ale Polska nie jest teraz normalna. Na dodatek PO się ślimaczy, wszystko im się ślimaczy, kampania ich kandydatki również. Jeśli Kidawa wygra, czego nie wykluczam, będzie to tylko zwycięstwo naszej rozpacz.

Bestseller z Auschwitz

Popularność „Tatuażysty z Auschwitz” sprawiła, że obóz w tytule stał się kluczem do komercyjnego sukcesu

Rafał Pikuła

Rzutem na taśmę wydano w tym roku „Położną z Auschwitz”, a zaraz też „Bibliotekarkę z Auschwitz”, w ostatnim zaś czasie „Tajemnicę z Auschwitz”, „Sekret Elizy. Auschwitz. Płatna miłość”, „Anioła z Auschwitz” i „Kotysankę z Auschwitz”. Kilka dni temu do księgarń trafiła także kontynuacja „Tatuażysty z Auschwitz”, czyli „Podróż Cilki”.

Machina ruszyła – historyzujące powieści z obozem zagłady stały się gwarancją zysku, bez względu

na rasy” przez esesmana i związana z tym surowa kara. W opinii badaczki „wojenna rzeczywistość, a zwłaszcza historyczny i społeczno-psychologiczny kontekst obozu koncentracyjnego został w książce odrealniony i spoetyzowany”.

Powieść jak wiele innych

Nie tylko historykom frywolna narracja Heather Morris nie przypadła do gustu. „Podróż Cilki” skrytykował George Kovach, pasierb Cilki. W liście do amerykańskiego wydawcy zarzucił autorce, że kreśli

Popowe książki o Auschwitz przęją się na półkach.

Wydawcy mogą powiedzieć: przecież czytelnicy tego chcą, a naśladownictwo nie jest w literaturze niczym nowym.

na ich wartość merytoryczną, językową, ale również bez względu na delikatność samego tematu. Autentyczność „Tatuażysty z Auschwitz”, którego autorka Heather Morris opisuje jako opartego „na w pełni prawdziwej historii”, zakwestionowało Centrum Badań Muzeum Auschwitz. Powieść przedstawia losy więźnia Lale Sokołowa, który zajmował się tatuowaniem innych osadzonych. W listopadowym numerze magazynu „Memoria” Wanda Witek-Malicka z Centrum Badań wylicza błędy w opowieści o Sokołowie. Nie zgadza się numer obozowy, jaki według autorki nosiła Gita Furman, żona Sokołowa. Trasa transportu miała być wzięta ze współczesnej wyszukiwarki połączeń kolejowych. Błędnie miał być podany numer bloku więźnia. Jednak największą wątpliwość budzi opisana w książce relacja seksualna pomiędzy kierownikiem obozu, SS-Obersturmführerem Johannem Schwarzhuberem, a żydowską więźniarką Cilką. Wanda Witek-Malicka pisze wprost, że „możliwość utrzymania tak długiego związku nie istniała”. Taka relacja to „zhańbienie

niesprawiedliwy i nieprawdziwy portret kobiety. Za najbardziej oburzające uznał przedstawienie Cilki jako kochanki, a także sugestię, że wykradała leki ze szpitala. Sprawę komentował też brytyjski „Guardian”.

wiele innych, oparta na wspomnieniach prawdziwych ludzi”.

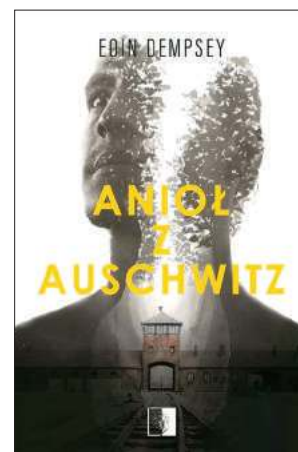
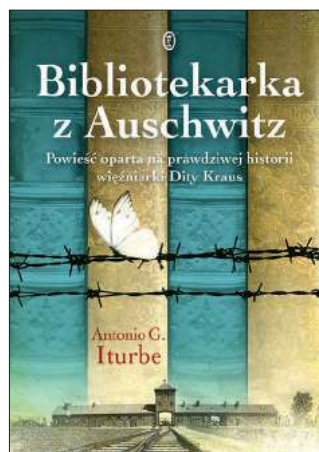
Niestety, drogą poetyzowania, w imię zadowolenia czytelnika, podążają kolejne wydawnictwa. Weźmy „Sekret Elizy. Auschwitz. Płatna miłość” Dominika W. Rettingera. Okładka jak z romansowej powieści obyczajowej, a i historia ze sztancy – dramatyczne losy młodej kobiety, która, ratując się z Auschwitz, decyduje się pracować jako prostytutka w Komandzie Puff, domu publicznym otwartym w 1943 r. przez SS w głównym obozie. Jak streszcza wydawca w opisie: „Jej walka o przetrwanie i chora niebezpieczna miłość oficera SS przeplatają się z opartą na faktach relacją z obozowego życia i funkcjonowania esesmańskiego domu publicznego, nigdy wcześniej nieopisanego w literaturze”. Nie jest to prawda. Tematem oświecimskiego burdelu już w latach 90. zajęła się niemiecka badaczka Christa Paul („Zwangsprostitution. Staatlich errichtete Bordelle im Nationalsozialismus”). Na polskim rynku wydawniczym ważną publikacją była książka „Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej” Joanny Ostrowskiej. Tak, o dramacie prostytutek z obozu zagłady można pisać bez wstawek romansowych.

Również „Anioł z Auschwitz” Eoina Dempsey to powieść na miarę publikacji Morris. Zapowiedź



„Chciałbym, by wydawcy przyznali, że ta książka to w 99% fikcja, i prze-prosili za potraktowanie mojej macochy”, tłumaczył gazecie Kovach. Jaka była odpowiedź wydawcy? Bonnier Zaffre wyjaśnił, że „to powieść, a nie książka historyczna. Powieść jak

wydawcy nie pozostawia złudzeń: „Opowieść o miłości i walce o życie. Nic nie mogło rozdzielić Christopha i Rebecki: ani jej wyrodni rodzice, ani nawet narzeczony, z którym wróciła do domu po ucieczce do Anglii. Ale gdy do sielankowej wyspy



Jersey dociera II wojna światowa, nazistowscy najeźdźcy, realizując Ostateczne Rozwiązanie Kwestii Żydowskiej swojego Führera, wywożą Rebeccę na kontynent. Gdy naziści deportują Christophera i jego rodzinę do ojczystego kraju – Niemiec, w desperackiej próbie ratowania ukochanej zgłasza się na ochotnika do szeregów SS”.

Z kolei „Kołysanka z Auschwitz” Maria Escobara to „inspirowana życiem Helene Hannemann opowieść o heroicznej kobiecie, której odwaga

„Dziewczyna z pociągu”, „Ta dziewczyna”, „Anonimowa dziewczyna”, „Perfekcyjna dziewczyna” i wreszcie „Kobieta w oknie” A.J. Finna, która przymknęła puszkę dziewczyn, ale otworzyła kobietą serię imitacji. Własne strategie kopiowania mają też rodzime wydawnictwa i autorzy. Komercyjny sukces „Dziewczyn z Powstania” Anny Herlich-Zychowicz sprawił, że autorka napisała również o dziewczynach z Solidarności, Syberii, Wołynia, o dziewczynach Sprawiedliwych i Ocalałych. Pomijam

Klasyczne teksty, takie jak „Proszę państwa do gazu” Borowskiego czy zapiski „Pięć lat kacetu” Stanisława Grzesiuka poruszają do dziś. Czy są jednak pierwszym wyborem czytelników? Niekoniecznie, gdyż książka jest produktem sprzedawanym przez slogany. Nie można mieć pretensji, że szukający zarobku wydawcy idą sprawdzonym tropem i po komercyjnym sukcesie np. „Sekretne życie zwierząt”. Pytanie tylko, czy każdy temat należy tak wałkować. Wiadomo, że żyjemy w kulturze nadmiaru, promocja to podstawa itd., ale nawet najbardziej zatłoczony rynek nie usprawiedliwia fałszowania historii i upupiania ważnych tematów.

Historyzujące powieści o obozie zagłady stały się gwarancją zysku, bez względu na ich wartość merytoryczną i delikatność tematu.

i miłość rozświeciły najgorsze mroki historii”. Tutaj także mamy wzruszającą miłość, poświęcenie i promyki nadziei w gęstej nocy śmierci, jak to określiła jedna z recenzentek serwisu Lubimyczytać.pl. W tym znanym serwisie dla miłośników książek wiele osób pisze wprost, że sięgnęło po „Kołysankę” po lekturze „Tatuażysty”.

Zapraszam państwa do lektury

Popowe książki o Auschwitz przęją się na półkach. Wydawcy mogą powiedzieć: przecież czytelnicy tego chcą, a naśladownictwo nie jest w kulturze literackiej niczym nowym. O tym trendzie pisała niedawno Paulina Wilk w „Przekroju”. Strategię rozpaczliwego kopiowania formuły cudzego sukcesu opisała na przykładzie „Zaginionej dziewczyny” Gillian Flynn. Za „Zaginioną...” pojawiły się nowe dziewczyny, m.in.

wszystkie produkcje z Greyem w tytule i bezmiar naśladowców idących tropem sukcesu tzw. literatury erotycznej, z Blanką Lipińską na czele.

Nadmiar *historical fiction* z Auschwitz w tytule nie raziłby tak bardzo, gdyby nie fakt, że dobrej literatury obozowej nie brakuje, w tym tej uchodzącej już za klasykę. Na przykład opowiadania Tadeusza Borowskiego i Zofii Nałkowskiej, które wiele osób czytało jeszcze w szkole, lub trochę dziś zapomniane, ale właśnie wznawiane, wspomnienia Seweryny Szmaglewskiej. Prosty, lecz precyzyjnym językiem piekło Auschwitz opisała Halina Birenbaum w autobiografii „Nadzieja umiera ostatnia”. Z nowszych publikacji można wymienić „Pejzaże metropolii śmierci” historyka Ottona Dova Kulki, „Oskarżam Auschwitz” Mikołaja Grynberga czy „Farby wodne” Lidii Ostafowskiej.

Holokaust w wersji pop

Oczywiście zdarzenie Holocaustu jako faktu historycznego z mechanizmami kultury popularnej to sprawa stara. Czym innym są wariacje, takie jak „Bękart wojny”, kultowy już film Quentina Tarantino, czy komiks „Maus. Opowieść ocalałego” wydawany przez Artę Spiegelmana, syna polskich Żydów, gdzie historyczność z założenia jest wzięta w nawias, a czym innym publikacje siłące się na narracje oparte na faktach. Auschwitz, a szerzej Holocaust, w wersji popkulturowej, eskapistycznej to wciąż coś innego niż upoetyzowane *historical fiction*.

Obchodzona właśnie 75. rocznica wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau może skłonić do refleksji, że nie wszystko musi przelatywać przez marketingową maszynę. Od literatury, która jest najważniejszym nośnikiem pamięci, możemy wymagać więcej. ■

Z BERKIEM TWARZĄ W TWARZ

Legendarny pułkownik Kościuszki Berek Joselewicz wrócił za sprawą spektaklu Mai Kleczewskiej i Łukasza Chotkowskiego. W dawnej kawiarni Nowy Świat, pamiętającej czasy Kabaretu Dudek, aktorzy grają tuż przed widzami, niemal z nimi przemieszani, krążą po sali, tańczą, przypominają dawne pieśni, przemówienia, deklaracje, apele bojowe. W scenariusz wplatają się słowa Krasińskiego i Wyspiańskiego, powstaje tkanina żywej pamięci. Na zakładkę – bo kiedy skończy się pierwszy pokaz, zaczyna się następny.

Teatr Żydowski przypomina rzadko wspominaną wspólną kartę walki o wolność, trudną dla obu stron z uwagi na odmienność tradycji i temperamentów. Kleczewska wychodzi ze swoim oryginalnym spektaklem na zewnątrz, niektóre działania to-



czą się na ulicy – przed szybami kawiarni na Świętokrzyskiej. Wszystko to w atmosferze między jawą a snem.

To mogłoby się osunąć w klimat bliski dawnej śpiewogrze „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”, gdyby nie wprowadzone wspomnienie świeżego jeszcze konfliktu wokół pamięci o Holokauście i przemówienia prezydenta RP, który najwyraźniej zlekceważył różnicę w położeniu polskich i żydowskich ofiar niemieckiej okupacji i polski udział w prześladowaniu Żydów. Nie jest więc wyłącznie słodko – spektakl zachęca do myślenia o przeszłości bez kłajstrowania niewygodnych momentów. Berek Joselewicz pomaga nam spojrzeć prawdzie w oczy.

Tomasz Miłkowski

„Berek”, reżyseria Maja Kleczewska,
Teatr Żydowski na Nowym Świecie 63,
premiera 7 grudnia 2019

KONKURS

VII edycja konkursu im. Andrzeja Żurowskiego dla młodych krytyków teatralnych

Młodzi krytycy teatralni mogą po raz kolejny wziąć udział w konkursie na najlepsze recenzje, publikowane zarówno w mediach tradycyjnych: prasie, radiu, telewizji, gazetach i folderach festiwalowych, jak i w nowych mediach:



na portalach teatralnych, w mediach społecznościowych i na blogach od maja 2019 r. do ostatniej dekady marca 2020 r. Szanse mają wszyscy publikujący recenzje teatralne, którzy nie przekroczyli 35. roku życia.

Pełna informacja znajduje się na stronie: konkurs-zurowski.pl (regulamin w zakładce: O konkursie) i na FB: Konkurs im. A. Żurowskiego.

W pracach jury uczestniczyć będą profesorka Akademii Teatralnej dr Bożena Frankowska, aktorka Sławomira Łozińska, reżyser Maciej Prus, pisarz i dramaturg, kierownik literacki Teatru Żydowskiego w Warszawie Remigiusz Grzela, a przewodniczącym kapituły jest dr Tomasz Miłkowski, krytyk teatralny z liczącym się dorobkiem, honorowy wiceprezes AICT.

Uwaga! Recenzje należy nadsyłać do 31 marca na adres Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w maju.

NA POWAŻNIE



TRUP W WODĘ

Wśród kinowych dystrybutorów pojawił się nowy miłośnik opery, który proponuje retransmisje słynnych spektakli z festiwalu operowych w Bregencji i Salzburgu. Na pierwszy ogień poszła letnia inscenizacja „Rigoletto” Verdiego wykonana nad Jeziorem Bodeńskim w Austrii. Widowisko szalenie efektowne, cyrkowo niebezpieczne, z zaangażowaniem maszyn poruszających olbrzymimi dekoracjami wyobrażającymi megaklauna, prawie Guliwera wśród krasnali. Na tym tle słynna aria „La donna è mobile” jest tylko drobnym epizodem wśród karkołomnych ewolucji akrobatów i samych śpiewaków przepiętych liniami do scenografii. Ofiary represji księcia Mantui wpadają do wody, ale plusku nie słychać, bo warstwa dźwiękowa jest nastawiona na piękną muzykę. Kolejne zapowiadane spektakle to „Aida”, „Czarodziejski flet” i „Łucja z Lammermooru”.

Bronisław Tumitowicz

Giuseppe Verdi, „Rigoletto”, reżyseria i scenografia Philipp Stölzl i Heike Vollmer, dyrygent Enrique Mazzola, Wiener Symphoniker, retransmisja w sieci Cinema City

MIĘDZY OKŁADKAMI

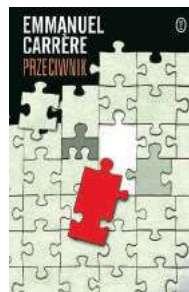
NA EKRANACH

Emmanuel Carrère

Przeciwnik

tłum. Grażyna Majcher

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020



Tą sprawą żyła cała Francja. 9 stycznia 1993 r. Jean-Claude Romand zabił żonę, dzieci, rodziców, a następnie próbował popełnić samobójstwo. Śledztwo ujawniło, że nie był lekarzem, jak twierdził. Przez 17 lat skutecznie okłamywał swoje otoczenie – rodzinę, przyjaciół,

sąsiadów. W zeszłym roku wyszedł na wolność. „Przeciwnik” jest nie tylko przypomnieniem tej historii, ale i studium społecznych zależności, presji i tego, jak potrzeba sukcesu może prowadzić do potwornych zbrodni. Emmanuel Carrère w zajmujący sposób opisuje banalność zła, drogę do zniewolenia i gęstniejącą sieć kłamstw. To mała książeczka o wielkich sprawach – w czasach postprawdy i drapieżnego kapitalizmu, kiedy bycie *successful* jest miarą wszechrzeczy, warta przeczytania.

Rafał Pikuta

Mateusz Wiśniewski

Libretto i sztuka jego przekazu

IKR(i)BL Wydawnictwo Naukowe, Siedlce 2019



Niektórzy chadzają do opery regularnie, inni w niej bywają, jeszcze inni byli raz w życiu „ze szkołą”, a są tacy, którzy nigdy nie przeszli jej progów.

Słuchamy muzyki, zatapiamy się w brzmieniach głosów śpiewaków, to oczywiste. Ciekawe jednak, czy ktoś zastanawia się nad tekstem libretta, kiedy czyta je na ekranie nad sceną, siedząc wygodnie w fotelu na widowni. Interdyscyplinarna książka młodego miłośnika opery i naukowca, bohemy, popularyzatora kultury, 34-letniego Mateusza Wiśniewskiego, „Libretto i sztuka jego przekazu”. Czeska opera w Polsce – wybrane zagadnienia tekstu i języka”, może zainteresować zarówno melomanów, jak i artystów pracujących w teatrach, ale może być ciekawa także dla operowego laika. Może da impuls do pierwszego świadomego zwrócenia uwagi na libretto i kunszt jego tłumaczenia?

(BDŻ)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, MAGDA HUECKEL

**PROXIMA**

reż. Alice Winocour,
prod. Francja, już w kinach

Reżyserka Alice Winocour spędziła dwa lata z kobietami przygotowującymi się do misji kosmicznych. Zbierała ich historie, wsłuchiwała się w problemy, odnotowywała podejście społeczeństwa do matek, które decydują się na długie loty w kosmos i zostawiają dzieci na ten czas same. Zbadała też różnice zachowania się ciała kobiety i mężczyzny w przestrzeni międzygwiezdnej. Z tego wszystkiego zrodziła się „Proxima”, film świetnie opowiedziany i bardzo dobrze zagrany. Eva Green wciela się w Sarah Loreau, jedyną kobietę biorącą udział w wycieńczającym szkoleniu Europejskiej Agencji Kosmicznej. Jej postać nie tylko musi się mierzyć z uprzedzeniami kolegów i trudnymi decyzjami co do tego, czy na czas misji powinna zatrzymać hormonalnie menstruację, ale również stawiana jest pod prężeniem przez otoczenie, które nie może zrozumieć, że Sarah chce spełniać marzenia z młodości, zamiast oddawać się wychowaniu córki. Francuska reżyserka nie tworzy jednak filmu zaangażowanego. Nie ma litości wobec bohaterki, nie zalewa też widza utyskiwaniami na niedolę kobiet. Przeciwnie – podziwia ich siłę i determinację. W efekcie film oferuje oprócz wciągającej historii skomplikowaną wewnętrzną bohaterkę. Można jej nie polubić, ale jej nastawienie do świata szybko się udziela.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

FOTOBLOK. Europa Środkowa w książkach fotograficznych

To pierwsza wystawa „tak przekrojowo i krytycznie ujmująca burzliwą historię Europy Środkowej analizowaną przez publikacje albumowe, artystyczne i propagandowe. Prezentujemy na niej ponad sto książek fotograficznych z Czech, Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Rumunii, Słowacji i Węgier pokazujących, jak fotografia odzwierciedlała procesy kształtowania się nowych tożsamości młodych państw Europy Środkowej i wpływała na ich wizerunek, ideologię, marzenia o modernizacji i przyszłości. Szeroka, ponadnarodowa perspektywa pozwala dostrzec wspólny los dzielony przez mieszkańców tej części kontynentu” (z zapowiedzi wystawy).

KRAKÓW, GALERIA MCK, DO 1 MARCA



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Wszystkie dobra tego świata

Watykański supermarket

Magdalena Wolińska-Riedi

Pewnie trudno sobie wyobrazić państwo, w którym nie ma ani jednej szkoły i przedszkola, gdzie nie można znaleźć kwaciarni czy po prostu pójść do fryzjera. Z tego niewątpliwą radość czerpią małe zakłady rzemieślnicze przy Borgo Pio, rzymskiej uliczce prowadzącej do Watykanu. To tutaj mieszkańcy żyjący na co dzień za Spiżową Bramą wychodzą, by zaopatrzyć się w pastę do butów czy kupić choćby cukier puder. Cukier biały, ten zwykły, można w sklepie za murami Watykanu dostać bez problemu (...). Nie znaczy to, że Watykan to miejsce odcięte od świata. Przeciwnie. Za murami znajduje się najbardziej pożądany przez mieszkańców Wiecznego Miasta supermarket Annona, taki nasz dawny Pewex. (...).

Poza jedynym w Watykanie sklepem spożywczym za Spiżową Bramą znajdziemy również magazyn produktów luksusowych *duty free* i dwa dystrybutory stacji benzynowej. Nie mogę nie wspomnieć także o słynnej aptece, do której próbują dostać się tłumy, choć dostępna jest tylko dla wybranych. Na sprzedaży paliwa, lekarstw, markowej odzieży – T-shirtów Valentino, szalików Dolce & Gabbana czy jeansów Versace (...) i samej żywności Stolica Apostolska zarabia zdecydowanie więcej niż na biletach wstępu do papieskiej wili w Castel Gandolfo i do Muzeów Watykańskich, z kaplicą Sykstyńską razem wziętych. (...)

Specjalną legitymację ze zdjęciem niezbędną przy kasie zarówno w magazynie z odzieżą, jak ze sprzętem RTV i AGD oraz w sklepie spożywczym mają jedynie urzędnicy kurii rzymskiej, rezydenci Watykanu, dyplomaci i emerytowani pracownicy Stolicy Apostolskiej. Z prostego rachunku wynika, że w jakiś „zaczarowany” sposób liczby się pomnażają.

Na powierzchni 44 ha znajduje się tylko jeden sklep spożywczy (*Spac-*

cio Annonario). Jeden, ale za to jaki. Z zewnątrz niepozorny. Bez okien, przeszklony tylko z jednej strony, od wejścia. Przez szklane drzwi (...) widać ciasno ustawione regały. Sklep mieści się w parterowym, stosunkowo rozległym jak na watykańskie warunki budynku w części o najgęstszej zabudowie, przy Via della Tipografia. (...) Popularna Annona przyciąga jak magnes, bo produkty sprzedawane w supermarkecie mają bardzo atrakcyjną cenę, jeśli porównać z analogicznymi produktami sprzedawanymi we Włoszech. Wynika to bezpośrednio z postanowień traktatów laterańskich z 1929 r. – produkty dostarczane na terytorium Państwa Watykańskiego (...) są zwolnione z opłat celnych, akcyzy, nie podlegają

Popularna Annona przyciąga jak magnes, bo produkty sprzedawane w supermarkecie mają bardzo atrakcyjną cenę.

też opodatkowaniu VAT. Na fakturach wystarczy pieczęć Gubernatoratu Państwa Watykańskiego. Pamiętać trzeba, że Watykan, choć znajduje się geograficznie w obrębie Włoch, nie należy do struktur Unii Europejskiej i nie jest objęty normami podatkowymi obowiązującymi w krajach członkowskich. To jest tajemnica dobrych cen tego, co możemy kupić w Watykanie.

Towar bynajmniej nie jest tani, ale wszyscy wiedzą, że wyróżnia się najwyższą jakością. Poza konkurencyjną ceną sprzedawanych produktów Annona – jako jedyny sklep na świecie – oferuje dostarczane codziennie rano małą furgonetką świeże towary z papieskiej farmy w Castel Gandolfo, najbardziej ekologicznego gospodarstwa rolnego na ziemi! Objęte najwyższą kontrolą, otoczone wysokim murem i położone w obrębie 55-hektarowej posiadłości papieża nad jeziorem Albano gospodarstwo żyje swoim własnym życiem. Na 30 ha rozciąga się teren ekologicznych upraw warzyw, owoców, winnej latorośli, a także hodow-

la domowego bydła. Wszystko w stu procentach naturalne, nieskażone sztucznymi nawozami (...)

Kiedy zerkniemy na opakowania, nie sposób się pomylić. Proste, białe, na wierzchu zarys wejścia do papieskiej farmy z charakterystycznymi tujami wokół dziedzińca. Napis nie pozostawia wątpliwości: *Fattorie pontificie di Castel Gandolfo*. Gwarancja doskonałej jakości. Znajdziemy tu świeżutkie ekologiczne jajka od kur z wolnego wybiegu, a warto podkreślić, że w Castel Gandolfo na co dzień papieską trawą żywi się 400 kur i kurczaków; nabiał, w tym mleko w charakterystycznych kartonach, i to pełnotłuste, i to odtłuszczone, wszystko pasteryzowane w 70 st., co pozwala na zachowanie

jego wartości odżywczych. Każdego dnia 70 papieskich krów daje w zagrodzie w Castel Gandolfo ok. 700 litrów świeżego mleka! Ponadto są tu jogurty w czterech smakach i świeży ser biały – *caciotta* i *ricotta* – a czasem, choć rzadko, także *mozzarella*. Poza tym gospodarstwo hoduje bydło i sprzedaje swoje ekologiczne i bardzo ekologiczne mięso (cielęcinę, wołowinę, a także mięso z królika, ze strusia i z indyka), ale tego w Annonie nie uświadczymy. Jest go tak niewiele, że sprzedaje się je wyłącznie na miejscu, na terenie samej farmy (...).

Kiedyś wybrańcami, którzy jako jedyni mogli korzystać z lokalnego dobrobytu, byli wyłącznie rezydenci Watykanu i jego obywatele. Obecnie dostęp do sklepu mają nie tylko mieszkańcy i pracownicy czynni, lecz także emeryci, którzy pracowali dla Stolicy Apostolskiej, oraz przedstawiciele korpusu dyplomatycznego i instytucji związanych z Watykanem, jak choćby pracownicy papieskich uniwersytetów w Rzymie, papieskich bazylik na terenie Wiecznego Miasta,



Portret papieża w watykańskim sklepie spożywczym.

różnych fundacji czy członkowie, szczególnie przełożeni, zgromadzeń zakonnych. Warunkiem wstępu jest posiadanie imiennej legitymacji ze zdjęciem. Elektroniczna karta umożliwiająca wejście ma różne kolory, w zależności od pełnionej funkcji i miejsca pracy w Watykanie. Służy zarówno jako przepustka, by w ogóle dostać się za Spisową Bramę (oczywiście w wypadku tych, którzy nie są rezydentami), a następnie raz jeszcze, przy kasie, żeby zapłacić i zabrać kupiony towar. (...)

Mimo to nadużyć nie brakuje. Powszechnie wiadomo, że legitymacja, chociaż powinna być używana wyłącznie przez jej właściciela, często trafia w ręce krewnych, przyjaciół czy dalszych znajomych, którzy próbują wejść i przejść, bo a nuż się uda. Trudno zaprzeczyć, że Watykanowi to na rękę, co więcej klientów to większe obroty. Niełatwo jest jednak wytłumaczyć, skąd się biorą ogromne kwoty, jakie najmniejsze państwo świata gromadzi rocznie na swoim koncie ze sprzedaży ograniczonej liczby produktów i przede wszystkim przy bardzo limitowanej klienteli. Z danych, które przeanalizowano w 2012 r., wynika, że sam supermarket zapewnia Stolicy Apostolskiej utarg w wysokości 21 mln euro. *Tax free* Annona kusi przede wszystkim swoją ekskluzywnością. Nie bez znaczenia są atrakcyjne ceny, niższe niż w sklepach włoskich, zwłaszcza jeśli chodzi – co może zabrzmieć w kontekście Watykanu pa-

radoksalnie – o alkohole, w tym bardzo liczne doskonałe włoskie wina. Niekończące się półki z doskonałym *rosso*, *bianco* i *rose*... wytrawnym i słodkim, gładkim i lekko musującym. W okresie przedświątecznym dostarczane są dodatkowe gatunki szampana i różnego rodzaju prosecco. Oczywiście nie brakuje luksusowych alkoholi wysokoprocentowych, od rumu i whisky po grappy i czyste wódki, w tym polskie. Dwa razy w roku, wiosną i jesienią, dostawnie rozchwytywane są masywne dwulitrowe butelki z czystym alkoholem (*Alcool Puro*) używanym do robienia przeróżnych domowych nalewek – *limoncello*, *nocino* czy *fragolino*. California Wine Instytut na podstawie

Sławny sklep bezcłowy w Watykanie jest mekką dla tych, którzy uwielbiają świetne ciuchy.

analizy sprzedanej ilości wina w Annonie z ostatnich czterech lat i liczby osób, które teoretycznie mają dostęp do sklepu, udowodnił, że każdy kupujący spożywa średnio 74 litry tego trunku rocznie! I płaci za to cenę niższą o 20% od ceny analogicznych produktów w Rzymie. (...)

Ja w Annonie zwykle kupuję rzeczy pierwszej potrzeby: chleb, mięso, ryż i makaron. (...) Kto ma privilegie dostarczania swoich produktów do watykańskiego pewexu? Dostawców jest łącznie 120. Zmieniają się okresowo, co kilka lat, a kto wygra w konkursie na najlepszą ofertę roz-

pisaną przez Biuro Spraw Handlowych Gubernatoratu (Sektor Zakupów – *Settore Acquisti*), ten ma się doskonale przez dłuższy okres. Wybór zależy od zaproponowanej ceny, która musi być przede wszystkim konkurencyjna, od znajomości w Watykanie (i tej tezy nie warto próbować podważać), a także oczywiście od jakości produktów. Obecnie w sklepie dostać można np. norweskiego łososia dostarczanego przez polskiego producenta.

Mięso pochodzi w sporej mierze z Argentyny, nie tylko dlatego, że to ojczyzna papieża, bo od zawsze dostarczano tu świetne argentyńskie steki i inne wyroby z wołowiny, a także z Danii i lokalnie z Włoch – obecnie z Abruzji. To właśnie duże gabloty ze świeżym mięsem o zaskakująco niskich cenach przyciągają szczególną uwagę. Można tu kupić wszystko – od zwykłych udek kurczaka poprzez polędwicę, jagnięcinę po flaki czy wątróbkę. Są też wielkie lodówki z rybami i owocami morza, a także stoisko ze świeżymi rybami – od ruszającej się na lodzie ośmiornicy i muli po solę i morskczuka.

Nie ma tak wielkiego wyboru jak w powszechnie znanych sieciach supermarketów, ale za to dostępne marki są naprawdę ekskluzywne. (...)

W okresie przedświątecznym na środku sklepu ustawiane są – dosłownie – rusztowania ze słynnych włoskich babek – bożonarodzeniowych *panettone* i *pandoro* oraz wielkanocna *colomba* (czyli symboliczny gołąb pokoju). (...)

Pracowników supermarketu jest łącznie 24. Dodatkowo rotacyjnie pojawiają się przedstawiciele słynnych producentów czekolady, rzadkich wędlin czy wyszukanych trunków, którzy okresowo na specjalnych małych stoiskach przygotowują degustacje i zachęcają do kupna. Rekrutacja osób zatrudnionych na stałe w Watykanie nie jest prosta. Pierwszy warunek to... oczywiście znajomości. Liczą się powiązania rodzinne, polecenia osób o nienaganej moralności, a także zaświadczenie o niekaralności. Przeprowadza się testy psychologiczne, badania ▶

► lekarskie, rozmowy z szefostwem danego sektora, do którego kandydat jest kierowany. Bo rekrutacja do wszystkich instytucji i urzędów państwowych w Watykanie odbywa się w jednym miejscu – Biurze Spraw Personalnych w Gubernatoracie. Kandydat wyraża swoje preferencje czy zainteresowania także w zależności od wykształcenia czy wcześniej wykonywanego zawodu. W Annonie pracują zarówno zwykli sprzedawcy, kasjerzy, jak i menedżerowie. A także kierowcy. Przed sklepem dyżurują

słynny fragment sklepienia kaplicy Sykstyńskiej, kiedy palce dłoni Boga dotykają dłoni Adama w scenie stworzenia, a na nim napis: *Inseritio scidulam quaeso ut faciunddam cognoscas rationem*, czyli mniej więcej tyle co: „Proszę włożyć kartę, by dokonać dozwolonych czynności”. (...) Poza kartą, z której można korzystać w watykańskim bankomacie, oferowana jest tu także karta kredytowa Visa. (...) Wszystkie rodzaje kart wystawiane są przez bank watykański.

w oczy rzucają się gabloty z luksusową biżuterią i zegarkami. Możemy tu znaleźć kolczyki czy bransolety za 100 czy 200 euro, a także przedmioty tak renomowanych firm jak choćby Montblanc, których wartość sięga kilku tysięcy euro.

Sklep niepozornych rozmiarów podzielony jest na kilka sektorów. Oprócz biżuterii dostępne są tu wyroby skórzane najlepszych włoskich marek, torebki, portfele czy nesesery, kosmetyki renomowanych firm, takich jak szwajcarska La Prairie, czy sprzęt hi-tech oraz duże lodówki, zmywarki i płyty indukcyjne.

Na piętrze znajdują się towary, które przyciągają największą uwagę klientów. Ubrania znanych projektantów dla mężczyzn i kobiet, a także obuwie i luksusowe akcesoria. Szał zakupów wybucha zawsze w okresie sezonowych wyprzedaży. Pokolenia rzymian biją się o wejście do środka – od dziadków, emerytowanych żandarmów czy byłych pracowników bazyliki po kilkunastoletnie wnuki, które chcą wyszperać coś dla siebie. Sławny sklep bezcłowy w Watykanie jest mekką dla tych, którzy uwielbiają świetne ciuchy, ale w normalnych warunkach wydają im się one zbyt kosztowne. Cena towarów na wyprzedaży jest jeszcze niższa ze względu na brak opodatkowania. (...)

Do niedawna sektorem, który najbardziej przyciągał, był dział papierosów i cygar. To właśnie przede wszystkim dzięki tym towarom obroty w ekskluzywnym sklepie sięgały nawet 10 mln euro rocznie, mimo że osób posiadających kartę wstępu do niego jest zaledwie 3,6 tys. Co prawda, obowiązywał limit – pięć dużych paczek na osobę miesięcznie – ale nadużyć przez całe lata nie brakowało, a sprzedawcy często przymykali na nie oko. A prałaci i biskupi chętni do zakupu słynnych kubańskich cygar Cohiba czy nawet tylko Marlboro, za to w doskonałej cenie, przyjeżdżali do sklepu na stacji kolejowej z całych Włoch. (...)

Przyjazd samochodem to idealna okazja, aby zaopatrzyć się w watykańską benzynę. To również jeden z oślawionych towarów, o które walczy każdy, kto może się dostać za Spiżową Bramę. Ale selekcja tu

Legendą owiana jest watykańska apteka. Tutaj można dostać leki sprowadzane na zamówienie, czasem z najdalszych zakątków świata.

dwie małe furgonetki. To one dowożą do papieskiej kuchni wszystko, czego potrzeba zarówno Benedyktowi XVI, jak i Franciszkowi. (...)

Jak już powiedziałam, klienci sklepu muszą posiadać specjalną imienną kartę ze zdjęciem, którą należy okazać przy kasie. A w kasie trzeba oczywiście za wybrane produkty zapłacić. Można to uczynić gotówką. W Watykanie, mimo że państwo nie jest członkiem UE, obowiązującą walutą jest euro. Oryginalne watykańskie zostało wdrożone do obiegu w 2002 r., ale tylko w formie monety 50-centowej. Wszystkie awersy mają napis *Città del Vaticano* i 12 gwiazdek. Inne monety euro pochodzące z Watykanu to wyłącznie sztuki dla kolekcjonerów. Sklep spożywczo-przemysłowy Annona jest jednym z niewielu miejsc, gdzie watykańskie 50-centówki przy wydawanej reszcie można otrzymać właściwie zawsze.

W tej chwili w obrocie jest już piąta seria watykańskiej waluty. (...)

Oczywiście dopuszczalna jest w sklepie również płatność kartą kredytową lub debetową. Istnieje specjalna karta watykańska – biała z żółtym paskiem biegnącym przez środek. Funkcjonuje wyłącznie na terenie państwa watykańskiego, a posiadają ją jedynie pracownicy, rezydenci i ci, którzy mogli założyć konta w banku watykańskim. Można nią wypłacać gotówkę jedynie w bankomacie na terenie Watykanu. (...)

Bankomatów na terenie całego państwa jest zaledwie kilka, a główny język obsługi to łacina! Kiedy zbliżamy się do wyświetlacza, dostrzeżemy lekko zarysowany w tle

(...) Efektowny sprzęt RTV znaleźć można w punkcie sprzedaży towarów luksusowych, watykańskim *duty free*. Bo i taki znajduje się za Spiżową Bramą. Niczym na lotniskach czy w rajach podatkowych. Sam budynek jest przepiękny. To dawna stacja kolejowa. Jeden z moich ukochanych zakątków. Sklep otwarty jest od 9.00 do 13.15, a po południu tylko trzy dni w tygodniu przez trzy godziny.

Dla mnie ten punkt stał się obowiązkowym przystankiem. (...) Elektroniczne drzwi wejściowe nie zdradzają tego, co znajdziemy w środku. (...) Gdy tylko przekroczymy próg,



Wyjątkowa numerowana seria wina wyprodukowanego z okazji 500-lecia Gwardii Szwajcarskiej.



Watykański bankomat jako jedyny na świecie wyświetla komunikaty po łacinie.

Na pewno jest żdźbło prawdy w stwierdzeniu, że Państwo Watykańskie to faktycznie mały raj na ziemi. Takie trochę „terytorium *offshore*”. Brak podatków, konkurencyjne ceny, dostęp tylko dla wybranych. Legendą owiana jest także watykańska apteka, słynna Farmacia Vaticana. Tutaj można dostać specjalistyczne leki sprowadzane specjalnie na zamówienie, czasem z najdalszych zakątków świata. (...) Jedno z pytań, które najczęściej słyszą papiescy gwardziści od osób podchodzących do Bramy Świętej

z zewnątrz, które mają ze sobą odpowiednią receptę. Teoretycznie liczba pracowników i mieszkańców Watykanu, którzy mają swobodny dostęp do apteki, jest taka sama jak osób niezwiązanych z Watykanem, które z receptą mają prawo wejść do środka i kupić lekarstwa. Potrzeba niemałej fantazji, żeby zrozumieć statystyki, według których dziennie w aptece zakupy robi 2-2,5 tys. osób! Muszę przypomnieć, że mieszkańców Watykanu jest ok. 400...

To jedna z najstępniejszych i najbardziej zatłoczonych aptek na świecie. Dysponuje 42 tys. produktów, przede wszystkim ze Szwajcarii, Francji, Niemiec i z Włoch, ale też z odległych krajów, jak choćby USA czy Australii. Poza produktami *stricto* medycznymi są tu także

jest jeszcze bardziej rygorystyczna niż w przypadku sklepu spożywczego. Tzw. legitymacja paliwowa (*tessera carburanti*) jest oczywiście imienna, ale poza tym wystawiona zostaje na konkretny samochód o danych numerach rejestracyjnych. Mają ją wszyscy pracownicy, członkowie ich rodzin, których nazwiska widnieją na specjalnej karcie rodzinnej, oraz oczywiście właściciele pojazdów o rejestracji watykańskiej zaczynającej się od liter CV (auta osób prywatnych, takich jak my) oraz SCV (samochody państwowe, które służą do transportu osobistości watykańskich, łącznie z papieżem panującym i papieżem emerytem).

Bankomatów na terenie całego państwa jest zaledwie kilka, a główny język obsługi to łacina.

Anny od strony Rzymu, brzmi: *Per la farmacia vaticana?* (Do apteki to którędy?) Oczywiście i tu klientów obowiązują pewne obostrzenia. Niezbędne jest okazanie recepty od lekarza już przy samej bramie i pozostawienie do przechowania dokumentu tożsamości w punkcie wydawania przepustek u Żandarmerii Watykańskiej. Długa kolejka przed wejściem do apteki ustawia się już przed otwarciem, czyli przed 8.30. Ostatni klienci grzecznie wypraszani są za drzwi punktualnie o godzinie 18.00. W przeciwnym razie staliby

wszelkiego rodzaju eliksiry, egzotyczne napary i niespotykane w innych aptekach maści. (...)

Pracownicy apteki watykańskiej rygorystycznie przestrzegają zasad moralnych i oczywiście nie sprzedają ani środków antykoncepcyjnych, ani (...) wczesnoporonnych czy jakichkolwiek innych lekarstw wspomagających współżycie.

Za Spizową Bramą funkcjonuje kompletnie odrębny i świetnie zsynchronizowany świat. Dostosowany do potrzeb garstki wybranych. Przede wszystkim duchownych – żyjących tu i pracujących kardynałów oraz biskupów. Ale komfort i codzienną wygodę zapewnia się tu także grupie świeckich. Pośród nich największą opieką otaczani są mieszkańcy, ale pracownicy także nie mogą narzekać. Im również przysługuje prawo do korzystania z luksusowych zakupów i usług nieopodatkowanych VAT i comiesięczne wynagrodzenie z zerowym podatkiem dochodowym. A to jest nie bez znaczenia...

Szał zakupów wybucha zawsze w okresie sezonowych wyprzedaży. Pokolenia rzymian biją się o wejście do środka.

Obecnie kontrola jest bardzo rygorystyczna, bo system jest elektroniczny i zsynchronizowany. Nikt inny w naszym imieniu nie może za tankować ani naszego samochodu, ani tym bardziej innego auta. (...)

Dwa dystrybutory znajdują się na terenie samego Watykanu, najstarszy po stronie Domu Świętej Marty, tuż przy Palazzo San Carlo, dwa pozostałe za murami, to stacje eksteritorialne, na placu San Callisto na rzymskim Zatybrzu i przy bazylice Świętego Jana na Lateranie.

Wyjątkowym przywilejem są też bony na benzynę. (...)

tu jeszcze dłużej. Włosi na wszystkie sposoby próbują dostać się do apteki za Spizową Bramą, bo jako jedyna zajmuje się sprzedażą produktów, które nie otrzymały jeszcze aprobaty włoskiego Ministerstwa Zdrowia. Mogą więc znaleźć tu te leki, które są w obiegu międzynarodowym, sprowadzane często specjalnie na zamówienie konkretnych osób i w konkretnych potrzebach zdrowotnych. Apteka od lat niezmiennie przeżywa prawdziwe oblężenie. Dostęp do niej mają rezydenci Watykanu, pracownicy Stolicy Apostolskiej i ich krewni, ale także wszystkie te osoby

Fragmenty książki
Magdaleny Wolińskiej-Riedi
Kobieta w Watykanie,
Znak, Kraków 2019



Gdy zapragniesz hejtować

Tama dla
nienawistnych
zachowań w sieci

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Choć nie jest to podstawą waszej działalności, zajęliście się hamowaniem za pomocą narzędzi sztucznej inteligencji mowy nienawiści. To była wasza inicjatywa czy realizacja jakiegoś zamówienia?

– Dostrzeżliśmy potrzebę moderacji takich treści w związku z rozmowami z jednym z głównych portali internetowych.

Dowiemy się, o który portal chodzi?

– Moderacja jest delikatną sprawą z prawnego punktu widzenia. Tutaj odpowiedzialność ponosi wydawca, a wiążące się z tym zawołności sprawiają, że nie wymienię konkretnych klientów. W każdym

PIOTR SURMA – doktor nauk humanistycznych, absolwent francuskiej uczelni ENST de Bretagne. Współtworzy innowacyjne przedsięwzięcia w obszarze IT i sztucznej inteligencji. Od roku 2007 zarządza innowacyjnymi przedsięwzięciami z domeny IT. Od 2014 r. współtworzy firmę Applica.AI, specjalizującą się w robotyzacji procesów biznesowych opartych na tekstach metodami sztucznej inteligencji.

razie stwierdziliśmy, że ludzie zajmujący się moderowaniem treści po prostu nie dają rady. Pojedynczy moderator musi podjąć szybką decyzję i ma ułamek sekundy, by napływające treści, różne komentarze na bieżąco przejrzeć, zrozumieć i ewentualnie zablokować. Z czysto ludzkich względów szybkie przeczytanie setek tysięcy komentarzy i właściwe zareagowanie na treści homofobiczne, antysemickie, wyrażające nienawiść na tle politycznym, narodowym, rasowym, religijnym lub antyagizmy jest praktycznie niemożliwe.

W cyberprzestrzeni przelewa się dużo obrzydliwych treści, co sprawia, że praca nad ich moderowaniem jest trudna, monotonna dla człowieka, a także obciążająca emocjonalnie. Postanowiliśmy więc stworzyć oprogramowanie, które by go wyręczało. Niebawem programem zainteresowały się inne portale, a w międzyczasie byliśmy też uczestnikami debaty poświęconej mowie nienawiści, organizowanej przez rzecznika praw obywatelskich. Reprezentowaliśmy w niej stronę technologiczną walki z hejtem w sieci. Jednak zdaje sobie sprawę, że dysponujemy tylko pewnym narzędziem, podczas gdy *gros* środków do walki z tym zjawiskiem, jakimi dysponuje społeczeństwo, jest natury prawnej i edukacyjnej.



DR PIOTR SURMA

– dyrektor zarządzający firmy Applica.AI

Co może zrobić wasz produkt?

– Applica Moderacja nie jest rozwiązaniem służącym wyłącznie do eliminowania wulgaryzmów w sieci. Potrafi ono znacznie więcej – jest bardzo skuteczne w walce z wątpliwą kreatywnością niektórych internautów i w namierzaniu sposobów, do jakich użytkownicy sieci uciekają się, by obrażać innych, sączyć mowę nienawiści. Arsenał tych form jest niestłachanie bogaty: od prostych, jak stosowanie pisowni anglojęzycznej, po specyficzne użycie znaków przestankowych albo czcionek z innych alfabetów, np. rosyjskiego. Czasem

są to neologizmy przypominające polskie wulgaryzmy. Zdarza się, że takich obraźliwych wpisów nie tylko sztuczna inteligencja, ale nawet inteligentny człowiek nie potrafi w pełni rozszyfrować.

Rozumiem trudność, jaką napotkali programiści.

– Internauci traktują obrażanie przeciwników niemal jako zabawę, grę wojenną, i próbują walczyć ze zautomatyzowaną moderacją w taki sposób, aby ich wpis był zrozumiały dla człowieka, ale nieuchwytny dla sztucznej inteligencji.

Czyli sztuczny moderator może się okazać bezsilny?

– Czasami tak, lecz może być również zbyt bezwzględny w interpretacji zamieszczanych treści. W przypadku

– Duża część komentarzy publikowanych w polskim internecie została poddana takiej weryfikacji. Trudno powiedzieć dokładnie, jak duża, być może nawet kilkadziesiąt procent wpisów przechodzi przez stworzony przez nas silnik. Dotyczy to platform, które są bardzo wrażliwe na mowę nienawiści. Jeśli chodzi o największe portale internetowe, to właściwie wszystkie, niezależnie od orientacji politycznej, dbają o jakość dyskusji. Dodatkowym efektem zastosowania moderacji opartej na sztucznej inteligencji jest też to, że nawet jeśli dosyć wyrafinowany obraźliwy wpis trafi do publikacji, sami użytkownicy proszą o jego usunięcie. Tego wcześniej nie było. Ale są niestety media niezainteresowane

Ludzie zajmujący się moderowaniem treści nie dają rady. Szybkie przeczytanie tysięcy komentarzy i zareagowanie na mowę nienawiści jest praktycznie niemożliwe.

oceny obraźliwych wpisów maszyna musi nie tylko wyszukiwać słowa kluczowe, które mogą być użyte jako obraźliwe, ale także prawidłowo odczytywać kontekst ich zastosowania. Jeśli np. wobec konkretnej osoby pojawi się słowo asfalt, szmata itd., możemy być pewni, że jest to naganne. W przypadkach wątpliwych zawsze można zapytać żywego moderatora, dlaczego podjął taką, a nie inną decyzję. Maszyna, która go zastępuje, już nie zapytasz.

Problemem walki z mową nienawiści jest skala zjawiska.

– Właśnie. Tutaj opieranie się na pracy jednego, dwóch czy dziesięciu moderatorów nie daje żadnej gwarancji, że postawi się tamę toksycznym wpisom. Wysyp mowy nienawiści jest tak ogromny i obejmuje tyle dziedzin, że niektórzy nadawcy wywieszają białą flagę. Nieprzypadkowo jeden z ogólnopolskich wydawców internetowych w pewnym momencie zrezygnował z zamieszczania komentarzy pod wypowiedziami autorów. Była to jedyna racjonalna decyzja, tym bardziej że nadawca nie dysponował odpowiednim narzędziem do przeczesywania wpisów internautów.

A jak jest obecnie? Widać jakiś efekt zastosowania sztucznej moderacji?

moderacją, a dla części czytelników im bardziej obraźliwa czy obrzydliwa jest dyskusja na forum, tym większa jej atrakcyjność.

Przesada w stosowaniu gilotyny na wyziskach może się okazać bolesna i krzywdząca dla czytelników, którym zabroni się używania takich słów jak wspomniane asfalt czy szmata w innym, nieobraźliwym kontekście.

– Ten problem mamy opanowany. Pracujemy na poziomie semantyki, a nie słów kluczowych czy wzorców zachowań językowych. Nasza sztuczna inteligencja „rozumie” metaforyczne znaczenie wpisu. To umożliwia precyzyjne eliminowanie mowy nienawiści bez omyłkowego wycinania elementów nieskrępowanej wypowiedzi.

Maszyna przecież nie rozumie kontekstu debaty, więc muszą ją zaprogramować specjaliści mający duże kompetencje w naukach społecznych.

– Dlatego sporą część naszego zespołu stanowią lingwiści komputerowi. Są to osoby o dużej wrażliwości językowej. Spośród 45-osobowego personelu wiele ma doktoraty z lingwistyki komputerowej albo wykorzystuje prowadzone przy okazji badania w pracach naukowych.

Czy gdyby przez waszą maszynę przepuścić teksty współczesnych raperów, w których roi się od wulgaryzmów i gróźb karalnych, to taki moderator odrzuciłby je w całości?

– Niewykluczone, że tak by się stało. Ale na tym przykładzie widać różnicę między wolnością twórczości artystycznej a regulami dyskursu publicznego na forach internetowych. Raperom wolno więcej.

Czy sztuczna inteligencja może pomóc w odnajdywaniu nadawców niepożądanych treści?

– My nie mamy do czynienia z informacjami pozwalającymi zidentyfikować konkretnego autora toksycznej wypowiedzi. By to zrobić, trzeba mieć dostęp do danych, które posiadają wyłącznie wydawcy internetowi. Mowę nienawiści do organów ścigania może jednak zgłosić każdy, zarówno stowarzyszenie walczące z nią programowo, jak i osoba prywatna.

A czy osoba publiczna regularnie szkalowana i obrażana na forach dyskusyjnych może sobie wykupić maszynę do monitorowania treści?

– Tylko wydawca zarządzający treściami może skorzystać z naszego rozwiązania. Ktoś inny, gdy poczuje się dotknięty, samodzielnie nie usunie obraźliwego wpisu, nie ma możliwości „automatycznego” zarządzania swoim wizerunkiem. I to chyba dobrze, bo gdyby wyposażyć go

W najnowszym numerze tygodnika „NIE” przedstawia kandydata na Prezydenta Rzeczypospolitej, który zapowiada program „5000 plus”.



► w narzędzie do wykrywania niepożądanych treści, ukazywałyby się tylko pochlebne, pozytywne opinie.

Burzliwy rozwój sztucznej inteligencji, wykorzystywanej w wielu dziedzinach, jest postrzegany jako zagrożenie dla rynku pracy. Teraz nawet brygady internetowych moderatorów w mediach społecznościowych i elektronicznych mogą się poczuć niepewnie.

– Automatyzacja bywa postrzegana jako groźniejsza od mowy nienawiści, bo zastępuje człowieka maszyną, zwłaszcza w tych rolach, w których góruje nad człowiekiem np. szybkością. Jest to jednak błędne podejście, najczęściej bowiem

zycznych. Czy sztuczna inteligencja łatwo tłumaczy obce teksty?

– Nie tłumaczymy tekstów, tylko pracujemy nad nimi w oryginalnej wersji językowej. Zadanie polegające na „rozumieniu” umowy kredytowej lub polisy ubezpieczeniowej od razu jest realizowane w danym języku. Nasze rozwiązania są wielojęzyczne. Są uczone nowych języków poprzez zautomatyzowaną analizę ogromnych zbiorów danych publicznych (tzw. uczenie nienadzorowane). Maszyna następnie analizuje umowę czy wniosek skierowany do banku, instytucji ubezpieczeniowej lub korporacji. Właśnie utworzyliśmy biuro firmy w Nowym Jorku.

Najlepszy jest tandem człowiek plus maszyna, w którym maszyna pracuje precyzyjnie i szybko, a człowiek czuwa nad jej działaniem.

człowiek ma wtedy możliwości awansu na stanowisko wydającego polecenia „robotom”. Ludzie nie będą tracić pracy, będą przesuwani z miejsca, gdzie wykonuje się powtarzalne czynności, do pracy bardziej kreatywnej, angażującej umysłowo.

Applica zajmuje się głównie automatyzacją pracy wymagającej rozumienia dokumentów, i to nie tylko polskich, ale także obcoję-

Na marginesie wspomnę, że naszymi inwestorami są Cogito Capital Partners, fundusz inwestycyjny z biurami w Warszawie i Nowym Jorku właśnie, oraz Barclays, jeden z największych banków inwestycyjnych. Applica korzysta również z dotacji unijnych za pośrednictwem NCBiR i dzięki temu zbudowaliśmy bardzo innowacyjny produkt, który umożliwia nam konkurencję na najbardziej zaawansowanych

technologicznych rynkach, w tym w USA. Nasz zespół ma poza tym aspiracje naukowe, przygotowujemy publikacje na temat sztucznej inteligencji, mamy na koncie wystąpienia na prestiżowych konferencjach naukowych na temat metod rozumienia tekstu. Ostatnio prezentowaliśmy uzyskiwane przez nas wyniki na konferencji ACL, gdzie ponad połowa wystąpień przypadła naukowcom z Chin, którzy obok Amerykanów są najbardziej zaawansowani w tej dziedzinie.

Czy tworzycie też oprogramowania w języku chińskim?

– Nie pracujemy z językiem chińskim, nie dlatego, że jest dla nas niedostępny, lecz z powodu bardzo wysokiego zaawansowania Chin w dziedzinie sztucznej inteligencji. Raczej staramy się z nimi konkurować na innych rynkach.

Przeciętny użytkownik internetu bardzo często korzysta z wirtualnych tłumaczy, które jednak, jeśli chodzi o poprawność językową, pozostawiają wiele do życzenia.

– Nie zajmujemy się tłumaczeniem maszynowym, ale wiadomo, że jakość tłumaczenia zależy od wielkości zbioru danych wykorzystywanych do uczenia. Im więcej danych i użytkowników, tym doskonalsze tłumaczenie. Na przykład maszynowe tłumaczenie między hiszpańskim a angielskim jest na pewno lepsze niż między łotewskim a węgierskim. Nasze modele sztucznej inteligencji pracują bezpośrednio z danym językiem, a nie przekładają z jednego na drugi. Nie zajmujemy się również systemami dialogowymi, tzw. chatbotami. To także bardzo żywotowo rozwijający się obszar wykorzystywania sztucznej inteligencji.

Na niektórych platformach, gdzie też weryfikuje się czy moderuje wpisy, np. w Wikipedii, panuje przekonanie, że żadna maszyna nie zastąpi w tej roli człowieka.

– Zgoda, jeśli założymy, że ten człowiek ma wystarczająco dużo czasu i jest znakomicie wynagradzany. W praktyce można powiedzieć, że najlepszy, nie do pokonania, jest tandem człowiek plus maszyna, w którym maszyna pracuje precyzyjnie i ogromnie szybko, a człowiek czuwa nad jej działaniem.

Bronisław Tumitowicz



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Vlad is not dead

Leży, udaje truchło, a wokół niego roi się od antropologów, kulturoznawców, historyków i krytyków filmowych. „Dokądkolwiek pójdziemy, będzie zawsze szedł za nami”, napisał o wampirze Aleksander Dumas. Miał na myśli uniwersalny i wyjątkowo żywotny przesąd, który od stuleci przemawia do masowej wyobraźni jako coś w rodzaju operowego mitu, przegiętego literackiego toposu. Dlaczego to właśnie „Dracula” Brama Stokera jest jednym z najchętniej adaptowanych horrorów wszech czasów? Od kultowego „Nosferatu. Symfonia grozy” – jednego z najważniejszych filmów niemieckiego ekspresjonizmu w reżyserii Friedricha Wilhelma Murnaua, przez „Draculę” Francisa Forda Coppoli – najbardziej stylowy horror lat 90., aż po miniserial „Dracula”, który w ostatnich dniach wzbudza kontrowersje wśród odbiorców platformy Netflix.

O tym kulturowym fenomenie powstały niezliczone naukowe opracowania. Na polskim gruncie jednym z najważniejszych jest oczywiście „Wampir. Biografia symboliczna” Marii Janion. Autorka bada nie tylko elementy folkloru i XIX-wiecznej kultury masowej, ale również XX-wieczny pop i kulturę wysoką, w której Nosferatu ma istotne miejsce. Nie zawsze bowiem przejawia się w formie „kiczowatej straszości”, jaką znamy z telewizyjnych produkcji klasy C, gdzie obok „Zabójczych ryjówek” i tureckich „Gwiezdných wojen” zawsze znajdzie się jakiś wampir.

Netflixowy „Dracula” jest postmodernistycznym tygłem, w którym znalazło się miejsce i dla fanów kampanowych figli, uprawianych z pozycji dystansu, i dla wielbicieli gore (pełna śluzu scena, w której z brzucha wilka wyłania się malowniczy płód wampira), i dla normalsów, pragnących przy wieczornej „zamule” odpocząć po nużącym dniu w pracy. Reżyserzy poukrywali w ramach konwencji mnóstwo żartów, jednym z nich jest zresztą sam casting – tytułowego Draculę gra tu Claes Bang. Jego poprzednią rolę, która przebiła się do masowej wyobraźni,

była kapitalna kreacja szwedzkiego dyrektora muzeum sztuki współczesnej w dramacie satyrycznym „The Square” (Złota Palma w Cannes). Nieco zagubiony w gombrowiczowskim świecie muzealników i kuratorów Christian teraz staje się wygłodniałym badaczem nowego świata jako Dracula.

Tym razem ukryte zwykle w gotycyzmach wątki queerowe zostały ujawnione i ograne. Dracula nazywa filmowego Jonathana swoją oblubienicą. A w scenach na statku (w powieści Stokera to najmniej udany fragment) rozkochuje w sobie nie tylko piękną arystokratkę, ale także jej młodego męża. W awanturkowej, odkrywczej książce „Gotycyzm – modernistyczny sobowtór odmieńca” Piotr Sobolczyk pisze, że gotycyzm jest przesiąknięty seksualnością, która w połączeniu z agresją i terrorem daje obraz praktyk sadomasochistycznych („Zawieszenie – a także krzyż jako utensylium – przynależą wszak do praktyk S/M”). Natomiast queerowy potencjał kina

czy literatury grozy polega na pęknięciu normatywnej narracji. Tam, gdzie jest miejsce dla innego, istnieje dla queeru większa możliwość utożsamie-

nia/identyfikacji. I jeszcze jedno: kino grozy, więc również nasz nieśmiertelny Dracula, to triumf zasady przyjemności nad zasadą rzeczywistości.

Może czas dowartościować konwencję gotycką, która zawsze uchodziła za brzydszą siostrę konwencji realistycznej? Ta ostatnia jest przecież co najmniej tak samo umowna, a o wiele bardziej mieszczańska, silniej znormalizowana. Poza tym ostatecznie wszyscy w przewrotny sposób sympatyzujemy z tymi, którzy są zbyt niecierpliwi, żeby czekać na zmartwychwstanie. W końcu to oni sprawiają, że śmierć staje się czymś progresywnym, a upiory oscylujące między życiem a śmiercią wydają się nam samotne i zagubione. Niektóre walczą z własną zachłannością tak samo jak my, kiedy stoimy wieczorem u wrót bajecznej lodówki.

Kino grozy to triumf zasady przyjemności nad zasadą rzeczywistości.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

BĄDŹMY W KONTAKCIE



NEWSLETTER

Zapisałeś się już? Dołącz do nas!

Otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGŁADU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

www.tygodnikprzeglad.pl





Wirus z Wuhanu

Niemal dwie dekady po epidemii wywołanej przez koronawirus SARS, powodujący zespół ostrej niewydolności oddechowej, w chińskim mieście Wuhan pojawiło się nowe zagrożenie. Choroba przypomina zapalenie płuc, jej objawami są: gorączka, problemy z oddychaniem, zmiany w płucach. Jej szybkiemu rozprzestrzenianiu się sprzyja okres





podróży związanych z chińskim Nowym Rokiem. Na lotniskach wprowadzono restrykcyjną kontrolę pasażerów, monitorując ich temperaturę, oraz dezynfekcję pokładów samolotów przylatujących z zagrożonego obszaru. Maski ochronne, mające zapobiegać zakażeniu drogą oddechową, znów stały się częstym widokiem.





Rozkwit i upadek Viagry

Jeśli chcemy mieć najlepiej i najdłużej sprzedający się lek, trzeba się postarać, żeby niczego nie leczył

Thomas Hager

Giles Brindley, uznany badacz i ekspert od fizjologii oka, ale także kompozytor i wynalazca instrumentu, który nazwał fagotem logicznym, dobrze pasował do definicji lekko szurniętego naukowca. Jakby tego było mało, fascynował go także problem erekcji, dzięki czemu zapisał się, aczkolwiek dość osobliwie, w przypisach do historii nauki. Stało się to w 1983 r. na konferencji urologicznej w Las Vegas, kiedy to wkroczył na podwyższenie dla mówców w luźnym błękitnym dresie, powiódł okiem po sali, na której siedziało ok. 80 osób płci obojga, i popisał się swoim najnowszym odkryciem.

Najpierw nienagannym brytyjskim akcentem poinformował słuchaczy, iż będzie mówił o zaburzeniach erekcji – jednym z głównych problemów diskutowanych w urologii w latach 80. Nikt wtedy nie znał jeszcze dokładnie mechanizmu erekcji ani nie wiedział, co robić, gdy nie następowała. Nikt nie miał pojęcia, co z czym wówczas w organizmie współpracuje ani jakie związki chemiczne biorą w tym udział.

Wiadomo było tylko, że bardzo wielu mężczyzn ma problemy z erekcją i że nasilają się one z wiekiem.

Jedyne dostępne wówczas rozwiązania miały charakter mechaniczny: różne pompki, baloniki, plastikowe wkładki i metalowe implanty. Całe to ustrojstwo należało najpierw chirurgicznie włożyć, gdzie trzeba, a potem

pompować, nastawiać, prostować do pożądanej pozycji i w sztuczny sposób powodować erekcję. Badacze robili, co mogli, by znaleźć jakieś rozwiązanie, które byłoby wygodniejsze dla niego i dla niej, ale większość wysiłków spełzała na niczym.

Dzisiaj te problemy mogą nam się wydawać zabawne, ale milionom mężczyzn cierpiących na mniejsze lub większe zaburzenia erekcji wcale nie było do śmiechu i była to dla nich poważna dolegliwość.

I wówczas na scenę wkroczył, dostownie i w przenośni, Giles Brindley, renesansowy umysł, fagocista logiczny i jeden z ostatnich przedstawicieli medycyny kultywujących prawną i szacowną tradycję

Od samego początku wiadomo było, że nowy farmaceutyk podbije rynek.

eksperymentowania na sobie samym. (...) Brindley, wówczas mężczyzna 50-letni, eksperymentował na swoim członku, mówiąc konkretnie: wstrzykiwał sobie w prącie różne specyfiki, by sprowokować erekcję nie mechanicznie, lecz chemicznie. I – jak poinformował wówczas swoich słuchaczy w Las Vegas – poczynił już pewne postępy, na dowód czego wyświetlił na ekranie rzutnika kilkadziesiąt dokumentujących je zdjęć. Takie rutynowe pokazywanie świata fotografii własnego członka wydawało się cokolwiek zuchwałe, nawet na konferencji urologicznej.

Ale Brindleyowi było tego mało i uznał, że musi dobitniej unaocznić efekt swoich starań. Pod koniec

prezentacji poinformował słuchaczy, że tuż przed zejściem do sali konferencyjnej wstrzyknął sobie w pokój hotelowy jeszcze inny specyfik, po czym obszedł pulpit, stanął przed słuchaczami i podciągnął lekko spodnie, żeby byli bardziej obcisłe i żeby można się było przekonać o prawdziwości jego słów.

Na sali zapanowała konsternacja.

– Byłem w szoku, pewnie nie tylko ja – wspominał później jeden z uczestników konferencji. – Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Prof. Brindley natomiast spojrzał w dół i niezadowolony pokręcił głową.

– To chyba nie jest dostatecznie wiadczone – oświadczył.

Po czym zsunął spodnie i bokserki.

Wszystkich zamurowało.

– Ludzie zamarli – wspominał inny uczestnik konferencji.

Brindley zrobił dramatyczną pauzę i powiedział:

– Chciałbym, aby teraz ktoś z państwa miał sposobność osobiście zbadać wielkość nabrzmienia.

Szurając nogami, z bokserkami na wysokości kolan, zszedł z podium i ruszył ku pierwszemu rzędowi krzeseł. Siedzące tam kobiety wrzasnęły przerażone, odwracając głowy.

Krzyki go chyba otrzeźwiły, ponieważ uświadomiwszy sobie, jaki skutek wywarła jego prezentacja, szybko podciągnął spodnie, wrócił na podium i dokończył wykład.

Pomysł Brindleya, by wstrzykiwać powodujące erekcję specyfiki bezpośrednio do członka, nigdy się nie przyjął, a wymyślne wkładki z plastiku i metalu zachwalane przez

innych badaczy to dzisiaj eksponaty w muzeum osobliwości medycznych. Wszystkie tego rodzaju rozwiązania zastąpiła nowa generacja leków, której przewodzi słynna „niebieska tabletką”.

Stało się to – jak często bywa w historii leków – przypadkiem.

Sandwich, miasteczko na południowym wybrzeżu Anglii, znane jest turystom głównie z dobrze zachowanej średniowiecznej sali cechowej i kilku przytulnych kawiarenek. Nie wszyscy wiedzą, że mieści się tu także centrum badawcze firmy Pfizer, jednego z największych światowych koncernów farmaceutycznych. To tu w 1985 roku badacze próbowali znaleźć nowy sposób leczenia duszniczy bolesnej objawiającej się potwornym bólem w klatce piersiowej lub lewym ramieniu spowodowanym niedokrwieniem serca. Zespół badaczy z Sandwich chciał znaleźć lek rozszerzający naczynia krwionośne, co ułatwiłoby przepływ krwi i eliminowało ból.

Nie było to takie proste, między innymi dlatego, że naczynia krwionośne reagują na szereg różnych związków chemicznych występujących w naszym organizmie. (...)

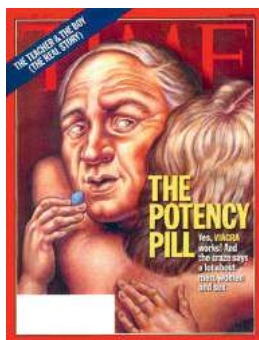
W 1988 r., przyjrzywszy się tysiącom potencjalnych chemicznych kandydatów, znaleźli wreszcie odpowiednio wyglądający związek. Substancja oznaczona kodem UK-94280 blokująca enzym, który rozkładał inny związek, który był powiązany z rozszerzaniem naczyń krwionośnych – wszystko to bardzo skomplikowane – wydawała się na tyle obiecująca, że postanowiono zbadać jej działanie na pacjentach z chorobą wieńcową.

Tak jak w wypadku większości leków w postaci eksperymentalnej „szafa nie było”. (...) Był jeszcze skutek uboczny powiązany z przepływem krwi, dotyczący w badanej grupie wyłącznie mężczyzn: środek UK-94280 powodował erekcję. Po kilku dniach po przyjęciu leku pacjenci informowali, że stan ich serca się nie poprawił, poprawiło się natomiast ich życie seksualne. „Nikt u nas nie zastanawiał się nad jego skutkiem ubocznym – wspominał później historię leku jeden z badaczy pracujących w laboratoriach Pfizer. – A poza tym myśleliśmy sobie, że nawet jeśli pomaga w erekcji, co komu przyjdzie po tabletkę, którą trzeba

połknąć w środę, żeby mieć erekcję w sobotę?”.

I wreszcie ktoś w Sandwich uświadomił sobie, że to uśmiech losu łomocze do drzwi. Szefowie wielkich koncernów farmaceutycznych takich jak Pfizer cały czas rozglądali się za kolejnym przełomowym lekiem i najważniejsze było, żeby wypuścić na rynek właściwy specyfik we właściwym czasie. (...)

Jedną z dolegliwości późnego wieku średniego jest także zaburzenie erekcji. Na występowanie przynajmniej co jakiś czas tego problemu uskarżało się wówczas 60% mężczyzn po sześćdziesiątce, a ich odsetek rósł z wiekiem. To oznaczało potężny potencjalny rynek zbytu. I wtedy pojawił się specyfik UK-94280 ze swoim niespodziewanym skutkiem ubocznym. Pfizer postanowił kontynuować jego



Tygodnik „Time” umieścił Viagrę na okładce numeru z 4 maja 1998 r.

badania, ale od tej pory nikogo już nie interesowała dusznica.

Jak bada się skuteczność leku o takim przeznaczeniu? Ano na przykład tak: trzeba zebrać grupę mężczyzn cierpiących na zaburzenia erekcji i każdemu zamontować wokół członka mierniki pozwalające określić jego obwód i twardość we wzwodzie. Potem trzeba im podać różne dawki specyfiku UK-94280 i puszczać na wideo filmy pornograficzne. Wyniki okazały się – mówiąc językiem fachowym – „obiecujące”. (...)

Pfizer nadał specyfikowi naukową nazwę sildenafil i przystąpił do testów klinicznych. Ich doskonałe rezultaty były zaskoczeniem dla firmy. (...)

Gdy Pfizer przygotowywał się do tego, by wypuścić na rynek swój

sildenafil, amerykańskie Narodowe Instytuty Zdrowia (National Institutes of Health) sprezentowały firmie coś, o czym marzy każdy koncern farmaceutyczny. Na zorganizowanej w 1992 r. konferencji zebrani na niej eksperci postanowili poszerzyć definicję medyczną zaburzenia erekcji (wsparciem dla tej decyzji okazały się opublikowane dwa lata później wyniki pewnego znaczącego badania). Odtąd takie zaburzenie nie miało oznaczać wyłącznie całkowitego braku wzwodu (czyli tego, co dawniej rozumiano pod pojęciem impotencji), lecz również każdą niemożność osiągnięcia erekcji odpowiedniej dla „zadowolającej sprawności seksualnej”. Określenie, czym dokładnie jest taka „zadowolająca sprawność”, pozostawiono lekarzom i ich pacjentom. Ta znacznie szersza i bardziej subiektywna definicja tego, co można było uznać za możliwe do zdiagnozowania schorzenie, sprawiła, że wszechświat mężczyzn cierpiących na zaburzenia erekcji nagle ogromnie się rozszerzył. Rynek amerykański obejmujący przed rokiem 1992 ok. 10 mln impotentów w ciągu jednego dnia potroił się i obejmował odtąd jedną czwartą wszystkich mężczyzn powyżej 65. roku życia.

(...) Teraz potrzebna była jeszcze jakaś chwytliwa nazwa, żeby się dobrze sprzedawał. Zaczęto grzebać w kartotekach firmy, przeglądając listy wymyślonych zawczasu nośnych nazw czekających na właściwy lek. Pośród nich była „Viagra”. Był to strzał w dziesiątkę, ponieważ łączył odwołanie do męskiej siły (wigor) i niepowstrzymanej masy płynącej wody, takiej jak Niagara.

Pfizer opatentował Viagrę w 1996 r., a dwa lata później Agencja Żywności i Leków dopuściła ją do obrotu. Od samego początku wiadomo było, że nowy farmaceutyk podbije rynek, i nawet dział marketingu Pfizer nie musiał początkowo nic w tym kierunku robić. Tygodnik „Time” umieścił bowiem Viagrę na okładce numeru z 4 maja 1998 r. Widać na niej starszego mężczyznę (przypominającego trochę komika Rodneya Dangerfielda) przytulającego nagą blondynkę i zamierzającego połknąć niebieską tabletkę o charakterystycznym kształcie. Napis na okładce był dokładnie taki, jaki mogli sobie wymarzyć spece od reklamy ▶

► i marketingu: „Pigułka na potencję: Tak, VIAGRA działa! A moda na nią mówi nam bardzo wiele o mężczyznach, kobietach i seksie”. W artykule w środku numeru dziennikarze pisali zaś: „Czy można sobie wyobrazić produkt bardziej niż ta tabletką dopasowany do uwielbiającej proste rozwiązania, niepewnej swych seksualnych możliwości amerykańskiej psychiki?”. To właśnie nazywa się darmową reklamą.

Sprzedaż Viagry, napędzana entuzjastycznymi i utrzymanymi w sensacyjnym tonie doniesieniami prasowymi, rosła jak na drożdżach. Już w pierwszym dniu jej dostępności na rynku pewien urolog w Atlancie wypisał na nią 300 recept. Niektórzy lekarze przyspieszyli cały proces i nawet nie fatygowali pacjentów do swego gabinetu – przeprowadzali krótką diagnozę przez telefon (za jedyne 50 dol.) i wypisywali receptę. Większość firm ubezpieczeniowych zaczęła w polisach honorować wydatki na Viagrę. Dziennik „The New York Times” pisał o „wprowadzeniu na rynek nowego leku, które nie

miało sobie równych w całej historii Stanów Zjednoczonych”. Wartość akcji Pfizera podskoczyła o 60%.

I to nie był koniec. Po dwóch latach od wprowadzenia Viagry na rynek amerykański stała się ona dostępna w ponad stu innych krajach. Lekarze każdego dnia wypisywali na nią 30 tys. recept, na całym świecie sprzedano ponad 150 mln tabletek, a z Viagry Pfizer miał ok. 2 mld dol. przychodu rocznie. „Mała niebieska tabletką” towarzyszyła odtąd każdemu starszemu mężczyźnie umawiającemu się na wieczór z kobietą.

Inne firmy śledzące sukces Pfizer natychmiast włączyły się do gry. W 2003 r. na rynku pojawiły się dwa nowe specyfiki, Cialis i Levitra, o trochę innym składzie, ale podobnie ukierunkowane i działające, aczkolwiek różniące się skutkami ubocznymi i czasem działania. Na przykład Cialis pozostaje dłużej aktywny w organizmie, dzięki czemu mężczyźni zachowują sprawność seksualną co najmniej przez cały dzień, podczas gdy w wypadku Viagry są to mniej więcej cztery godziny.

Nie zmieniało to faktu, że palnę pierwszeństwa i tak dzierżyła Viagra, zmieniając zwyczaje seksualne ludzi starszych, stając się elementem milionów dowcipów – i stawiając nam przed oczami kilka istotnych kwestii. Pierwsza dotyczyła ubezpieczeń zdrowotnych. Gdy Viagra pojawiła się na rynku, programy ubezpieczeniowe pokrywały zazwyczaj koszty jej zakupu, co nie uszło uwagi kobiet, ponieważ większość takich samych programów nie pokrywała kosztów zakupu pigułki antykoncepcyjnej. Dlaczego zatem zdrowie seksualne mężczyzn miało być ważniejsze niż zdrowie kobiet? W 2012 r. administracja Baracka Obamy rozwiązała ten problem, nakazując większości pracodawców – na podstawie ustawy Affordable Care Act – uwzględnić możliwość zakupu pigułki antykoncepcyjnej w oferowanych pracownikom programach zdrowotnych. Równocześnie wiele programów ubezpieczeniowych (ale nie wszystkie) skreśliło taką możliwość w wypadku Viagry.



Kolejny problem: dlaczego nie ma Viagry dla kobiet, czegoś, co może wzmocnić także ich doznania seksualne? Producenci leków wydali już miliony dolarów, próbując stworzyć taki specyfik, ale na razie nie ma na rynku niczego, co byłoby odpowiednikiem „niebieskiej tabletki” dla kobiet. Problemem kobiet nie jest oczywiście zaburzenie erekcji, lecz zaburzenie reakcji seksualnej (*female sexual interest/arousal disorder* – FSIAD), gdzie przyczyna problemu nie kryje się w naczyniach krwionośnych, lecz w braku pożądania. Wiele kobiet cierpiących na to zaburzenie (do jednej piątej całej żeńskiej populacji) nie ma nigdy fantazji seksualnych ani nie pragnie seksu. (...)

W pierwszych latach XXI w. Viagra wciąż dominowała na rynku, a mężczyźni kupowali ją niezależnie od ceny, która wzrosła z siedmiu dolarów za tabletkę w pierwszym roku sprzedaży do 50 dol. obecnie. Była tak popularna i tak droga, że powstał rozbudowany czarny rynek kilkudziesięciu podziemnych aptek, gdzie można było ją kupić taniej i bez recepty. W jednym z badań samego Pfizera oszacowano, że ok. 80% stron w internecie oferujących Viagrę sprzedaje w rzeczywistości jej podróbki pochodzące z nielegalnych wytwórni. Tabletki te oprócz różnych ilości sildenafilu zawierały jako wypełniacz każdą możliwą substancję – od talku i detergentów po trutkę na szczury i farbę do asfaltu. W 2016 r. policja w Polsce zrobiła najazd na miejsce produkcji czarnorynkowej Viagry. Za fałszywą meblościanką kryło się wejście do ukrytych korytarzy i pomieszczeń, w których znajdował się sprzęt do produkcji i pakowania leków wart ponad milion dolarów i ok. 100 tys. fałszywych „niebieskich tabletek”. Wytwórnię zamknięto, ale jej miejsce szybko zajęły inne. Fałszywa Viagra to potężny biznes i potencjalni klienci powinni bardzo uważać.

Po dziesięciu latach szła na Viagrę zaczął powoli mijać. Wielu przyjmujących ją mężczyzn przekonało się, że oprócz skutków pozytywnych ma ona także niepożądane skutki uboczne – powoduje bóle głowy i od czasu do czasu priapizm (wielogodzinna niepożądana erekcja), a także inne drobne dolegliwości. Dostępne stały się także inne, konkurencyjne leki. Minęła również towarzysząca jej aura nowości,

a wielu mężczyzn uświadomiło sobie, że natychmiastowa erekcja nie jest rozwiązaniem wszystkich ich problemów seksualnych. Chemia w pigułce może i dodaje pewności siebie, ale nie zastąpi nigdy chemii w związku.

Jeszcze przed upływem 2010 r. połowa mężczyzn, którzy dostali Viagrę na receptę, nie wracała później po nowe recepty. W tym samym roku zaczęła się także stabilizować sprzedaż leków na zaburzenia erekcji. Najwyższa sprzedaż Viagry przypadła na rok 2012, gdy jej obroty przekroczyły 2 mld dol. Potem jednak zaczęły spadać. Miesiąc miodowy dobiegł końca. Mniej więcej w tym samym czasie

Najwyższa sprzedaż Viagry przypadła na rok 2012, gdy jej obroty przekroczyły 2 mld dol. Potem zaczęły spadać. Miesiąc miodowy dobiegł końca.

wygasała jej ochrona patentowa poza Stanami Zjednoczonymi (w samych Stanach nastąpi to w 2020 r.). Standardowy czas ochrony patentowej leku w Stanach Zjednoczonych to 20 lat, aczkolwiek producenci leków coraz lepiej sobie radzą z wyszukiwaniem kruczków prawnych pozwalających wydłużyć ten okres. Gdy jednak dobiegnie on końca, chroniony dotąd lek może być produkowany bez przeszkód przez inne firmy, pojawiają się jego wersje generyczne, rośnie konkurencja i cena leku spada. Dla firmy posiadającej patent na lek może to skutkować zmniejszeniem dochodów ze sprzedaży o miliardy dolarów.

Rozkwit i upadek Viagry uczy nas kilku rzeczy. Po pierwsze firmy farmaceutyczne, aby przetrwać, potrzebują przynoszących ogromne zyski specyfików takich jak Viagra. Wbrew pozorom tego rodzaju leki to rzadkość: w Stanach Zjednoczonych tylko drobna część substancji, które pomyślnie przeszły badania kliniczne, otrzymuje aprobatę Agencji Żywności i Leków i tylko jeden lek na trzy dopuszczone na rynek przynosi dochód pokrywający łączne koszty jego opracowania. Bo właśnie koszty odgrywają tu główną rolę. Od czasu odkrycia leku do jego wejścia na rynek mija obecnie od 10 do 20 lat, a droga jakiegoś specyfiku z laboratorium do apteki może kosztować firmę ponad pół miliarda dolarów, czyli dziesięć razy więcej niż w latach 70. (Istnieją jednak sprzeczne opinie dotyczące tego, jak firmy

farmaceutyczne obliczają swoje koszty i czy są one rzeczywiście tak wysokie, jak twierdzą. Ja podaję tutaj wartości uśrednione). Niezależnie jednak od metody liczenia nikt nie zaprzeczy, że znalezienie nowego leku to niewiarygodnie droga inwestycja. Dlatego firmy muszą skoncentrować wysiłki na kilku potencjalnych lekach, które zajądą rynek, pokrywając koszty opracowania innych, mniej popularnych medykamentów. Takim właśnie udanym lekiem była Viagra; takim samym jest inny popularny lek Pfizera, Celebrex (celekoksyb), przeciwko reumatoidalnemu zapaleniu stawów, także przygotowany z myślą o pacjentach

z pokolenia wyżu demograficznego. Firmy farmaceutyczne potrzebują leków tykanych przez miliony, żeby krzywa zysków cały czas pięła się w górę, a udziałowcy byli zadowoleni.

Druga nauka jest taka, że jeśli chcemy mieć najlepiej i najdłużej sprzedający się lek, trzeba się postarać, żeby niczego nie leczył. Ani jeden, ani drugi ze wspomnianych popularnych produktów Pfizera nie leczy stanów będących przyczyną określonych symptomów. Zaburzenie erekcji i choroba stawów – każde na swój sposób – to bolesne dolegliwości, ale żadna z nich nie zagraża życiu. Viagra i Celebrex leczą objawy, a nie samą chorobę.

Leki poprawiające jakość życia i łagodzące te lub inne dolegliwości można przepisywać bez końca – jeśli ktoś przestaje je zażywać, dolegliwości wracają. Tym samym takie leki cały czas zarabiają dla firmy pieniądze. (...) Nie znaczy to jednak, że wielkie koncerny nie prowadzą żadnych badań nad lekami ratującymi życie. Prowadzą, zwłaszcza jeśli chodzi o leki na choroby nowotworowe. Potrzebne są im jednak specyfiki poprawiające jakość życia, które można sprzedawać bez końca, jak Viagrę, aby móc finansować takie badania. (...)

Fragmety książki
Thomasa Hagera
*Dziesięć leków, które
uksztaltowały medycynę,*
przekład Aleksander Gomola,
Rebis, Poznań 2019



Zmiana myślenia pomaga chorym na raka

Jeśli się uwierzy, że nasz organizm nie jest bezbronny w walce z nowotworem, choroba przebiega łagodniej



DR MARIUSZ WIRGA

– psychiatra i psychoonkolog z Kalifornii

Rozmawia Barbara Jagas

Kiedy pierwszy raz przeczytałam „Triumf życia” Carla Simontona, byłam zachwycona stwierdzeniem, że dzięki treningowi psychiki można wpływać na procesy samoleczenia organizmu. To było w 1992 r., minęło 28 lat i nie słyszę, aby ludzie w ten sposób pomagali sobie w wyzdrowieniu. Nadal najważniejsze są leki, o wpływie psychiki na ciało niewiele się mówi. Czy to koniec psychoonkologii, którą zapoczątkował Simonton? Pytam, bo byłeś jego bliskim współpracownikiem.

– Napisałem nawet wstęp do „Triumfu życia”.

Wiem, pracowałam w wydawnictwie, które go wydało. Pamiętam, że z wypiekami czytaliśmy tę książkę, i wspominam wywiad, jakiego Simonton nam udzielił. Miał tytuł „Uwierzyłem, że pokonam raka”. Jak to naprawdę jest z tym wpływem naszej psychiki na zdrowie i zdrowienie.

– Psychoonkologia ma się jak najlepiej i pomaga wielu ludziom. Tyle że trochę inaczej rozumie się rolę wyobraźni. Bardziej chodzi tu o ćwiczenie zdrowego myślenia. Czy psychika wpływa na naszą fizjologię? Oczywiście, że tak. Przypomnij sobie znane doświadczenie z cytryną – na samą myśl o niej poczujemy w ustach kwaśny smak i wydzieli się ślina. Terapia simontonowska jest terapią poznawczo-behawioralną i opiera się na tym, że nasze emo-

cje są konsekwencją naszych myśli, przekonań i postaw. A emocje mają wpływ na procesy fizjologiczne. Wyobraź sobie, że wyszłaś z domu i nagle przychodzi ci do głowy: „Ojej, nie wyłączyłam żelazka”. A jesteś już daleko. Co by się z tobą działo?

Wyobraziłabym sobie pożar i poczułabym lęk. A ten lęk mógłby wywołać przyspieszenie akcji serca, poty itp. Czyli zgadza się – od pomyślenia do emocji i reakcji organizmu jest niedaleko. Ale co z Simntonem, który pisał, że za pomocą wyobraźni możemy „zobaczyć”, jak nasze komórki zwalczają komórki rakowe, i w ten sposób powodować proces samoleczenia.

– Ależ komórki człowieka rzeczywiście potrafią niszczyć te nowotworowe i to cały czas się dzieje. Są na ten temat badania, nakręcono filmy,

Poprawa jakości życia i myślenia wpływa na układ odpornościowy.

które można znaleźć także na mojej stronie (www.beat-the-odds.org/video). Bo w naszym organizmie cały czas powstają komórki rakowe, które są naturalnie usuwane. I wszystko jest OK, jesteśmy zdrowi. Ale do pewnego momentu, bo nagle z jakiegoś powodu tych komórek przybywa więcej, niż się usuwa, i wtedy zaczynamy chorować.

Nie możemy z użyciem psychiki, wyobraźni pomóc organizmowi w walce, bardziej go zmobilizować?

– Trudno powiedzieć... Ale dziś wiem, że poprawa jakości życia i myślenia wpływa na układ odpornościowy i jeśli się uwierzy, że nasz organizm nie jest bezbronny w walce z nowotworem, zamiast się bać i wyobrażać sobie, że nasz koniec jest bliski, to wtedy choroba nowotworowa przebiega łagodniej. W terapii simontonowskiej, owszem, jest mowa o ćwiczeniu wyobraźni, by zobaczyć, jak organizm walczy z rakiem, ale ma to jedynie wspierać proces leczenia. Natomiast mówienie, że wystarczy uruchomić wyobraźnię, jest uproszczeniem, a nawet wypaczeniem terapii simontonowskiej.

Jak zatem wygląda dziś twoja pomoc? Przychodzi do ciebie pacjent i...

– Głównym celem mojej terapii jest poprawa jakości jego życia. Uczymy konkretnych, praktycznych umiejętności, które ją podnoszą. Dlatego na pierwszym spotkaniu proszę, aby pacjent podał co najmniej pięć czynności, które przynoszą mu radość.

A następnie zalecam, aby codziennie się w nie angażował. Tylko zaznaczam, że radość to co innego niż prosta przyjemność. Te radosne czynności muszą być zgodne z naszymi wartościami, służyć naszemu zdrowiu i związkowi z innymi, a nie ostatecznie powodować ból głowy czy wyrzuty sumienia.

Dobrze, a teraz konkretnie. Pacjent, który do ciebie przyszedł, ma raka drobnokomórkowego płuca i mówi, że zostały mu dwa miesiące życia.

– Trochę to upraszczasz. W rokowaniu wszystko zależy od zaawansowania choroby, stanu ogólnego itp. A we wczesnym stadium raka drobnokomórkowego płuca dzięki leczeniu można osiągnąć ponad 30% pięcioletnich przeżyć. Jednak celem terapii simontonowskiej jest nie przedłużanie życia, tylko poprawa jego jakości.

Czyli co, zaproponowałbyś mu, aby nabył marihuanę i wyjechał na Hawaje?

– Niekoniecznie. Zresztą terapię simontonowską stosujemy jako uzupełnienie leczenia konwencjonalnego, a nie zamiast niego. Ale szanujemy wybory pacjenta i jego bliskich i jeśli wybiorą, że ma się nie leczyć w sposób konwencjonalny, to najpierw pomagamy mu stwierdzić, czy ta decyzja jest dla niego racjonalna i zdrowa, a także spójna z jego wartościami. Przyszedł kiedyś do mnie człowiek z bardzo zaawansowanym rakiem płuca. Leczenie konwencjonalne, które mu zaproponowano, nie dawało nadziei na przedłużenie życia, a nawet mogło pogorszyć stan zdrowia. Dlatego zrezygnował z niego, ale zdecydował się resztę czasu spędzić w domu, z żoną. Wiedział bowiem, że ona potem sobie nie poradzi ze sprzedażą domu, ponieważ był zniszczony i wymagał różnych napraw. Zajął się więc remontem. A potem urządził spotkanie, na które zwykle w Stanach zaprasza się kilka miesięcy po śmierci, ale on zrobił to wcześniej i poprosił zebranych o powiedzenie dobrych rzeczy na jego temat.

A na czym polegała twoja rola?

– Pomogłem mu w podjęciu tych wszystkich decyzji, w wytusowaniu, co dla niego będzie najlepsze i najzdrowsze. Chodziło o stworzenie jak

najpełniejszego życia, mimo choroby. Ja nie mam rady, która będzie dobra dla każdego. Ale pozwalałam ludziom zobaczyć, co dla nich jest najlepsze i najważniejsze. Czasami ich decyzje są dla mnie zaskakujące. Bo z moim temperamentem na pewno wyjazd na Hawaje byłby mi bliższy niż zajmowanie się naprawami domu. Ale chodzi o to, by nie narzucać pacjentowi swojego zdania, tylko próbować odkryć z nim, co dla niego jest najlepsze.

Czy pomagasz swoim pacjentom ośwoić się ze śmiercią?

– Bycie w zgodzie ze swoją śmiertelnością jest zdrowe dla wszystkich. Nie tylko dla chorych na raka. Powołam się na Epikura, który twierdził, że sztuka dobrego życia i sztuka dobrego umierania to jedno i to samo. Bo to, co pomaga nam umierać,

Pozwalam ludziom zobaczyć, co dla nich jest najlepsze i najważniejsze.

pomaga nam żyć. I na odwrót. Na przykład jeśli chcę umrzeć w spokoju umysłu, ważne jest, abym w moim życiu kultywował spokój umysłu – także w trudnych sytuacjach. Jeśli chcę umrzeć w otoczeniu ludzi, którzy mnie kochają, powinienem żyć z tymi ludźmi, którzy mnie kochają. A jeżeli chciałbym umierać wolny od cierpienia, to istotne jest, abym umiał sobie radzić z cierpieniem i żył wolny od cierpienia. Pewnie, że trudne sytuacje, jakie się pojawiają, są czymś normalnym. I cierpienie wtedy jest nieuniknione. Ale jak długo w nim trwam, to już ode mnie zależy, bo tego można się nauczyć.

Chorobie onkologicznej często towarzyszy ból. Czy z nim można sobie poradzić?

– Piszę o tym w książce „Zwyciężyć chorobę”. Jest dużo metod farmakologicznych, które mogą pomóc w zwalczaniu bólu, i są one dostępne w opiece paliatywnej. Wiemy np., że u chorych na raka płuca im wcześniej zostaje włączona opieka paliatywna, która poprawia jakość życia, tym dłużej ludzie żyją.

Trochę inaczej nam się ona kojarzy.

– Tymczasem w opiece paliatywnej stosuje się nie tylko leki przeciwbólowe, ale także terapie zmniejszające inne dolegliwości, takie jak nudności czy osłabienie. Tam też można zaproponować pacjentowi tzw. sedację paliatywną.

Co to jest?

– Podam przykład. Raz mieliśmy 28-letnią dziewczynę z bardzo zaawansowanym rakiem szyjki macicy. Odczuwała taki ból, że nie pozwoliła się przenieść z noszy na łóżko, bo najmniejszy ruch czy nawet dotyk wyzwał nieстерпиме cierpienie. Wtedy wraz z kolegą, specjalistą

opieki paliatywnej, postanowiliśmy zrobić jej sedację paliatywną. Polegało to na tym, że daliśmy jej tyle leków uspokajających i nasennych, że głęboko zasnęła. A jak zasnęła, to się rozluźniła i już można ją było przenieść. Utrzymywaliśmy ją w uśpieniu jeszcze przez trzy dni. Kiedy ją wybudziliśmy, prawie zupełnie nie czuła bólu.

A czy za pomocą wyobraźni można uśmierzyć ból?

– Tak, ponieważ ból nie jest odezwany od naszych emocji. A emocje są zawsze powiązane z jakimiś przekonaniami. Są emocje i przekonania, które mogą sprzyjać nakręcaniu się spirali bólu. Na przykład gdy myślimy: „Ten ból nigdy się nie skończy” albo: „Ten ból jest nieznosny i nikt mi nie pomoże”. Pojawienie się takich przekonań jest zrozumiałe, ale one są niezdrowe, bo wiążą się z poczuciem beznadziei. A my przecież możemy tworzyć endorfiny, czyli wewnętrzną morfinę, a więc środek przeciwbólowy, i endokannabinoidy, czyli naturalną marihuanę, stosując odpowiednie myślenie.

Ale jak to zrobić? Mówić sobie czy myśleć, że mnie nie boli?

– Nie wystarczy tylko pomyśleć lub powiedzieć. To jest efekt pracy nad przekonaniami, które trzeba

Pięć zasad zdrowego myślenia

Zdrowe myślenie to takie, które danemu człowiekowi służy, jest dla niego pożyteczne. Odpowiedz na pytania:

1. Czy dane przekonanie jest oparte na faktach?
2. Czy działanie oparte na tym przekonaniu chroni moje życie i zdrowie?
3. Czy działanie oparte na tym przekonaniu umożliwia mi osiągnięcie moich bliższych i dalszych celów?
4. Czy działanie oparte na tym przekonaniu pomaga mi skuteczniej radzić sobie z konfliktami z innymi – unikać ich lub je rozwiązać?
5. Czy działanie oparte na tym przekonaniu pozwala mi czuć się tak, jak chcę?

► zmienić. Najpierw zapisujemy wszystko, co nam przychodzi do głowy na temat naszego bólu, wszelkie przekonania. Potem do każdego z nich stosujemy pięć zasad zdrowego myślenia. A więc sprawdzamy, czy dane przekonanie jest oparte na faktach, czy chroni nasze życie i zdrowie, czy umożliwia nam osiągnięcie naszych bliższych i dalszych celów, czy pomaga nam skuteczniej radzić sobie z konfliktami z innymi oraz czy pozwala nam czuć się tak, jak chcemy. A kiedy już wszystko wiemy, zastępujemy niezdrowe przekonania zdrowymi i zaczynamy je ćwiczyć, wcielać w życie.

Wyłożyłeś w ten sposób zasady racjonalnej terapii zachowania, które opisałeś w książce „ABC twoich emocji”. I widzę, że ma ona zastosowanie u chorych, ale i u zdrowych ludzi.

– Napisaliśmy ją we trójkę, bo współautorami są Maxie Maultsby, twórca racjonalnej terapii zachowania, i Michael DeBernardi. Jest przeznaczona dla wszystkich i można ją traktować jako podręcznik samopomocy czy autoterapii. Ludzie chorzy

na raka myślą często, że radzą sobie najlepiej, jak można w ich sytuacji. Ale fakty są takie, że to nieprawda. Tylko że oni nie mają o tym pojęcia.

Czy pozytywne myślenie to zdrowe myślenie?

– Zdrowe myślenie i pozytywne myślenie to nie to samo. Pozytywne często odpowiada ostatniej zasadzie z pięciu podanych, że może pomagać mi czuć się tak, jak chcę, ale bardzo często zaprzecza pierwszej,

Pouczenia: „Powinieneś mieć bardziej pozytywne nastawienie” są zmorą naszych czasów.

czyli że myślenie ma być oparte na faktach. Bo nasze zdrowe myślenie nie może ignorować faktów, jak to bywa w przypadku tylko pozytywnego myślenia. A nakłanianie do takiego zachowywania się jest zmorą naszych czasów. Najbardziej okrutne jest w stosunku do chorych, którzy mają nie cierpieć, dobrze się czuć. Do osób z nowotworem przychodzą często życzliwi ludzie i mówią: „Powinieneś mieć bardziej pozytywne nastawienie”. Dodatkowo dosypują mu soli do tej rany. Dodają cierpienia. I często są to najbliżsi. Co w ten sposób robią? Unieważniają rzeczywistość doświadczenia emocjonalnego chorego człowieka.

Chcesz powiedzieć, że w ten sposób pogarszają jakość jego życia, bo to stresuje?

– Tak, bo większość z tych osób myśli wtedy: „Ja coś źle robię”. A przecież robią, co potrafią – z wiedzą i umiejętnościami, które aktualnie posiadają. Pouczenia: „Bądź pozytywny” powodują ich większe osamotnienie.

Ale mamy przecież cały nurt psychologii pozytywnej, która wprost namawia do pozytywnego myślenia!

– Nie jestem przeciwnikiem terapii Martina Seligmana, ale też nie znam się na niej. Natomiast uważam, że szkodliwe jest mówienie komukolwiek, że ma się czuć inaczej, niż faktycznie się czuje. Trzeba wyjść od tego, jak naprawdę się czujemy. Potem to zaakceptować. Następnie zobaczyć, jakie przekonania za tym cierpieniem stoją. A dopiero potem ćwiczyć ich zmianę. Pamiętajmy, że nasze emocje są konsekwencjami naszych przekonań, postaw i myśli.

Czyli zmieniamy nie emocje, tylko myśli, a więc źródła tych emocji.

Ale to wszystko nie jest takie proste. I wymaga chyba wielu powtórzeń. Trudno ot tak się zmienić. Bo zmiana przekonań to także zmiana nas.

– Na pewno jednorazowa powtórka nie zmienia nawyków myślowych, do tego trzeba wiele powtórzeń. Jak to ćwiczyć? Za każdym razem, gdy pojawi się ten nasz ból emocjonalny, wyciągamy kartkę papieru z przekonaniami i czytamy, jak ten ból wywołujemy i jak go niwelujemy. Ćwiczymy nowe przekonania, powtarzając je. Jeśli będziemy to robili często, po pewnym czasie przestaniemy wyciągać kartkę. Bo już zmienimy nawyki.

Wróćmy do chorych. Miałeś w swojej praktyce całkowite wyzdrowienia z nowotworu? Pytam o efekty twojej terapii.

– W Stanach Zjednoczonych 68% 20 najczęstszych nowotworów jest wyleczalnych i ta statystyka odnosi się do wszystkich stanów zaawansowania choroby. Mam więc sporo takich przypadków!

Ale mnie chodzi o takie, gdzie medycyna była bezradna.

– Miałem okazję już wcześniej tego doświadczyć, będąc jeszcze w Polsce. I przypominam sobie jedną z pierwszych pacjentek w Poznaniu. Przyszła do nas z nowotworem złośliwym nieodpowiadającym na leczenie. Zastosowano u niej radioterapię, która zwykle bywa skuteczna w jej typie nowotworu, ale nie zadziałała. A potem mimo chemioterapii guz dalej rósł. W pewnym momencie był tak duży, że uciskał drogi oddechowej i zagrażał jej życiu. Nie można było w żaden sposób jej pomóc. A pacjentka bardzo bała się śmierci. Bo miała dużo niezdrowych przekonań na jej temat. Pracowaliśmy nad zmianą tych szkodliwych przekonań o umieraniu. W końcu je zmieniła. A było to 30 lat temu.

Żyje?

– Tak.

Barbara Jagas

Dr Mariusz Wirga – wieloletni współpracownik Carla Simontona, prekursora psychoonkologii, oraz Maxiego Maultsby'ego, pioniera racjonalnej terapii zachowania. Od 30 lat mieszka i pracuje w Stanach Zjednoczonych. Dyrektor medyczny w Todd Cancer Institute w Long Beach w Kalifornii.



Nabór naszych czasów

P przed tygodniem pisaliśmy o ambasadorskich kadrach obecnego MSZ. Dorzucmy do tego jeszcze kilka zdań.

Otóż do Maroka minister Czaputowicz zdecydował się posłać na stanowisko ambasadora Krzysztofa Karwowskiego. Człowieka spoza MSZ. On sam zresztą temu nie zaprzecza i mówi tak: „Rzeczywiście, nie mam doświadczenia dyplomatycznego. Natomiast mam wrażenie, że całe życie przygotowywałem się do tej funkcji i roli”.

A jak się przygotowywał? Jak mówi – jako dziennikarz telewizyjny, śledząc sprawy zagraniczne i międzynarodowe i bardzo się nimi interesując.

Tak więc, obywatelu, gapiąc się w ekran (telewizyjny lub komputera), możesz poprawić sobie samopoczucie. Nie jesteś biernym odbiorcą informacji, ty przygotowujesz się do funkcji i roli ambasadora.

Oprócz umiejętności inteligentnego prezentowania swojej osoby Krzysztof Karwowski ma jeszcze dwie zalety, przynajmniej dla obecnie rządzących. Po pierwsze, jako dziecko mieszkał w Maroku, bo jego ojciec pracował tam jako inżynier w ramach kontraktu. Znaczący przeżył tamtejszą atmosferę. Po drugie, jest (był?) dziennikarzem we właściwych mediach. Pracował w Telewizji Republiki, a od roku 2016 w Telewizji Polskiej. Najpierw był tam zastępcą, następnie dyrektorem Programu 1, a potem doradcą zarządu TVP i dyrektorem Agencji Kreacji Publicystyki, Dokumentu i Audycji Społecznych. Innymi słowy, był ważną postacią w ekipie Jacka Kurskiego, można rzec – oficerem u boku generała. Może niezbyt udanym, bo co chwila zmieniano mu stanowisko, jakiś powód tego być musiał, ale wystarczająco umocowanym, że mimo tych zmian nie dał się od TVP oderwać.

A teraz zostaje dyplomata.

Skąd ten wybór? „Mam wrażenie, że osiągnąłem *maximum maximorum* tego, co mogłem osiągnąć jako dziennikarz – ogłasza Karwowski z emfazą. – Oczekuję nowych wyzwań, które pozwolą, że będę się rozwijał i będę mógł służyć na pierwszej linii Rzeczypospolitej Polskiej”.

Nie on pierwszy przechodzi ze świata mediów do świata służby zagranicznej. To nie jest zakazane. Ważne jest co innego – jaki to jest dziennikarz? Z jakiej półki? Jaki ma dorobek?

Nie przesądzając więc, jak potoczy się kariera Krzysztofa Karwowskiego, trudno nie zauważyć, że półka, z której go przygarnięto, zbyt wysoko umocowana nie była.

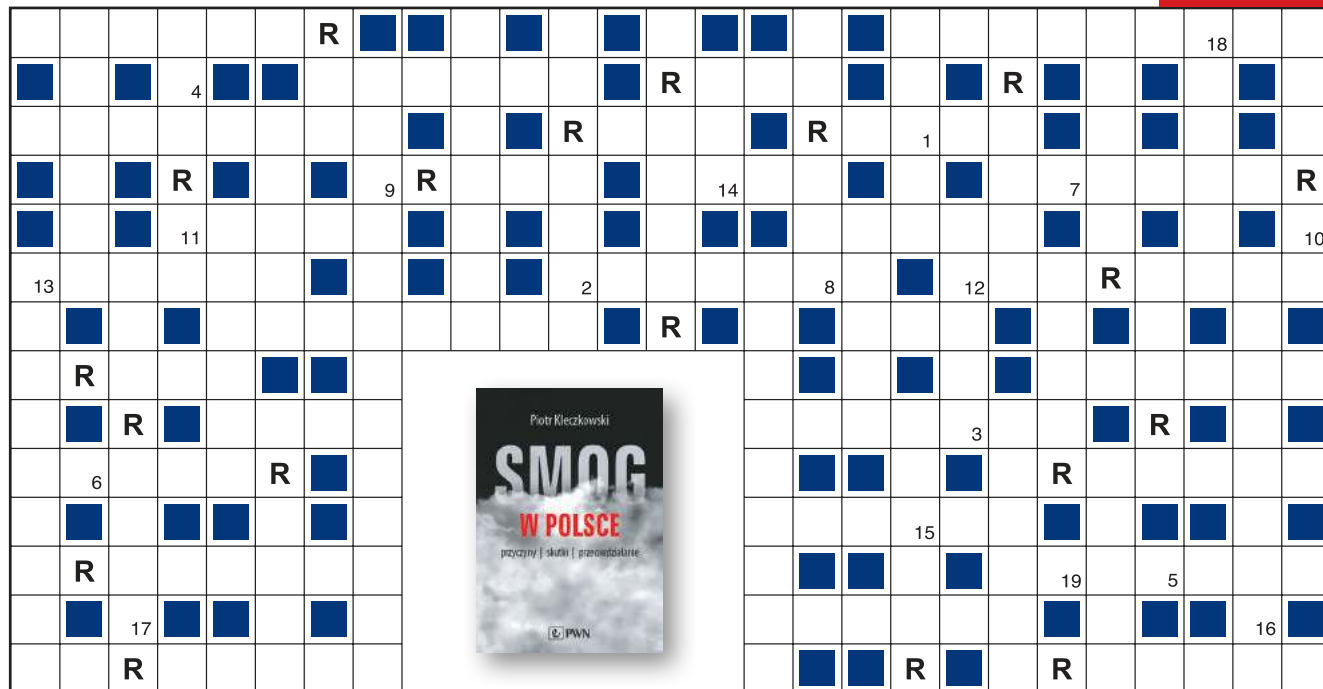
A co do dziennikarzy, którzy kierują zagranicznymi placówkami. Były dziennikarz PAP Jakub Kumoch właśnie przechodzi ze stanowiska ambasadora w Szwajcarii na stanowisko ambasadora w Turcji. Ambasadorem w Czarnogórze został w sierpniu 2018 r. były prezes PAP Artur Dmochowski. Od września 2019 r. konsulem w Sankt Petersburgu jest Grzegorz Ślubowski, dziennikarz Polskiego Radia.

Ciekawa była sytuacja, jeśli chodzi o obsadę stanowiska ambasadora w Izraelu. Najpierw, pod koniec roku 2017, proponowano na tę funkcję byłą pisowską prezes Polskiego Radia Barbarę Stanisławczyk-Żytę. Ale sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych odrzuciła tę kandydaturę. Do Izraela pojechał więc Marek Magierowski, były dziennikarz „Rzeczypospolitej” i tygodnika „Do Rzeczy”.

Attaché

Globalne ocieplenie zmusza niedźwiedzie polarne do zapuszczania się na tereny ludzkie. A na śmietnikach łatwo znaleźć pożywienie. Nowa Ziemia, Rosja.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- ukończył szkołę, uczelnię
- jak europ wśród lantanowców, tak on wśród aktywnowców
- od niego do Kajfasza
- list nie wiadomo od kogo
- miejsce pracy technika farmaceutycznego
- „Jakież wielki... ginie”, miał powiedzieć Neron
- spółdzielcze, żywności albo nasion
- leśny pszczelarz
- dopuszczał się dwużeństwa
- ...Żeligowskiego w październiku 1920 r.
- czarny lub pisma
- sina i bezkresna
- wymarły nieto z Maskarenów
- drągał
- dobry w kiwkach na boisku
- i bezludzie, i barbarzyńcy
- albo osobliwość, albo straszdyło
- z kangurem w herbie Australii
- o przytulnym mieszkanku
- skrzywiona mina
- papier – origami, kwiaty – ?
- brystol lub tekturowe pudło
- wspólny mianownik róż i jeży
- herod chodzący po domach
- rodzaj aktywnej galaktyki, bardzo odległej i jasnej
- nadużywa medykamentów
- oby na własnym nie wyhodować żmii
- orzechów albo w głowie
- nadzoruje pracę robotników
- pośrednik w giełdowych transakcjach
- np. pikle
- poprzednik hektopaskala
- nimfa ze źródła, strumienia
- wyczerpany cieszy wydawcę
- dla bogów i pszczoł
- składana, nie zawsze dotrzymywana
- pozwala sobie nie zgodzić się
- przeszkody natury psychicznej
- dawniej oczodół, przenośnie sfera, krąg
- nieprzemakalna tkanina na płaszcz
- pospolity w Polsce gatunek topoli
- ryba, nie bryła ani figura
- za współpracę, za życzenia, za całokształt
- czerwony
- po ugotowaniu
- poturbowany do opatrzenia
- przedmorze albo przedporcie
- stolica ze Schodami Hiszpańskimi
- nie dla psa kielbasa, ono nie dla kota
- kombinacja nart i roweru
- grzyb o kapeluszu jak pomarszczona czapeczka
- na zupeł podawaną z jajkiem
- miasto z Fundacją Nobla
- ojcem polskiego Wojciech Bogusławski
- sztuczne paznokcie
- szlak, droga do przebycia
- w górę lub wybryk
- przynosi wstyd rodzinie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-945”. Do rozlosowania książki „Smog w Polsce” ufundowane przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 2 lutego 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-942” z 12 stycznia: Konieczność uwalnia od wyboru. Nagrody otrzymują: Elżbieta Naruszewicz z Elku, Zbigniew Nowak z Podkarpacina, Barbara Szarawara z Częstochowy.

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Ci, którzy kłamali, będą przepraszać, ci, którzy wyrzucali dziennikarzy z pracy, sami będą ją tracić, a ci, którzy uprawiali propagandę, będą dowodzić, że stali po stronie prawdy. Ci, których nie nazwiemy już dziennikarzami. To nawet zabawne, gdy prezes TVP twierdzi: „Gdyby »Wiadomości« lub nasz kanał informacyjny TVP Info nadawały propagandę, nikt by tego nie oglądał”. Widać czuje, że nawet mając dodatkowe 2 mld zł na robienie wody z mózgu Polakom, nie może przyznać: kłamię, manipuluję, uprawiam propagandę. „Warunkiem trwania dobrej zmiany jest dokończenie reformy wymiaru sprawiedliwości i rynku medialnego” – suflował Jacek Kurski prezesowi PiS. Pewnie po rozprawie z sędziami zabiorą się więc za media.

trybuna **PIOTR GADZINOWSKI,** REDAKTOR NACZELNY

Elity PiS przegrają tę wojnę. Polska lekkomyślnie trwoni setki milionów złotych na przekręty rwaczy z Polskiej Fundacji Narodowej, syci się bajdurzeniem o „Mabienie” prezydenckiego doradcy prof. Andrzeja Zybortowicza. Elity PiS muszą tę wojnę przegrać, bo same wypisują się z grona byłych antyhitlerowskich aliantów i obecnych demokracji Unii Europejskiej. Glory-

fikują sanacyjna Polskę wzorującą się na faszystowskich Włochach. Dążąc do ograniczania demokracji parlamentarnej, autorytarnych wojskowych rządów i wystąpieniu obywateli „gorszego sortu” na przystawowy Madagaskar. Gloryfikują ustami pana premiera Morawieckiego żołnierzy antysemickiej i kolaborującej z hitlerowcami Brygady Świętokrzyskiej. Podsycają konflikty wokół mianowania dyrektora muzeum Polin.

zwierciadło **ELŻBIETA DZIKOWSKA,** PODRÓŻNICZKA, REPORTERKA

Tony’ego Halika zobaczyłam najpierw w czarno-białym telewizorze marki Wisła, który stał na podłodze. Tony opowiadał o skoczkach z Acapulco. Powiedziałam: „Jaki śmieszny facet” i wyłączyłam telewizor. A w Meksyku miałam z nim zrobić krótki wywiad. Nie było żadnego gromu. Tony trochę nad tym pracował. Byłam dla niego ważna m.in. dlatego, że byłam Polką. Bardzo tęsknił za Polską, podkreślał, że jest z Torunia. Szybko się mną zafascynował, ale na tę fascynację składały się nie tylko cechy fizyczne. I szybko doszliśmy do wniosku, że razem będziemy Polskę pokazywać świat. Tony był pasjonującym mężczyzną. A ponieważ nudziło go opowiadanie ciągle tych samych historii, konfabulował. Miał wyobraźnię.

Aby język giętki...

JAN KOMASA **O REAKCJI NA „BOŻE CIAŁO”**

Czytałem życzliwe wypowiedzi księży na blogach, w prasie. Ale żaden biskup na rozmowę mnie nie zaprosił. A chętnie bym poszedł.

ALEKSANDER SMOLAR **O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM**

W latach 90. był za Balcerowiczem i wolnym rynkiem, dziś jest za nacjonalizmem gospodarczym i etatyzmem.

PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKA O SZKOLE Uczy raczej posłuszeństwa niż oryginalności i innowacyjności.

AGATA PASSENT O CZYTANIU Jestem osobą, która ma krótkie przerwy w czytaniu, czytam właściwie wszędzie.

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ **DO ANDRZEJA DUDY** Andrzeju, popełniłeś wiele błędów, a pokrzykiwaniem na sędziów zagłuszasz swoje wyrzuty sumienia.

MAGDALENA CIELECKA O RYZYKU Gdybym miała przed sobą tylko rok, to jechałabym po bandzie, żeby doświadczyć absolutnie wszystkiego.

GRAŻYNA WOLSZCZAK **O SAMOTNOŚCI KOBIET** W domu czeka na nie tylko Facebook, a w weekendy wyjście do klubów.

MARIOLA BOJARSKA-FERENC O MĘŻU **RYSZARDZIE** Rozmawiamy w specyficznym, zaczepnym tonie. Lubimy, jak iskrzy.

RYSZARD FERENC O ŻONIE Mariola dowodzi na każdym statku, na który wsiada. A pływa tylko na tych, gdzie może być kapitanem.

AGNIESZKA RADWAŃSKA **O ROZBIERANEJ SESJI** Pewnie gdybym była zwolenniczką tego typu rzeczy, tobym taką sesję już dawno zrobiła.

KATARZYNA BONDA O ZIELONEJ HERBACIE Powinna mieć fusy, a najlepsze jest trzecie parzenie.

PAWEŁ WILCZAK O PRACY KELNERA Klienci uciekali. Musiałem pokrywać rachunki z własnej kieszeni. Wszystkie napiwki na to szły.



Papuaszy aktywiści Ambrosius Mulait i Dano Anes Tabuni bronią w sądzie w Dżakarcie koteki, swojego tradycyjnego stroju.

FOT. AFP/EAST NEWS

Obrazy ludowego twórcy z Połtawy Oleha Litusa prezentowane na wystawie w Muzeum Sztuki w Charkowie.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Gang Olsena by się nie powstydił

To miał być rozbój doskonały. 34-latek wyposażył się w pistolet pneumatyczny do złudzenia przypominający ostrą broń, opaski zaciskowe i taśmy do skrępowania ofiary, okulary i sztuczny zarost. Co więcej, za pomocą kamery, którą zainstalował na korytarzu, obserwował, kto wchodzi do upatrzonego mieszkania na warszawskiej Pradze i z niego wychodzi. Nie pomyślał tylko o jednym – że gdy zażąda od dawnego kolegi z pracy 100 tys. zł, zostanie rozpoznany po głosie. Zdemaskowany napastnik uciekł, jednak policja szybko go namierzyła. Grożą mu co najmniej trzy lata więzienia.

Człowiek orkiestra

Amerykański piosenkarz senegalskiego pochodzenia, Akon, sfinalizował formalności związane z budową w Afryce miasta jego imienia. Akon City powstanie na ok. 8 km kw., które artysta otrzymał od prezydenta Senegalu. Ma być przyjaznym dla środowiska ośrodkiem turystycznym, a obowiązującą w nim walutą będą akoiny. Inwestycja ma na celu podratowanie gospodarki kraju przodków Akona, który wcześniej m.in. powołał inicjaty-



wę na rzecz dostarczenia prądu najbardziej potrzebującym Afrykańczykom. Gratulujemy operatywności i czekamy na polskich naśladowców. Budka Suflera – czy to nie ładna nazwa dla kurortu?

Smartfon groźniejszy niż broń

Do lokalnego senatu stanu Vermont wpłynął projekt ustawy, na mocy której posiadanie telefonu komórkowego byłoby zabronione dla osób poniżej 21. roku życia, a za złamanie zakazu groziłby nawet rok więzienia i 1 tys. dol. grzywny. W uzasadnieniu napisano, że używanie przez nastoletnie osoby komórek w czasie jazdy samochodem powoduje liczne wypadki, ponadto internet i media społecznościowe, z których obecnie korzysta się głównie za pośrednictwem smartfonów, są wykorzystywane do radykalizacji młodzieży i rekrutowania terrorystów. Na domiar złego „telefonów komórkowych używają młodzi sprawcy strzelanin, którzy szukają informacji o wcześniejszych strzelaninach w USA”. Inicjator projektu, senator John Rodgers z Partii Demokratycznej, deklaruje, że nie jest zwolennikiem zaproponowanych przez siebie rozwiązań, ale chciał „zwrócić uwagę na problem”. Dodajmy, że w stanie Vermont pod pewnymi warunkami broń palną może kupić już 16-latek.

Nie masz lajków – nie pograsz

Prezes Lorca Fútbol Club, zarządzając udostępnienie kibicom aplikacji, za pomocą której mogą oni wybierać skład i ustawienie

MEMY BEZ ŚCIEMY



zawodników, a także dokonywać zmian w czasie meczu. Niespodziewana decyzja Roberta Torresa sprawiła, że z pracy zrezygnował nowy trener drużyny. Piłkarze, w tym polski bramkarz Piotr Gorczyca, są zaskoczeni takim obrotem spraw i żądają wyjaśnień – byli bowiem przekonani, że aplikacja będzie jedynie formą reklamy klubu i zabawy dla jego fanów. Nam przychodzi do głowy jeszcze lepszy sposób na rozgłos: aplikacja do kupowania i sprzedawania meczów. To byłoby coś!

Niewdzięczność czarna jak espresso

O innej nowince technicznej głośno wśród pracowników sieci Starbucks w USA i Kanadzie. Personel popularnych kawiarni w ramach świadczeń pozapłatowych otrzymał bezpłatną subskrypcję Headspace – aplikacji do nauki technik redukujących stres, poprawiających jakość snu i poziom koncentracji. Niestety, pracownicy nie docenili troski firmy, która wcześniej m.in. skierowała menedżerów na szkolenia na temat zdrowia psychicznego. Małostkowo narzekają w mediach na wynikający z cięć w zatrudnieniu nadmiar obowiązków oraz niskie płace. – Nie prosiliśmy o aplikację do medytacji. Chcemy być w stanie zapłacić czynsz – poskarżył się jeden ze szczególnie roszczeniowych pracowników.

Pozwem i mieczem

40-latek z Kansas, niejaki David Ostrom, złożył w sądzie wniosek o pozwolenie mu na rozstrzygnięcie długoletniego sporu majątkowego z byłą żoną Bridgette na drodze... pojedynku na miecze samurajskie. Mężczyzna powołał się na jedną z fundamentalnych zasad amerykańskiego prawodawstwa, która mówi, że co nie jest zakazane – jest dozwolone. Dowodził, że Stany Zjednoczone nigdy nie zakazały rozstrzygania sporów prawnych „na ubitej ziemi”. Zaznaczył jednocześnie, że jego eks-połowa nie musi pojedynkować się z nim osobiście, lecz może wystawić do walki swojego prawnika, Matthew Hudsona.

Koncept, że palce lizać

Jak dowiedzieliśmy się z pewnej informacji prasowej, „grupa marek z branży piekarniczo-cukierniczej” uruchomi w Warszawie „koncept, w którym klienci na własne oczy będą mogli przekonać się, jak powstaje, rośnie i zarumienia się zdrowy chleb”. Równie ekscytująco brzmi wiadomość, że lokalowi (*pardon*, konceptowi) szefował będzie piekarz „z mocnymi kompetencjami w zakresie wyrobów *viennoiserie*”. A i to nie koniec: w dwóch innych stołecznych lokalizacjach „powstaną koncepty Grupy łączące pieczywo z sokami i *smoothies*”. Na koniec najważniejsze: wszystko to „dopiero początek ekspansji Grupy i budowania skali biznesowej”. Smacznego!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeklad@tygodnikprzeklad.pl

www.tygodnikprzeklad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeklad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeklad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeklad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeklad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeklad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredakcja: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeklad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeklad.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeklad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chleicka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeklad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeklad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeklad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





THE FUTURE IS NOW

WYSTAWA OBRAZÓW
MACIEJA RAUCHA

Młodość, miłość, piękno i śmierć – te kwestie porusza Maciej Rauch, artysta realizmu magicznego. Twórca pokazuje ich interpretacje malarskie i graficzne, tworzy też instalacje oraz wideoklipy. Szczególnie upodobał sobie kosmos, tajemnicę, mistycyzm. Na wystawie w Bistro Barze WuWu zorganizowanej przez Galerię Nizio można zobaczyć obrazy z kilku cykli: „Alien Boy”, „The curse or blessing” oraz „On the other side”. Na pierwszy składają się obrazy utrzymane w enigmatycznym nastroju, które przedstawiają młodzińców w kosmicznej scenerii. „The curse or blessing” to seria obrazująca kwiaty zawieszone w odległej galaktyce. Są one delikatne i piękne, ale skrywają tajemnicę – pod ich płatkami kryją się żarłoczne skolopendry. „On the other side” to z kolei wyjście poza „granicę płótna”, na zewnątrz.



Bistro Bar WuWu, Centrum Praskie Koneser
Warszawa, plac Konesera 1
do 29 lutego



WSZYSTKIE TAJEMNICE DOZWOLONE!

 ZŁOTE GLOBY
— LAUREATKA —
NAJLEPSZA AKTORKA
W KOMEDII LUB MUSICALU



KŁAMSTEWKO

W KINACH

A24

m2

coastal

wysokie obcas

STILMONINI

Gala

KOBIETA.PL

P

PAPAYA ROCKS

VOGUE

K

MAC

WOLFF

sens

POPTOWN+EU

4

11 NOMINACJI DO NAGRODY AKADEMII® (2019) W TYM ZA NAJLEPSZY FILM

„NIHILISTYCZNY, BRUTALNY, GENIALNY”

Piotr Olczyk, Multikino.pl



4K ULTRA HD,
BLU-RAY™ i DVD

WARNER BROS. PICTURES PRESENTS
IN ASSOCIATION WITH VILLAGE ROADSHOW PICTURES IN ASSOCIATION WITH BRON CREATIVE A JOINT EFFORT PRODUCTION A FILM BY TODD PHILLIPS "JOKER" JOAQUIN PHOENIX
ROBERT DE NIRO ZAZIE BEETZ FRANCES CONROY MUSIC BY RANDALL POSTER COSTUME DESIGNER GEORGE DRACULAS EDITOR JEFF GROTH
PRODUCTION DESIGNER MARK FRIEDBERG DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY LAWRENCE SHERMAN EXECUTIVE PRODUCERS MICHAEL E. USLAN WALTER HAMADA AARON L. SILBERT JOSEPH GARNIER RICHARD BARATTA AND BRUCE BERMAN
BASED UPON THE CHARACTER CREATED BY BOB KANE WRITTEN BY TODD PHILLIPS & SCOTT SILVER PRODUCED BY TODD PHILLIPS, JEFF KATZ, BRADLEY COOPER, JEFF KATZ, EMMA TILLYN, AND JEFF KATZ
DIRECTED BY TODD PHILLIPS
TM & © DC Comics
© 2019 Warner Bros. Entertainment Inc., Village Roadshow Films (BV) Limited and BRON Creative USA, Corp. All rights reserved. TM & © DC.

Film do kupienia na



swiatksiazki.pl

oraz w

KSIĘGARNIE



Świat Książki



Men'sHealth

T3



PARTNERZY MEDIALNI

FILMWEB

HDTPOLSKA.COM



Multikino

STRÓER



eprasa.pl f0333870bc